

STRACH

Jozef Karika

Thriller



STRACH

JOZEF KARIKA

PRZEŁOŻYŁA JOANNA BETLEJ



STARA
SZKOŁA

O północy przyszedł Łokcibroda i zawołał:

– Na piędź chłopa, na piędź chłopa, na łokieć broda, otwórz mi, otwórz, dziewczyno młoda!

Ją lęk ogarnął i ukryła się w kącie za piecem. Wtem Łokcibroda drzwi wyłamał i już stał pośrodku chaty i na powrót tak krzyczał. Potem złapał ją i wytrząsnął ze skóry. Mięso i kości poobgryzał, a skórę powiesił na drzwiach. Potem wziął głowę i poodcinał wargi z ust; że tylko zęby się szczyrzyły. Wybił jedną szybkę w oknie i tam wsadził tę głowę.

Pavol Dobšinský

Słowackie podania ludowe



Właśnie wkroczył na najniebezpieczniejszy teren czarodziejskiego poznania. To czysty strach, prawdziwy nocny koszmar. Bezielesne istoty są gorsze od dżumy. Przez kanał przerażenia przenikają do nas, do codziennego świata i miewa to katastrofalne skutki. Za pomocą strachu mogą z łatwością doprowadzić nas do niepoczytalności i szaleństwa. Pamiętaj, że te istoty wytwarzają siłę, dzięki której z łatwością są w stanie przenieść śniącego do światów, których nie sposób opisać.

Carlos Castaneda

Sztuka śnienia

POWRÓT

I.

DRZWI MIESZKANIA RODZICÓW otworzyły się tak lekko, jakby wkroczenie na teren, z którego przez całe dzieciństwo pragnąłem uciec, nie było niczym trudnym. Parkiet w przedpokoju zaskrzypiał – nawet teraz, po latach, pamiętałem ten dźwięk. Przemawiał do mnie codziennie, dopóki w wieku osiemnastu lat nie wyjechałem do internatu. Później przyjeżdżałem tu rzadko, tylko jeśli naprawdę musiałem, na przykład na pogrzeb matki. Ale nawet wtedy nie zostałem na dłużej – zaraz po powrocie ze stypy ojciec włączył telewizor i, gryząc cebulę, całą swoją uwagę skupił na jakimś teleturnieju. Płakać zaczął dopiero w nocy, kiedy był pewny, że śpię. Zamknął się w łazience i najpierw chwilę pochlipał, a potem zaczął szlochać (starał się, żebym niczego nie usłyszał, to było dla niego najważniejsze).

Nawet nie ściągnąłem butów, odłożyłem torbę na podłogę w przedpokoju i poszedłem prosto do kuchni, żeby otworzyć okno. W niewietrżonym mieszkaniu unosił się smród cebuli. Nienawidziłem go, przez chwilę nawet z obawą zastanawiałem się, czy nie przesiąkły nim ściany. Na szczęście po chwili mroźne powietrze pachnące śniegiem i pobliskim lasem wyparło stęchliznę. Kiedy tylko ten przekłety fetor cebuli zniknął, odżyłem.

Wróciłem do przedpokoju, zdjąłem buty i zrzuciłem z siebie grubą kurtkę. Dopiero teraz zacząłem trząść się z zimna. W mieszkaniu panował chłód nie tylko z powodu otwartego okna w kuchni. Ojciec od ponad roku mieszkał w domu opieki, a kaloryfery nie grzały – były ustawione na kilka stopni powyżej zera, żeby tylko nie zamarzły. Poprosiłem o to sąsiadkę, kiedy zeszłej zimy zadzwoniła do mnie do Żyliny z wiadomością, że ojca

zabrali lekarze. Nie odwiedziłem go tam ani razu. Już bardziej interesowało mnie puste mieszkanie. Nie wiedziałem, co z nim zrobić, ale zbytnio się nad tym nie zastanawiałem – nie miałem na to czasu. Od tamtej pory jednak co miesiąc płaciłem za ogrzewanie i prąd, jakbym przeczuwał, jak skończy się moje życie w Żylinie i podświadomie przygotowywał sobie miejsce do ewakuacji.

Na wspomnienie Livii ścisnęło mi się gardło i poczułem ucisk w klatce piersiowej. Już od kilku tygodni przeczuwałem, że coś się stanie, że coś jest nie w porządku. Niby wszystko było po staremu: mieszkaliśmy razem, kochaliśmy się i dogadywaliśmy, ale gdzieś w głębi każde z nas żyło już samotnie.

Wybrała sobie doskonały moment, to trzeba przyznać. Nigdy wcześniej nie była wyrachowana, może tym razem również nie zrobiła tego celowo. Po prostu nie wytrzymała, słowa same wypłynęły jej z ust, zrzuciła ciężar, którego nie mogła już udźwignąć.

Rozstanie.

– Jasne, rozumiem – wydusiłem z siebie. Oczywiście, dlaczego nie mielibyśmy rozejść się akurat teraz, gdy zostałem bezrobotny? Mała agencja reklamowa, dla której od czterech lat pracowałem, rozpadła się. Chciałem zacząć szukać nowego zajęcia, ale przez rozstanie z Livią straciłem resztki sił. Ponadto nie miałem gdzie mieszkać. Wprawdzie Livia nie wyganiała mnie, ale w tamtym mieszkaniu nie wytrzymałbym już ani minuty dłużej. Było mi w nim przeraźliwie zimno, jakby do środka przenikał ostry styczniowy mróz. Nawet mróz na początku tego podobno magicznego 2012 roku był, jak na złość, wyjątkowo okrutny. Kilukrotnie upewniałem się, że kaloryfery działają, ale ciągle dygotałem z zimna. Kiedy w mieszkaniu była Livia, robiło się jeszcze chłodniej.

Nie chciało mi się biegać po mroźnej Żylinie w poszukiwaniu nowego mieszkania i pracy, nie byłem w stanie, potrzebowałem odpoczynku. Spakowałem swoje rzeczy, wsiadłem do pociągu (koszmarnie powolny poranny skład) i dowlokłem się do domu – do Ružomberka.

Tu wcale nie było lepiej, przywitało mnie równie zimne mieszkanie. W dodatku od ponad roku stało puste (zamieszkiwały je tylko czyhające na każdym kroku wspomnienia), powietrze wypełniał cebulowo-papierosowy smród, a wysuszony parkiet skrzypiał tak samo, jak wtedy, gdy biegałem po nim z płaczem, uciekając przed rozwścieczonym ojcem.

Pierwszy wieczór spędziłem przy oknie, obserwując śnieg. Padał mocno i nieprzerwanie, lekki biały puch pokrywał drzewa i dachy okolicznych domów. Na pewno zasypał już drogę dojazdową, przez kilka najbliższych dni będą tu mogły dotrzeć wyłącznie auta w łańcuchach.

Widok na zaśnieżone Małe Tatry – podmiejskie osiedle, na którym się wychowałem – nie wpływał na mnie dobrze. Za każdym krzakiem czaiła się pustka, chłodne otępienie kojarzące mi się z dzieciństwem. W głowie przebłyskiwały mi wspomnienia gier i zabaw w ganianego czy chowanego, ale bynajmniej nie wywoływały one przyjemnej nostalgii. Ledwo zdążyły się pojawić, a już znikwały w ciemnej otchłani, ginąc w niej bezszelestnie.

Za moimi plecami od czasu do czasu trzaskał parkiet, ożywiony ciepłem rozplywającym się po mieszkaniu. Lecz jakkolwiek ciepło by tu nie było, we mnie nie ożywało nic, wciąż tkwiłem pośrodku nocnej pustyni, przeszywał mnie mróz zdobiący krawędzie ciemniejących okien. Obraz za nimi tonął w gęstniejącym półmroku, stałem nieruchomo, dopóki nie dotarło do mnie, że wpatruję się w swoje źrenice. Ocknąłem się na widok odbicia własnej twarzy na zimnym czarnym szkłe. Wyrwany z letargu zabrałem się za gotowanie przywiezionych ze sobą parówek.

II.

SPAŁEM W DUŻYM POKOJU. Wiele razy budziłem się, bolała mnie niewygodnie ułożona szyja i biodra zatopione w wysiedzianej wersalce. Marzyłem o porządnym łóżku, zerkąłem w stronę oświetlonych blaskiem księżycą drzwi sypialni, ale nie odważyłem się ich otworzyć. Wręcz przeciwnie, kilkukrotnie wyrwany ze snu rzucałem na nie półprzymknięte spojrzenie, aby upewnić się, że są zamknięte. Nie otworzyłbym ich za nic w świecie, nawet za tysiąc wygodnych łóżek. To tam kiedyś leżała matka. Za każdym razem, gdy przyjeżdżałem w krótkie odwiedziny, cały czas spędzała w łóżku, za zamkniętymi drzwiami. Przeszczepując ich próg, wkroczyłbym w otchłań.

Zapadałem w niespokojny sen, ale nie na długo. Po chwili znów wpatrywałem się przez przymrużone powieki w zamknięte drzwi. Wspomnienia o matce to tylko jedna warstwa pamięci, ta świeższa. Pod nią zalegało coś strasznego – sypialnia była kiedyś moim dziecięcym pokojem.

Wiedziałem, że wystarczyłoby lekko uchylić drzwi, a z ciemności wyłoniłyby się wspomnienia wszystkiego, co tam przeżyłem. Na coś takiego nie mogłem sobie pozwolić, na pewno nie, jeśli chciałem choć trochę się wyspać i wytrzymać w mieszkaniu kilka dni. Jeśli drzwi odemknęłyby się i przez szczelinę wydostałaby się struga przeszłości, nie wytrzymałbym tu ani minuty dłużej.

Rano wyglądałem na jeszcze bardziej zmęczonego niż wieczorem. Myłem zęby, patrzyłem w lustro i pytałem sam siebie, kiedy zdążyłem się tak zmienić. Zawsze sprawiałem wrażenie młodszego niż byłem, ludzie często mi to mówili, na pewno nie wyglądałem na trzydzieści pięć lat. Teraz dałbym sobie co najmniej czterdzieści. Miałem opuchniętą twarz, suchą

skórę i opadające kąciaki ust. Chyba naprawdę zaprzedałem duszę reklamie – musiała być pozytywna, optymistyczna, energiczna, niezależnie od tego, co sprzedawaliśmy. Swoje teksty wypełniałem fałszywymi emocjami, fedrowałem je z siebie, jakbym pracował w kopalni uranu. Widok w lustrze potwierdzał, że skutki również były podobne.

Kończąc poranną higienę, złapałem się na tym, że obgryzam paznokieć na kciuku. Niesamowite, wystarczyło kilka godzin w mieszkaniu rodziców, żeby powróciły do mnie nawyki z dzieciństwa!

Kiedy byłem mały, nieraz obgryzałem sobie palce do krwi. W rany wdawało się zapalenie, ropiały, opuszki palców musiałem nosić zabandażowane. W szkole wyśmiewali mnie z tego powodu, ale to nie było najgorsze. Opatrunki i maści nie zawsze pomagały, stan zapalny nie ustępował i lądowałem u lekarza. Ten albo rozcinał palec i wyciskał z niego ropę, albo zrywał paznokieć. Zadźwięczało we mnie echo bólu i strachu, jakie mi wtedy towarzyszyły. Przysięgam, że nie wspominałem tego przez co najmniej piętnaście lat. Uroczy powrót do domu.

Prawie nic nie zjadłem (z kolacji zostały mi jeszcze parówki i kawałek chleba), miałem ściśnięty żołądek. Słuchałem radia i dłubałem w jedzeniu na talerzu. Zapowiadali kolejne opady śniegu, przez najbliższe dni ma się podobno gwałtownie ochłodzić.

Dotrze do nas arktyczne powietrze, możemy spodziewać się rekordowo niskich temperatur – ostrzegała spikerka.

Wyjrzałem na zewnątrz. Padał śnieg. Rząd świerków za domem uginał się pod ciężarem białej pierzyny. Cisza w mieszkaniu zaczynała działać mi na nerwy. Otworzyłem okno, bez skutku. Cholerny śnieg pochłaniał wszystkie dźwięki, miałem wrażenie, że na dworze jest jeszcze ciszej niż w środku, nie było słychać nawet szczekania psów. Zamknąłem okno

i próbowałem się uspokoić. Jest jeszcze pięć mieszkań, nie jesteś tu przecież na odludziu – powtarzałem sobie.

Zaciągnąłem żaluzje, wszechogarniająca biel nie działała na mnie dobrze.

Oczywiście, jest jeszcze pięć innych mieszkań, tyle że siedzą w nich emeryci, którzy już ledwo słyszą, ledwo mówią, a zimą nie opuszczają swoich nagranych pokoi. Co więcej, ten dwupiętrowy budynek rozplanowany był w taki sposób, że do dwóch mieszkań na górze wchodziło się od tyłu, przez osobny korytarz. Przebywałem w jednym z nich, z pozostałymi mieszkańcami nie łączyła mnie żadna wspólna przestrzeń. W sąsiednim mieszkaniu od lat nikt nie mieszkał, po tej koszmarnej historii ze starą Dreczekową stało puste, czasem tylko nocowali tam jej bratysławscy krewni.

Wróciłem do dużego pokoju, stałem z półek grubą warstwę kurzu (drzwi do sypialni ominąłem szerokim łukiem) i wywietrzyłem zatechnięte powietrze. Kiedy skończyłem sprzątać, przy paznokciu na obgryzionym kciuku błysnęła kropla krwi.

Chciałem jakoś zabić czas, włączyłem telewizor, ale chyba był jakiś problem z anteną, bo nie udało mi się ustawić żadnego programu – pojawił się tylko szum i śnieżenie. Nerwowo otworzyłem szafkę z kasetami video. Ojciec pilnował ich jak oka w głowie, nikt nie mógł ich dotykać.

Nagrywanie i montowanie filmów było jego jedynym hobby. Nieraz snuł opowieści o starym projektorze, na którym dziadek puszczał mu krótkie filmy. Największym przeżyciem z okresu dojrzewania była dla niego chwila, w której rodzice podarowali mu ośmiomilimetrową kamerę. Mógł nią kręcić tylko kilkuminutowe, nieme, czarnobiałe filmy, ale i tak był to dla niego najwspanialszy prezent. Nawet czasem mi tę stareńką kamerę pokazywał. Kiedy widział, że nie dzielam jego zachwyty, robił

się rozdrażniony i agresywny. Nie cierpiałem kamer, projektorów i tych jego superprodukcji. Nie miał grama talentu. Nawet później, kiedy używał kamery video, nie nauczył się choćby podstaw filmowania – obraz na każdym nagraniu był roztrzęsiony i niewyraźny, bez wycucia przeskakiwał z jednego ujęcia na drugie, oglądanie tego było męczarnią.

Przebiegłem wzrokiem po dziesiątkach kaset ułożonych w kilku rzędach. Miałem nadzieję, że chociaż na jednym grzbiecie zobaczę nazwę filmu, obejrzałbym cokolwiek. Ale wszędzie nabazgrane były tylko daty. Pierwsze z lat sześćdziesiątych, kiedy ojciec zaczął kręcić ośmiomilimetrową kamerą (nagrania z oryginalnych szpul przegrał na taśmy video), a ostatnie miały naklejki z datami późniejszymi o czterdzieści lat, kiedy wreszcie przestał kręcić.

Nie miałem najmniejszej ochoty oglądać tej niewydarzonej twórczości, nie była mnie do tego w stanie zmusić nawet rozpaczliwa nuda. Z torby podróżnej wyjąłem iPhone i sprawdziłem pocztę. Nikt do mnie nie napisał. Przypomniało mi się, że w sypialni stała półka z książkami, może znalazłaby się chociaż jedna, którą dałoby się przeczytać. Podeszedłem do zamkniętych drzwi, przez chwilę zawahałem się, po czym zrobiłem w tył zwrot i pomaszerowałem w stronę potwornie miękkiej wersalki. Spałem aż do południa, obudziło mnie burczenie w brzuchu. Nie chciało mi się wyłazić na to zimno, ale nie miałem wyboru. Ubrałem się i poszedłem na zakupy.

III.

MAŁE TATRY to osiedle przylegające do stromego podnóża Czebrata – masywu wznoszącego się nad miastem. Stoi tu czternaście wielo- i kilka jednorodzinnych budynków kaskadowo ułożonych w trzech rzędach, które

oddziela od siebie stromy uskok i popękany asfalt ze szpalerem lip. Miejsce to skrywa się w gęstym lesie porastającym cały Czebrat (najbardziej wysunięty na zachód szczyt Gór Hoczańskich), ciągnącym się przez Orawę aż do polskiej granicy.

Wyszedłem z domu (stał na początku trzeciego, najwyżej położonego rzędu) i zapatrzyłem się na strome zbocze porośnięte świerkami i wysokimi sosnami. Kiedy byłem mały, fascynowała mnie bliskość tajemniczych zakątków znajdujących się tak blisko domu. Dziś las do mnie nie przemówił, w żaden sposób mnie nie przywitał, tonął w śniegu i gapił się na mnie w tępym milczeniu.

Przebrodziłem w śniegu do drogi i zacząłem schodzić w dół – ku rozciągniętej pod Czebratem dzielnicy Rybarpole. Piętnaście minut później mijałem popadający w ruinę kompleks byłych zakładów włókienniczych z od dawna wygaszonym kominem. Powoli przeszedłem przez oblodzony most nad Wagiem i ruszyłem w stronę pobliskiego Tesco.

Droga powrotna była o wiele trudniejsza. Gramoliłem się pod górkę, ślizgając się po nieposypanym chodniku i sapiąc, jakbym zaraz miał pobić jakiś rekord. Cztery reklamówki szeleściły nieprzyjemnie, w nosie i w gardle szczypało mnie mroźne powietrze. Szybko robiło się coraz zimniej – kiedy wychodziłem z domu, temperatura nie była aż tak bezlitosna. Teraz z pewnością spadła sporo poniżej zera, powietrze było suche i z każdym oddechem cięło jak żyletka.

Do szczęścia brakuje mi już tylko zapalenia płuc!

Zatrzymałem się przy środkowym rzędzie domów, żeby odsapnąć. Wiedziałem, że to nierozsądne – byłem spocony, ale musiałem złapać oddech. Ktoś szedł drogą – dorosły mężczyzna z dwójką dzieci. Jako że od wczoraj nie zamieniłem z nikim ani słowa, zapragnąłem się z nimi przywitać. Czułem się wyalienowany i odcięty od świata, nie pomogła mi

nawet wizyta w Tesco. Poza tym miałem wrażenie, że w ruchach wysokiej postaci rozpoznaję coś znajomego. Im mężczyzna był bliżej, tym wszystko stawało się jaśniejsze. Lekkie utykanie na lewą nogę, dwóch rzucających się śnieżkami synów, od razu mi zaświtało – Ota Novak! Zrobiło mi się głupio, że nie rozpoznałem go od razu. Był wprawdzie opatulony grubą kurtką, a twarz zakrywała mu czapka i szalik naciągnięty pod same oczy, ale i tak – przecież spędziliśmy razem całe dzieciństwo.

Przez chwilę zacząłem panikować, ale zapanowałem nad tym. Lubiłem Otę. Wprawdzie od dłuższego czasu nie myślałem o nim, ale w przypadku przyjaźni z dzieciństwa to nie ma znaczenia – nawet po kilkudziesięciu latach więzi pozostają silne.

Rozpoznał mnie i stanął. Schylił się, nabrał garść śniegu i rzucił we mnie.

– Tego pana porządnie obrzućcie! – krzyknął do rozochoconych chłopców. Posłuchali go, znalazłem się pod śnieżnym ostrzałem.

– To za to, że nas nie odwiedzałeś – śmiał się Ota. Dokuśtykał do mnie (już w dzieciństwie miał coś z lewym kolaniem) i objął mnie. Przez grubą kurtkę nie czułem żadnego dotyku, ciężkie siatki nie pozwoliły mi odwzajemnić uścisku, czułem się niezręcznie. Na szczęście puścił mnie, znad szalika pokrytego drobnymi kryształkami patrzyły na mnie wesołe oczy.

– Witaj w domu, królu reklamy. Coś wszyscy wracacie. Zrozumieliście, gdzie jest dobrze, nie?

– Kto wszyscy?

– Hana też przyjeżdża – mrugnął do mnie. – Chyba do matki.

Hana Sliacka – kolejna z paczki, moja dziecięca miłość. Żołądek mi się ścisnął, poczułem nawrót paniki.

Zielona mgła, mroźna polana, ślady na śniegu, ślady, tysiące szaleńczo rozproszonych śladów...

Przegoniłem to wspomnienie, przeraziło mnie, że powróciło, już prawie dwadzieścia siedem lat trzymałem je wyrzucone poza granice świadomości.

Trafiła mnie ciężka śnieżna kula.

– Ivko! – Ota krzyknął na starszego syna. Zmarszczki wokół oczu zdradzały jednak uśmiech.

– Przyjechałem na krótko – powiedziałem.

– Tak, jasne, dokładnie to samo mówiła Hana. Nie powinniście byli wyjeżdżać. Ja mieszkam tu – wskazał bungalow na końcu ulicy.

– Nigdy nie chciałeś wyjechać? – to szczerze mnie zaciekało.

Spojrzał na mnie zdziwiony:

– Wyjechać? A dlaczego?

– Przecież wiesz – wzruszyłem ramionami i zacisnąłem zęby.

Wtedy też była taka ciężka zima.

Cały czas patrzył na mnie, jakby nie miał pojęcia, o czym mówię. Czyżby naprawdę o wszystkim zapomniał, naprawdę...?

Ja też zapomniałem – zganiłem siebie. I nie będę już nic rozpamiętywać!

– Idę – prawie warknąłem i podniosłem siatki.

– Jasne, my przecież też idziemy, straszna zimnica – poklepał mnie po ramieniu. – Ale wpadnij, siedzę teraz w domu, nie ma roboty. Tylko po dzieciaki chodzę do szkoły.

– Dobrze, przyjdę – skłamałem.

Radość ze spotkania zniknęła. Odwróciliśmy się i każdy poszedł w swoją stronę. Jeszcze przez chwilę słyszałem wesołe krzyki chłopców, ale po kilku krokach pochłonał je śnieg i wzmagający się mróz.

IV.

PRZYGOTOWANIE PÓŹNEGO OBIADU PRZEDŁUŻAŁEM, jak tylko się dało. Wiedziałem, że kiedy skończę i umyję naczynia, znów zostanę sam, oko w oko z dobijającą nudą. Zaciśnie na mnie swoje lepkie paluchy, mieszkanie spowije mgła, a ja zatopię się w morderczej pustce. Dudniącej ciszy wyzierającej ze ścian nie zakłóci żaden dźwięk, nie będzie dokąd uciec.

Ponownie spróbowałem ustawić w telewizorze jakiś program, ale bez skutku. Włączyłem więc stare radio, lecz z szumu i zakłóceń udawało mi się wyłapać tylko urywki zdań i fragmenty piosenek. Sprawdziłem iPhone – żadnego nieodebranego połączenia, w skrzynce mailowej nie było nawet spamu. W Tesco kupiłem gazety, ale pomogły tylko na chwilę. Przeczytałem je w niecałą godzinę, cieniutkie strony nie były w stanie powstrzymać dudniącej ciszy. Przedarła się przez nie i znów mnie dopadła.

Podszedłem do okna. Na zewnątrz zapadał zmierzch, termometr pokryty szronem pokazywał minus osiemnaście stopni. Widziałem prawie całą dzielnicę. Ulice były puste, przez cały ten czas nie przejechał żaden samochód. Zobaczyłem tylko dwóch czy trzech przechodniów. Drogą przebiegły dzieci ciągnące czerwone, plastikowe sanki. Jakiś mężczyzna w dolnej części ulicy wyszedł z domu, podszedł do kontenera, wysypał śmieci i szybko wrócił. Obserwowałem okolicę, dopóki nie zrobiło się całkiem ciemno, ale nie dostrzegłem już ani jednej żywej duszy. Odchodząc od okna, ponownie spojrzałem na termometr. Szron stęzał, mróz pokrył szybę swoimi malowidłami. Przyłożyłem do niej dłoń, z niemałym trudem odczytałem skalę termometru. Poziom rtęci wskazywał minus dwadzieścia stopni Celsjusza.

Wreszcie porządnie się wyspałem, tym razem ze snu nie wrywały mnie żadne nocne koszmary. Zerwałem się tylko raz – trząśłem się z zimna

przenikającego przez mury i okna. Nie odważyłem się jednak pójść do sypialni, przykryłem się jedynie cienkim kocem. Wstałem i ustawiłem przepływ gorącej wody w kaloryferze na maksimum. Chciałem sprawdzić temperaturę, ale okno szczelnie pokrywały mroźne kwiaty i ornamenty. Wróciłem więc do łóżka i ponownie zasnąłem.

BLONDYNEK

I.

PRZY ŚNIADANIU WŁĄCZYŁEM RADIO.

Europę paraliżują rekordowe mrozy – oznajmiła spikerka. Resztę wiadomości pochłonał nieprzyjemny szum, wyłapywałem jedynie fragmenty.

Pierwszego lutego... temperatury spadły do minus trzydziestu dwóch stopni Celsjusza... na Ukrainie aż czterdzieści trzy osoby zamarły...

Rzeczywiście zaczynał się już luty. Cały styczeń zlał mi się w jakąś smugę, wydawał się jednym długim dniem.

– Może nowy miesiąc przyniesie coś lepszego, skoro rok zaczął się tak parszywie – pomyślałem.

Podszedłem do okna, termometru wciąż nie było widać, nie miałem jednak wątpliwości, że temperatura w nocy spadła poniżej trzydziestu stopni. Rzęzące radio przypominało mi o tym nieustannie. Ze strzępków wiadomości zrozumiałem, że na Orawie odnotowano rekordowo niskie temperatury. Na Słowację nadciąga front z Syberii, zatem nie należy spodziewać się ocieplenia. Wręcz przeciwnie – w ciągu najbliższych dni dojdzie do ochłodzenia, a mrozowi towarzyszyć będzie północny wiatr.

Nagle przyszło mi do głowy, że wczorajszego wspomnienia (tysiące szaleńczo rozproszonych śladów...) nie wywołały jedynie Małe Tatry i obecność Oty. Wywołał je mróz.

Szaleńcza zima – dokładnie tak jak wtedy!

Metaliczny posmak mroźnego powietrza, suchy połyskujący śnieg, atmosfera ożywiona gwałtownym ochłodzeniem. Wspomnienia wisiały w powietrzu, chłonałem je z każdym oddechem, nie dało się przed nimi uciec.

Wtedy!

Mroźna polana ginąca w zielonej mgle. Metaliczny huk, jakby setki olbrzymich walców ocierały się o siebie...

Zapomniałem! Zapomniałem! – mówiłem, oblizując kroplę krwi z kciuka.

Zadzwonił telefon.

Zerwałem się, ostry dźwięk na chwilę mnie przestraszył, ale pobiegłem w jego kierunku i z radością odebrałem.

To była jednak tylko bezosobowa oferta korzystniejszego abonamentu telefonicznego.

II.

CAŁY DZIEŃ SPĘDZIŁEM LEŻĄC albo szwendając się po mieszkaniu. Jediną rozrywką było gotowanie obiadu. Popołudnie tradycyjnie już przestałem przy oknie. Temperatura przez cały dzień utrzymywała się poniżej dziesięciu stopni. Z informacji z radia zrozumiałem, że w meteorologii taki stan nazywany jest dniem arktycznym. Przepływ mroźnego, syberyjskiego powietrza zebrał żniwo kolejnych ofiar, ludzie padali jak muchy.

Osiedle wyglądało na wyjątkowo opustoszałe. Ogołocone z liści, choć zaśnieżone korony starych lip kołysały się na wietrze, a gdy uchyliłem okno, słyszałem z lasu trzaskanie zmrożonych świerków i sosen. Drogą przejechały dwa samochody z łańcuchami na kołach, od czasu do czasu przebiegały tylko jakieś dzieci.

Wieczorem dopadły mnie sentymenty i roztkliwiony prawie włączyłem filmy ojca. Otworzyłem szafkę z kasetami, ale na szczęście w ostatniej chwili udało mi się powstrzymać. Kto wie, jak skończyłoby się dla mnie

oglądanie jego dzieł. Z pewnością nie poprawiłyby mi nastroju. Mimo nudy, osamotnienia i cebulowego smrodu czułem się lepiej niż wczoraj, lepiej niż przez ostatnie tygodnie. Wreszcie jako tako się pozbierałem. Wystarczyło nie kierować myśli w niewłaściwą stronę (Livia, Żylina) i nie dopuszczać do siebie tych straszliwych, dawno pochowanych i niechcianych wspomnień.

Dlatego wciąż unikałem sypialni. Wiązał się z nią przykry obraz leżącej i wiecznie niezadowolonej matki. O wiele bardziej destrukcyjne było jednak piętno dziesiątek bezsennych nocy, które spędziłem tam jako dziecko. Trząsałem się wtedy ze strachu, ze wszystkich sił starając się odgonić od siebie zieloną mgłę i huk metalowych walców dźwięczący mi w uszach. W ciągu dnia potrafiłem uciec przed mroźną polaną, ale w nocy, kiedy byłem zakładnikiem swojego pokoju, nie było przed nią ratunku. Przykrywałem się kołdrą, bo czułem, że nie chodzi tylko o wspomnienia. Te wizje przyciągały do mnie tę nienazwaną rzecz, czy raczej byt, który potrafił je wyczuć, wywęszyć, okręzał dom, penetrował ogrody i pobliski las, szukał choćby najmniejszej szparki, przez którą mógłby się do mnie prześlizgnąć.

Nawet teraz, po dwudziestu sześciu latach, siła ówczesnych wyobrażeń i intensywność dziecięcego strachu zupełnie mnie obezwładniały. Dlatego uparcie omijałem drzwi do sypialni, a za każdym razem, kiedy wchodziłem do pokoju, bezwiednie rzucałem w tamtą stronę ostrożne spojrzenie.

Około dziewiątej położyłem się na kanapie i zasnąłem. Dwie noce porządnego snu były większym błogosławieństwem, niż sądziłem.

Obudziłem się świeży i wypoczęty – żadnych wspomnień, żadnej Livii, nic, co zakłócałoby mój spokój.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz.

Dwa domy dalej na drodze stał radiowóz. Biały džip z łańcuchami.
Ścisnął mi się żołądek.

Mam nadzieję, że nic się nie stało... Oby tylko nie...

Wtedy, przed laty, też stało tu kilka samochodów policji. Wyglądały wprawdzie inaczej – były to stare skody 120 L, zamiast napisu *Policja* widniało na nich *MO – Milicja obywatelska*, ale wywoływały takie samo nieprzyjemne uczucie jak teraz. Jakieś dziesięć metrów dalej zobaczyłem kilku policjantów. Kręcili się przy skraju drogi, przeszukiwali okolicę i coś ustalali. Wziąłem suchy rogalik, i przeżuając, obserwowałem, co zamierzają zrobić.

Niewiele się działo. Mundurowi chwilę postali, potem przyjechał kolejny samochód i wszyscy rozeszli się po dzielnicy. Obchodzili domy, dzwonili do drzwi, a kiedy im otworzono, zadawali pytania i pokazywali domownikom jakieś papiery.

Nie marzyłem o takiej rozmowie, ale zżerała mnie ciekawość.

Co się stało? Czego chcą?

Po niecałym kwadransie usłyszałem dzwonek do drzwi. Otworzyłem i poczułem mroźne powietrze z klatki schodowej. Stało tam dwóch porządnie zmarzniętych funkcjonariuszy, nie zaprosiłem ich jednak do środka.

– Dzień dobry, policja, szukamy zaginionego dziecka – oznajmił młodszy.

– Dzień dobry – odpowiedziałem i wgryzłem się w skórę przy paznokciu na kciuku.

– Czy możemy zobaczyć pańskie dokumenty?

Wzruszyłem ramionami, wszedłem do mieszkania i wróciłem z dowodem osobistym. Coś z niego spisali. Żeby go odebrać, wyciągnąłem lewą rękę. Z kciuka na prawej dłoni sączyła się krew.

Szukamy zaginionego dziecka...

– Panie Karsky, zna pan Janka Milickiego? – zapytał młodszy policjant. Dziwiłem się, że od razu mnie nie zamknęli, musieli przecież zauważyć, jak zbladłem, kiedy powiedzieli, o co chodzi.

– Nie, nie znam – pokręciłem głową. – Nie mieszkam tu od piętnastu lat, wróciłem dopiero przedwczoraj.

– Dopiero przedwczoraj? – zainteresował się starszy mundurowy.

– Tak, to mieszkanie rodziców, jestem tu sam.

– Gdzie pan pracuje?

– Nie mam pracy.

– Aha.

Widziałem, że im się nie podobam. Wolałem jednak milczeć, żeby nie pogorszyć swojej sytuacji.

Pokazali mi zdjęcie, zapewne z urodzin.

– Tak wygląda, ma osiem lat.

Mały blondynek z ładnym uśmiechem i błyszczącymi oczami.

– Nie widziałem go, naprawdę.

– Zaginął wczoraj wieczorem, kiedy poszedł wyrzucić śmieci.

– Jeśli go zobaczę, dam znać – próbowałem być pomocny.

– Dobrze – nieufnie zmierz yli mnie wzrokiem i ruszyli w stronę wyjścia.

Zamknąłem drzwi i zliząłem czerwoną kroplę z kciuka.

III.

WYTRZYMAŁEM DOKŁADNIE GODZINĘ. Samochody wciąż nie odjeżdżały, a wokół nich zebrała się horda gapiów. Mieszka tu wielu

emerytów, którzy rzadko wychodzą, żeby nie ryzykować upadku na lodzie. Obecność policjantów i przeczuwanego nieszczęścia przyciągnęła ich jednak jak magnes. Wyleźli z nagranych mieszkań, stanęli na ulicy, i dyskutując, uporczywie gapili się na mężczyzn w mundurach. Nie przeszkadzał im ani mróz, ani zimny wiatr, ogrzewała ich ekscytacja, że coś się dzieje.

Dzieje się cokolwiek.

Włożyłem kurtkę i wyszedłem na zewnątrz. Uderzył mnie mroźny wiatr, złapałem haust zimnego ostrego powietrza. Zaciągnięte niebo nie przepuszczało zbyt wiele światła, okolica sprawiała wrażenie spowitej szarością, nawet śnieg wyglądał jak popiół.

Obok domu stała rodzina Kliszów – tata, mama i dwie małe córki, sąsiedzi z mieszkania pode mną, do którego wchodziło się przez drugie boczne drzwi. Przywitałem się skinieniem głowy, znali mnie z widzenia, ale nigdy nie rozmawialiśmy. Przeszedłem przez trawiaste zbocze między domami i zszedłem na ulicę. Zastęp ciekawskich zasłaniał mi to, wokół czego mrowili się policjanci. Podszedłem więc bliżej i precyzyjnie się do miejsca akcji.

Dwa metalowe kontenery na zaśnieżonej drodze, nic strasznego. Ale to nie wszystko. Obok jednego z nich stał czarny kosz na śmieci. Pokrywał go szron i warstwa śniegu – musiał tam długo stać.

W jednej chwili przeszył mnie dreszcz i ścisnęło mi się gardło.

Mały Janko poszedł wieczorem wyrzucić śmieci. Na pewno był już mrok albo gęsta szarówka. Doszedł do kontenerów, położył kosz na drodze i...

Coś się stało.

Śmieci zostały niewysypane, Janka nie było.

Policjanci przeszukali kontenery, czy przypadkiem do nich nie wpadł. Nie znaleźli niczego interesującego. Przeszukanie okolicy również nie przyniosło efektu. Do lasu na wzgórzu nie prowadziły żadne ślady. Śnieg na zboczu po drugiej stronie też był nienaruszony. Na zamrożonej drodze można było rozpoznać jedynie ślady opon w łańcuchach.

Funkcjonariusze przyprowadzili nawet psa tropiącego – wielkiego owczarka niemieckiego. Ale on także się nie sprawdził, sprawiał wrażenie zdezorientowanego, prowadził ich w kółko, jakby Janko krążył tu całymi godzinami.

Mroźna polana, tysiące rozproszonych śladów – przyszło mi do głowy.

Odwrociłem się (tylko żadnych wspomnień!) i zobaczyłem Hanę Sliacką. Stała w grupie, trzymała za rękę około sześciolletnią córkę i obserwowała biegającego psa, spojrzenie miała jednak nieobecne.

Wiedziałem, o czym myśli.

Tysiące rozproszony śladów.

Podszedłem do niej. Dziewczynka schowała się za mamą i nieprzyjaźnie zerknęła. Hana mnie nie zauważyła, ciągle patrzyła na psa, w jej zielonych oczach widziałem wspomnienia. Zawahałem się, najpierw pomyślałem, że ona też wyparła z umysłu mroźną polanę, ale po chwili mi ulżyło. Hana nie bawiła się w chowanego jak Ota, któremu udało się przekonać samego siebie, że żadna łąka z zieloną mgłą nie istnieje, że nie staliśmy na niej i że nie widzieliśmy tego, co widzieliśmy.

– Cześć, Hana – powiedziałem.

– Cześć – odparła, nie patrząc na mnie. Nie była zaskoczona, na pewno zauważyła mnie już wcześniej. Policzki miała czerwone, twarz pełniejszą, niż zapamiętałem, dostrzegłem też kilka zmarszczek. Zaskoczyło mnie to, zazwyczaj nie zwracam uwagi na takie szczegóły. Hanę znam jednak od dziecka, jej twarz mam wyrytą w pamięci.

Przez chwilę staliśmy w ciszy przerywanej szeptami emerytów i dyszeniem psa.

Nie wiedziałem, czy nie chce ze mną rozmawiać, czy tak zaabsorbowała ją ta niezwykła scena. Właściwie nie była aż taka niezwykła, poszukiwania Milana Jureckiego przed ponad dwudziestu siedmiu laty zaczynały się podobnie.

– Mamo, zimno mi – mruknęła dziewczynka.

Hana wreszcie spojrzała na mnie, w wystraszonych oczach dostrzegłem prośbę.

Co miałem powiedzieć, jak ją uspokoić? Przecież sam cały się trząsałem, kosz na śmieci stojący na zlodowaciałej ziemi był jak nadajnik realnego koszmaru.

Bezradnie wzruszyłem ramionami.

– Mamo, zimno!

– Już idziemy, kochanie – powiedziała Hana i ponownie na mnie spojrzała. Teraz w jej wzroku zobaczyłem złość, jakby zdenerwowało ją to, że jej nie uratowałem, nie wyrwałem z objęć trawiących wspomnień albo chociaż nie zatrzymałem ich fali. Chciałbym, ale nie dało się.

Zdezorientowany pies podniósł głowę i zaczął szczekać na niskie szare niebo.

IV.

PRZEWRAÇAŁEM SIĘ Z BOKU NA BOK, próbując wyrwać się z półsnu, w którym czyhała na mnie zima sprzed dwudziestu siedmiu lat. Na jawie pamiętałem tylko fragmenty, miałem wtedy zaledwie osiem lat. Nawet w głębokim śnie nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo. Kiedy jednak znajdowałem się na granicy jawy i snu, sceny z tego strasznego

okresu rzucały się na mnie jak piranie. Gryzły, wbijały we mnie ostre zęby i wyrywały mięso, chcąc ogryźć je aż do kości.

Gdzieś w najgłębszych zakamarkach umysłu miałem wszystko wyryte w najdrobniejszych szczegółach. Przedświadomość to mój największy wróg, zima w 1986 roku ukształtowała całe moje życie. Nigdy się z niej nie wyrwałem – zamarzęm w niej, wiosna nigdy nie nadeszła. Obrazy, zapachy, odczucia.... To wszystko we mnie siedzi, żyje od dziesiątek lat, obrzydliwy psychiczny guz, którego nie sposób usunąć.

Zamroczony przewracam się na bok i wydaję z siebie jęk. Chcę się obudzić, ale przeszłość wyłoniła się już z cuchnących moczarów, ucapiała mnie gnijącymi pazurami i ściągnęła pod wodę. Wszystko przeżywam od początku, jakby działo się to właśnie teraz. Zaczęło się we wtorek, pod koniec stycznia...

Jestem w mieszkaniu sam, wszyscy gdzieś wyszli, do wieczora mają wrócić. Nie jest późno, ale za oknami zrobiło się już ciemno, jakby zgasło wszelkie życie. Jest mi zimno, na zewnątrz panuje okrutny ziąb, takiego mrozu jeszcze nie zaznałem. Boję się kręcić pokrętem kaloryfera, mogłoby to zdenerwować ojca.

Mam nadzieję, że rodzice wrócą jak najszybciej, ciche mieszkanie napawa mnie lękiem. Idę do swojego pokoju, ale nie czuję się tam bezpiecznie. Jestem zdenerwowany, coś się dzieje, coś się zmienia, ale nie umiem tego nazwać. Podobnie czułem się na szkolnej wycieczce w elektrowni wodnej, kiedy przechodziliśmy obok huczących turbin. Zapamiętałem to słowo, bo przestraszyłem się ich. Nie chodziło tylko o huk, jaki wytwarzały, powietrze wokół nich było inne, nauczycielka wyjaśniła nam, że wokół potężnych turbin wytwarzają się jakieś pola. Nie rozumiałem tego i nie rozumiem także teraz, przestępuję z nogi na nogę, jakbym znów znalazł się w takim polu. Nie słyszę żadnej turbiny, żadnego

huku, wręcz przeciwnie – wydaje mi się, że wszystko wypchane jest niewidzialną watą.

Kręci mi się w głowie, w uszach i oczach czuję ciśnienie jak przy nurkowaniu w basenie. Ramy okienne poruszają się, nie widać tego, ale słysząc cichuteńkie drżenie szkła.

Z każdą sekundą cisza gęstnieje.

Przechodzę do przedpokoju, jest tam czerwony telefon, mama mówiła, że gdyby się paliło, mam zadzwonić po strażaków. Na razie nic się nie pali, ale i tak mam ochotę po kogoś zadzwonić. Łapię słuchawkę i z zaskoczeniem stwierdzam, że mam spoconą dłoń. Nie rozumiem, co się ze mną dzieje, w uszach mi piszczy, mam zawroty głowy, słyszę bicie swojego serca.

Zza drzwi wejściowych docierają do mnie dźwięki. Pochodzą z sąsiedniego mieszkania – najpierw w zamku zgrzyta klucz, potem skrzypi naciśnięta klamka.

– Pani Dreczekowa – myślę.

Staruszka mieszka sama, jej mąż zmarł niecały rok temu. Stało się to w fotelu na środku pokoju. Podobno oglądał w nocy telewizję, a starsza pani rano znalazła go martwego. Słyszałem, jak rodzice o tym rozmawiają.

– Wyobraź sobie, weszłam tam, czy czegoś nie potrzebuje – opowiadała matka ojcu. – Starego zostawiła w fotelu, całą twarz miał siną, oczy otwarte.

– Pewnie paraliż – stwierdził ojciec.

– Powiedziała, żebym usiadła i pokazała na fotel tuż obok niego – głos mamy wyraźnie się załamał. – Usiadła naprzeciwko i zapytała, czy napijemy się kawy. Przy siedzącym trupie, rozumiesz?

– Staruszka z szoku postradała zmysły, to się zdarza – uspokajał ojciec.

Trzymam czerwoną słuchawkę, ręka mi się trzęsie i myślę o jego słowach.

Staruszka z szoku postradała zmysły, to się zdarza.

Dreczekowa kręci się po korytarzu za drzwiami.

Mam tylko nadzieję, że nie wybiera się do nas?! – przeraziłem się.

Szurające kroki zbliżają się. Nikt inny tu nie mieszka, ze wspólnej klatki schodowej wchodzi się tylko do dwóch mieszkań.

Zastygam, boję się nawet poruszyć, żeby nie spowodować żadnego dźwięku. W najgorszym razie zadzwoni do drzwi, a kiedy nie otworzę, odejdzie.

Kroki zatrzymują się tuż przed naszym progiem, słyszę starcze dyszenie.

W każdej sekundzie może zadzwonić, jeszcze moment, zaciskam zęby, nie mam odwagi poruszyć się ani pisnąć.

Klamka zaczyna się ruszać, Dreczekowa próbuje otworzyć.

Na szczęście po wyjściu rodziców zaryglowałem drzwi, więc ani drgną.

Żołądek mi się ściska, serce bije gdzieś w gardle.

Staruszka desperacko potrząsa klamką.

Wszystko cichnie, klamka się nie porusza, huk w uszach jeszcze trochę się nasila.

Poszła sobie? – pytam się w duchu. Na języku mam metaliczny posmak, ze strachu rozgryzłem skórę na kciuku, czuję lepką krew.

Okna przestają drżeć, mdłości nagle znikają, podobnie jak wtedy, gdy ojciec podczas majsterkowania w piwnicy wyłącza elektromagnes.

Uspokajam się

– Jożko, otwórz! – odzywa się zza drzwi.

Zęby zaczynają mi szczekać, zakrywam je spoconą dłonią i wdycham zapach krwi.

– Wiem, że tam jesteś, słyszę cię! – znów szarpie za klamkę.

Popuszczam w spodnie, po udzie ścieka mi kilka kropel.

– Muszę oznajmić ci nowinę! Widziałam, jak wyszli z lasu!

Nie mam pojęcia, o kim mówi, błagalnie spoglądam na zasuwę i modłę się, żeby wytrzymała, jeśli Dreczekowa porządnie zaprze się o drzwi.

– Zapoznam was, z radością was zapoznam, są u mnie, czekają w dużym pokoju – mamrocze staruszka, dobijając się do środka.

Na dole klatki schodowej rozlegają się kroki, słyszę głosy.

Najpierw zaczynam się bać, ale po chwili rozpoznaję głęboki śmiech ojca.

Rodzice wracają!

Kiedy tylko te dźwięki docierają do Dreczekowej, puszcza klamkę i wraca do swojego mieszkania.

Stoję zdrętwiały w przedpokoju, aż do chwili, w której ojciec dzwoni do drzwi. Z trudem przechodzę przez przedpokój, odblokowuję rygiel i otwieram.

Najpierw rodzice niczego nie zauważają, wchodzą do środka, zamykają za sobą. Mama, ojciec i jeszcze ktoś trzeci, którego dobrze nie widzę.

Chwytam matkę za rękę i zaczynam płakać.

Kiedy uspokajam się na tyle, żeby wydusić z siebie, co się stało, ojciec idzie do Dreczekowej.

– Muszę sprawdzić, czy zupełnie jej nie odużyło, przecież może podpalić dom – mamrocze ponuro.

Mama z nieznanym zamykają się w kuchni, mną nikt się nie przejmuje. Boję się, bardzo się boję, ale zakradam się za ojcem. Co jeśli

u Dreczekowej naprawdę ktoś czeka? Drzwi zostawiła uchylone, mimo to ojciec puka.

– Pani Dreczekowa, wszystko w porządku? – krzyczy do ciemnego mieszkania.

Nic, żadnej odpowiedzi.

– Pani Dreczekowa, wszystko w porządku?

Nie doczekawszy się reakcji, wchodzi do środka. Idę za nim, ale uważam, żeby się nie zdradzić, to mogłoby go rozgniewać.

Wkraczam do ciemnego przedpokoju i w moje nozdrza uderza nieprzyjemny zapach. Wiem, co to jest – tak czasem śmierdziało w przedszkolu – ktoś tu się posikał. Smród z każdym krokiem nabiera intensywności, bije z wnętrza mieszkania, jest coraz gęstszy, aż zaczyna mi się wydawać, że pokoje wypełniała śmierdząca, gęsta zawiesina.

Przed sobą słyszę trzaskanie parkietu, ojciec stąpa ostrożnie, ale kroki i tak zdradzają jego obecność. Na szczęście ja jestem lekki, więc pod moimi nogami deski tylko czasem cichutko skrzypią.

Podchodzę do drzwi dużego pokoju, nachylam się (przepony podkoszulek przykleja mi się do pleców) i zaglądam do środka.

Pokój jest ciemny, przez zaciągnięte zasłony przenika jedynie lekka poświata. Przed blokiem stoi lampa uliczna, już od dawna mruga, więc pokój oświetlają tylko słabe błysnięcia.

Widzę zastygłego ojca, wrósł w podłogę, tylko ramiona podnoszą się i opadają. Jego szerokie plecy zasłaniają mi widok, ale musiał natrafić na coś przerażającego, skoro aż zaniemówił. Widzę coraz mniej wyraźnie, oczy zachodzą mi łzami, buchający z pokoju smród jest nie do zniesienia.

– Pani Dreczekowa – chrypi ojciec. Zaczynam się bać jeszcze bardziej, nigdy nie słyszałem go mówiącego takim tonem. Gardło ma ściśnięte, w głosie słychać strach.

Robię decydujący krok, najchętniej uciekłbym do mamy, ale jednocześnie chcę wiedzieć, co go tak przeraziło.

Lampa uliczna zapala się i gaśnie. Dostrzegam sylwetkę siedzącą w fotelu, na ścianie migają cienie małych postaci.

Zapoznam was, czekają w pokoju.

Lampa znów się zapala.

W fotelu siedzi Dreczekowa, nikogo innego tu nie ma. Staruszka patrzy na okno, w stronę lasu, głowę ma nachyloną, jakby nasłuchiwała, czasem nią potrząsa.

Oddech zakleszcza mi się w płucach.

Jest naga! Na widok bladego, wychudłego, pomarszczonego ciała kręci mi się w głowie, mam odruch wymiotny.

Mój wzrok zatrzymuje się między jej udami, z obrzydzeniem zauważam, że fotel jest mokry od sików.

Jak długo tu siedziała, zanim przyszła po mnie? Kilka dni?

Spogląda na mnie (przysięgam, że popatrzyła prosto na mnie!) i coś charczy.

Mija sekunda, dwie...

Dociera do mnie sens jej słów: – Z mężem też się tu poznali.

Odwraca głowę w stronę ojca, który ciągle zszokowany milczy.

– Wysłali mnie po Jożka, miał przyjść sam – mówi gniewnie. – Zdenerwował ich pan.

Wiem, że ludzie mogą zwariować, ale do tej pory jeszcze tego nie widziałem. Obląkana staruszka emanuje grozą, w której topi się cały pokój. Patrzę na stolik przy fotelu. Stoi na nim pusta butelka po winie, kilka opakowań lekarstw, widzę też rozsypane tabletki i zestaw do manicure.

– Pani Dreczekowa – cedzi przez zęby ojciec.

– Niech pan patrzy! – wrzeszczy, pokazując przez okno na las.

Natychmiast tam spoglądam, jej szaleństwo mnie zaczarowało. Okno jest ciemne, nic przez nie nie widać. Pomarszczona twarz wykrzywia się z przerażenia, staruszka zaczyna koszmarnie wyć i zakrywa oczy.

– Pani Dreczekowa! – krzyczy ojciec i chce do niej podejść, ale rozgląda się po pokoju za czymś do przykrycia.

– Nie chcę, nie chcę! – wyje staruszka i wije się w fotelu. Zanim udaje nam się ją powstrzymać, łapie za nożyczki do paznokci i wbija je sobie w oboje oczu.

– Boże! – krzyczy ojciec, rzuca się na nią i wykręca jej rękę.

Widzę dwie kleiste krwawe dziury zwrócone prosto na mnie.

– Po Jożka! Po Jożka przyszli! – wrzeszczy Dreczekowa i zaczyna jęczeć z bólu. Po policzkach spływają jej gęste ciemnoczerwone strumienie.

Chcę pomóc ojcu, ale strach bierze górę i biegnę z płaczem do mamy. Za plecami słyszę trzask tłuczonego szkła. Później wszyscy przekonywali mnie, że szyba pękła z powodu mrozu, ale nie uwierzyłem im.

Nagle zerwałem się, chwilę zajęło mi, zanim doszedłem do siebie.

Leżałem na kanapie i powtarzałem sobie, że nic nie może mi się stać. Ucisk w piersiach stopniowo ustępował, ale zasnąć mi się nie udało. Ściana oddzielająca mnie od pustego mieszkania po Dreczekach nagle zaczęła wydawać mi się cienka. Zaraz za nią znajdował się pokój, w którym odegrała się ta koszmarna scena.

Co się tam teraz dzieje, jak to tam wygląda – przebiegło mi przez myśli.

Ogarnął mnie strach, od żołądka czułem rozprzestrzeniającą się panikę. Pytanie, które ją wywoływało, wypływało na wierzch powoli i nieśpiesznie jak rozkładający się topielec.

Sformułowałem je dopiero po chwili

Kto teraz siedzi w ich fotelu?

Noc ma swoją własną logikę, nagle wiedziałem na pewno, że w mieszkaniu Dreczekowej ktoś jest, nikt nie przekonałby mnie, że jest inaczej.

Kto tam siedzi i z drugiej strony patrzy na tę samą ścianę?

SLADY

I.

NOCNY LĘK WYSSAŁ ZE MNIE CAŁĄ ENERGIE. Rano te wizje wydawały mi się już śmieszne, ale czułem się jak zbity pies. Rześkość poprzednich dni całkowicie mnie opuściła. Byłem sam w pustym mieszkaniu, nikt za mną nie tęsknił (ciągle żadnego SMS-a, maila czy telefonu).

Przez głowę leniwie przewalały mi się ponure myśli.

Mam zaledwie trzydzieści pięć lat, a już jestem niepotrzebny i odizolowany od świata jak jakiś starzec, nawet gdybym zgnił za tymi ścianami, nikt by tego nie zauważył...

Podszedłem do okna i apatycznie wyjrzałem na zewnątrz.

Na trawniku pomiędzy domami stało stado jeleni. Dwie łanie, dwa młode i jeden duży byk z porożem.

Uśmiechnąłem się. Jelenie, sarny, lisy, a nawet wilki w czasie siarczystych mrozów podchodziły bliżej ludzi. Schodziły z gór i wygłodniałe węszyły między budynkami. Jelenie bywały wręcz przerażająco nie płochliwe. Często pozwalały się karmić prosto z balkonu.

Poszedłem do kuchni, wziąłem wyschnięte pieczywo i wróciłem do okna. Chciałem otworzyć je po cichu, ale przymarznięta rama głośno skrzypnęła.

Pięć głów odwróciło się w moją stronę. Strzygły uszami i wypuszczając parę z nozdrzy, badawczo mi się przyglądały. Rzuciłem im kawałek rogalika. Najpierw odskoczyły, ale po chwili zaczęły węszyć i zgromadziły się wokół pożywienia.

Rzucałem im kolejne kawałki. Przeżuwały mechanicznie, uważnie mnie przy tym obserwując. Znów się uśmiechnąłem, poprawiły mi nastrój. Małe

jelonki z drobnymi różkami i zaśnieżonymi nosami były naprawdę urocze.

Zamknąłem okno, na zewnątrz panował mróz nie do wytrzymania. Nawet nie próbowałem włączać radia, wiadomości o kolejnych rekordowo niskich temperaturach i liczbie zamrożniętych osób nie były mi do niczego potrzebne.

Przed obiadem planowałem wyjść na zakupy, kończyły mi się zapasy. Poprzysiągłem sobie, że tym razem nie zapomnę kupić książki. Jakiegokolwiek, byle tylko tak strasznie się nie nudzić.

Jedząc śniadanie, przez kuchenne okno obserwowałem okolicę. Po policjantach nie było śladu, chociaż jeszcze wczoraj było ich tak wielu. Do lasu weszła jednak grupka miejscowych mężczyzn, zapewne organizowali akcję poszukiwawczą.

Po co – na takim mrozie?

Zawstydziłem się, w tej myśli było jednak coś rozsądnego. Jeśli Janko zabłądził w lesie, nie mógł przeżyć nawet kilku godzin, a co dopiero wyjątkowo mroźnej nocy.

Ale logika nie miała z poszukiwaniami nic wspólnego. Janko się zgubił i mężczyźni go szukali, musieli go znaleźć, nie zastanawiali się nad tym, czy będzie żywy czy martwy.

Jelenie zniknęły, pochmurne myśli powróciły. Wbijałem wzrok w białe pustkowia, jakbym patrzył w głąb siebie. Las tonący pod sypkim śniegiem, kręty labirynt, w którym mały chłopiec zabłądził i zmarzł.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Poderwałem się, krótki dźwięk ożywił we mnie dziesiątki wspomnień.

Dzwonek do drzwi odmierzał mi rytm całego dzieciństwa.

Podszedłem do judasza i spojrzałem na korytarz.

Przed drzwiami stała Hana, rybie oko wizjera komicznie zniekształciło jej postać.

Serce zaczęło mi szybciej bić. Przez całe dzieciństwo i młodość wyobrażałem sobie, że kiedyś do mnie przyjdzie. Właśnie wtedy, gdy będę sam w domu. Zadzwoń do drzwi, otworzę jej i...

Nigdy nie przyszła.

Dopiero teraz.

Spóźnione dziecięce marzenie wjechało na drugi tor.

Przekręciłem klucz i otworzyłem drzwi.

– Cześć – uśmiechnęła się.

– Cześć – oprócz chłodu nie było we mnie nic. – Wejdz.

Weszła, a ja miałem nadzieję, że nie poczuje smrodu cebuli.

Zrzuciła z siebie grubą kurtkę, czapkę i wymotała się z szalika. Została tylko w fioletowym swetrze i džinsach. Zaproponowałem jej kapcie ojca, odmówiła, w mieszkaniu nie było zimno (już nie bałem się kręcić pokręteł od kaloryfera).

Zaprowadziłem ją do dużego pokoju i szybko zaparzyłem zieloną herbatę.

– Dzięki – powiedziała, kiedy ją przyniosłem.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, zmierzyła pomieszczenie wzrokiem. Na kocu i poduszce leżących bezładnie przy kanapie zatrzymała się na kilka sekund dłużej, ale nie skomentowała ich.

– Przepraszam, że byłem taka... – skinęła głową.

Uniosłem brwi, nie rozumiałem, o czym mówi.

– Mam na myśli wczoraj, na dworze.

– Aha – dotarło do mnie, że chodzi o jej wczorajszą oschłość. – Proszę cię – machnąłem ręką. – Rozumiem – dodałem po chwili.

Kiwnęła głową, patrzyliśmy sobie w oczy. Jej były szmaragdowozielone. Zastanawiałem się, czy za każdym razem, kiedy

patrzy w lustro, przypomina się jej polana z zielonymi oparami.

– Przyjeżdżam tu do mamy – wzruszyła ramionami. – Razem z Mirką.

– Ile ma lat?

– Pięć.

Uśmiechnąłem się:

– Nie śpieszyliście się ze Stanem.

– A jak u ciebie?

Uśmiech zniknął mi z twarzy:

– Też się nie śpieszę.

– Myślałam, że już od dawna jesteś żonaty.

– Byliśmy razem trzy lata.

– I co, nie wyszło?

– A jak myślisz? – wskazałem na pokój rodziców.

Napiła się herbaty, przez kilka sekund milczała, po czym odwróciła wzrok do okna.

– Zastanawiam się nad rozwodem – wymamrotała ze spojrzeniem wbitym w las ginący w zimowej mgle.

– Ty?

Znów wzięła łyk, herbata była gorąca, ale Hana jakby tego nie czuła. Wokół palców okręciła sobie końcówkę jasnych włosów. Mimo przerażenia uśmiechnąłem się w duchu – powrót w rodzinne okolice wywoływał w nas nawyki z dzieciństwa. Jej bawienie się włosami było jak moje obgryzanie paznokci.

Nie wiedziałem co powiedzieć, więc milczałem.

– Nie potrafię podjąć decyzji – dodała. – Stano jest... Kłócimy się, strasznie pije, nie chcę, żeby Mirka w tym wszystkim...

– Rozumiem – przerwałem jej.

– Na początku myślałam, że będzie lepiej, ale jest coraz gorzej. Dlatego tutaj przyjeżdżam. Tu odpoczywam.

– Chcesz dla niej jak najlepiej, to jasne – starałem się okazać empatię.

– Więc potrafisz sobie wyobrazić, jak się wczoraj przestraszyłam.

Potrafiłem to sobie wyobrazić, ale wołałem tylko milcząco przytaknąć. Jak najlepiej dla córeczki. Najważniejsze, żeby nie wychowywała się w nieprzyjaznym otoczeniu, dlatego przywiozła ją tutaj, w najbardziej przyjazne miejsce na świecie, gdzie o poranku spacerują przeurocze jelonki i gdzie właśnie zniknął Janko Milicky. Świetna matczyna decyzja!

Popatrzyła na mnie, w jej oczach znów kotłował się zielony strach. – Myślisz, że to będzie...?

– Jak wtedy? – dokończyłem bez wahania. Odwróciłem wzrok i odłożyłem filiżankę na stół, od razu odechciało mi się herbaty, odechciało mi się wszystkiego, co zielone.

– Nie myśl o tym – wymamrotałem.

Nie odpowiedziała, cały czas patrzyła przez okno, jakby widok zaśnieżonych drzew ją uspokajał.

W pokoju nastała cisza, pochłonię nas huk metalowych walców, rozlegający się w naszych umysłach.

II.

Z ZAKUPÓW WRÓCIŁEM PRZED DRUGĄ. Cieszyłem się, że za chwilę wejść do domu, mróz był nie do wytrzymania. Wizja położenia się na kanapie i zatopienia w lekturze (w Tesco kupiłem sobie jakąś mafijną szmire), dodawała mi sił, kiedy brodziłem w drodze powrotnej przez zaśnieżony las. Ledwo otworzyłem drzwi na klatkę schodową, usłyszałem, że ktoś schodzi z góry.

Złodziej? – przyszło mi do głowy. Złodziej albo bezdomny wymęczony siarczystym mrozem. Serce zaczęło mi bić jak szalone, kroki zbliżały się.

Zza zakrętu schodów wyłoniła się postać. Początkowo nie rozpoznałem jej, ale wystarczył jeden utykający krok.

Odetchnąłem.

– Gdzie się pałętasz? – zapytał Ota. – Wydzwaniałem do drzwi, już się bałem, że też zniknąłeś.

– Byłem na zakupach – zaśmiałem się.

– To zanieś je do domu i chodź nam pomóc.

– Pomóc? – nie rozumiałem.

– Przeszukujemy las, może zdarzy się cud.

– Las? – zakręciło mi się w głowie, nie byłem na to przygotowany, zaskoczył mnie. – Ja do lasu to za bardzo... przecież wiesz – jęknąłem.

Dobroduszną twarz kolegi spochmurniała.

– Co się stało, to się nie odstanie, nie zmienimy tego. Chodzi o życie dziecka, opamiętaj się!

Spojrzałem na niego, byłem ciekaw, czy naprawdę wszystko wymazał z pamięci i czy naprawdę jest taki nieustraszony.

– Ty... – zawahałem się. – Ty się nie boisz tam iść?

Patrzył na mnie, na pierwszy rzut oka odważnie, ale gdzieś pod powierzchnią dostrzegłem kłębiący się lęk. Czyli nie zapomniał, w nim też nasionka strachu wciąż kiełkują.

– Mam dwóch synów, potrafię sobie wyobrazić, jaki to strach, kiedy znika dziecko. Nie mogę siedzieć w domu na dupie! – wykrzyknął. Uniknął odpowiedzi, ale i tak wszystko było dla mnie jasne.

Wpatrywał mi się prosto w oczy, jego jasnoniebieskie tęczęwki fascynowały mnie od dzieciństwa.

– Zjem chociaż kawałek chleba – mruknąłem i ruszyłem do mieszkania, żeby zostawić zakupy.

Ledwo wszedłem do środka, zapragnąłem zatrzęsnać za sobą drzwi, zamknąć je na klucz i schować się kącie. Klucz najchętniej wyrzuciłbym w śnieg.

Wejść do lasu!

Ale zamiast tego wszystkiego odgryzłem kilka kęsów suchego chleba (nie mogłem go przełknąć), napiłem się wody i wróciłem do Oty.

Razem ruszyliśmy pod górę, w stronę rzędu świerków wznoszących się za domem.

Nie musieliśmy wdrapywać się po zboczu, mogliśmy iść ścieżką, nawet jeśli była zasypana świeżym śniegiem. Tyle że wtedy musielibyśmy przejść obok starej rozdzielni elektrycznej przyczajonej niepodal pod drzewami. Na to nie mieliśmy ochoty. Nieważne, czy Ota zapomniał czy nie zapomniał o zimie sprzed dwudziestu siedmiu lat. Nikt nie zaciągnąłby go do popękanych murów rozdzielni. A mnie? Bałem się nawet spojrzeć na dach ginący w pobielonych zaroślach. Wzrok wbijałem przed siebie – w ciemne przejścia między zaśnieżonymi krzakami i pod koronami iglaków.

Z każdym krokiem moje nogi stawały się coraz cięższe. Kiedy poczułem zapach zmrożonych drzew, niewiele brakowało, żebym odwrócił się i uciekł. Opanowałem się, zdecydowany marsz Oty mnie omamił. On z pewnością też się bał (nasionka ciągle kiełkowały), ale mimo to nie zwolnił kroku, śmiało kuśtykał do przodu, rozgarnął krzewy i zanurzył się w półmroku.

Zimowy las przypominał labirynt. Brodziliśmy wąskimi ścieżkami, widok wyższych partii góry zasłaniała nam zwarta warstwa bieli na gałęziach. Sapaliśmy, pomimo wgryzającego się w nas bezlitośnie zimna wysiłek wyciskał z nas siódme poty.

Po dziesięciu minutach znaleźliśmy się na płaskiej polanie. Znałem tutaj każdy kąt, spędziłem w tym miejscu prawie całe dzieciństwo. U podnóża Czebrata nie zabłądziłbym nawet z zawiązanymi oczami. Pamiętałem, kiedy byłem tu po raz ostatni. Wiedziałem to dokładnie – w lutym 1985 roku. Od tego czasu moja noga tu nie stanęła.

Pomimo upływu czasu nie potrafiłem się od tego odciąć. Jakby tych dwudziestu siedmiu lat wcale nie było, jakby zniknęły, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki. Stałem na łące nazywanej Małym Szałasem i miałem wrażenie, że nigdy nigdzie się stąd nie ruszałem. Las uszczknął sobie kawałek mojej duszy, wyjechałem wprawdzie do szkoły średniej, na uniwersytet i do Żyliny, ale ta częśćka, którą las sobie przywłaszczył, została tutaj.

Ota machnął ręką i wskazując na zachód, zaczął coś krzyczeć. Początkowo go nie rozumiałem – uszy zakrywała mi czapka i szal omotany wokół głowy.

– Tam jest reszta – krzyknął jeszcze raz.

Nie wiedziałem, kto to jest ta reszta, która szuka Janka, ale moje złe przeczucia nasiliły się. Gdyby nie było tak zimno, zapytałbym, czy między nimi jest też Bohusz. Nie chciałem go spotkać.

Mróz jednak zamknął mi usta, kroczyłem więc po cichu za utykającym kolegą. Zauważyłem, że im głębiej wchodziliśmy do lasu, tym bardziej się kulił. Nie był jedyny, którego dosięgała przeszłość. Wchodzenie do lasu było jak zanurzanie się w wodzie. Każdy krok przybliżał nas do dna. W uszach i w nosie czułem coraz mocniejszy ucisk, jakbyśmy zeszli już na głębokość dwudziestu metrów. Jeszcze siedem i... Huk aut, dobiegający z głównej drogi przy Wagu, rozplynął się w miękkim szumie.

Przebrnęliśmy do kolejnej polany, tym razem znacznie większej. Wielki Szałas – tak nazywaliśmy ją od zawsze. Z trzech stron otaczały ją świerki

i wysokie sosny, od południowej strony otwierał się wspaniały widok na Rużomberok przycupnięty w uścisku gór Wielkiej Fatry i Niżnych Tatr. Dziś nie było widać zbyt wiele, kotlina topiła się w mlecznej mgle. Po przeciwnej stronie polany, pod wzniesieniem, zobaczyłem grupkę mężczyzn. Ruszyliśmy do nich, śnieg był twardy, chrząścił nam pod nogami.

Cały czas rozglądałem się dookoła, serce mi waliło.

To przez to chodzenie – próbowałem się uspokoić.

Nigdy nie byłem dobrym kłamcą – winny walącemu sercu był przede wszystkim strach. Biegałem spojrzeniem po konarach, gęstwinie i łące pokrytej zmrożonym śniegiem. Kiedy byłem tu ostatnio...

Nie tu, to nie stało się tutaj! – napomniałem się.

Dookoła był zwyczajny las, dobry las. Ale gdzieś pod nim albo przynajmniej równolegle rozpościerał się też zupełnie inny, drugi las.

Zielona mgła, mroźna polana, huk metalowych walców...

Gdzieś tu, u podnóża Czebrata, wchodziło się do drugiego lasu, drogę znały jednak tylko dzieci i wariaci. Raz udało nam się do niego wślizgnąć i prawie stamtąd nie wróciliśmy. Było to dawno (żadnych wspomnień, tylko żadnych wspomnień!), ale nie miałem żadnej pewności, że szczelina nie otworzy się i nie wciągnie mnie teraz ponownie. Albo może drugi las istniał tylko w naszych głowach, w zakamarkach umysłów, tam gdzie człowiek przy zdrowych zmysłach nigdy się nie zapuszcza?

Ocknąłem się, szum w uszach wreszcie ustał. Staliśmy przed grupką poszukujących, jeden z nich coś mówił.

Patrzyłem na niego, niczego nie rozumiejąc.

– A temu co? – Bohusz odwrócił się do Oty. Kolega wzruszył ramionami.

– Cześć, Bohusz – powiedziałem cicho.

– Czołem – wymamrotał, ale ręki mi nie podał. W porządku, według niego nie byłem wart żadnego przejawu koleżeństwa. Nie chodziło o to, że w szkole średniej chodził z Haną (oboje uczyli się w liceum, ja w technikum), chodziło o coś więcej.

Patrzyłem na jego postawną sylwetkę, dodatkowo powiększoną przez markową puchową kurtkę, spojrzałem w oczy w szparze między szalikiem a czapką, które wyglądały, jakby cały czas je mrużył, i miałem ochotę przywalić mu pięścią.

Opanowałem się jednak, na pewno porządnie by mi oddał, w końcu swoją karierę w biznesie rozpoczął od pobić i szantaży.

– Niczego nie znaleźliście? – zapytałem, wskazując na las.

– Zupełnie nic – powiedział inny mężczyzna. – Jeśli się tu zgubił, to już dawno po nim.

Wydało mi się to sensowne, ale Bohusz zmierzył go wzrokiem. Powieki mu się otworzyły bardziej niż normalnie, to wyglądało jak ostrzeżenie.

Mężczyzna zamilkł, rozłożył ręce w przepaszającym geście i wbił wzrok w las.

Bohusz ruszył pod górę, machnął na nas, żebyśmy rozstawili się jak najszerzej. Stworzyliśmy tyralierę i wdrapując się powoli, coraz głębiej zanurzaliśmy się w gęstwinę.

Dopiero tu, nad Szalasem, zaczynał się prawdziwy las. Zerkąłem na Otę kroczącego jakieś dwadzieścia metrów przede mną.

– Janko! Janko! – krzyczeli wszyscy, odpowiadało jednak tylko słabnące echo.

Nie krzyknąłem ani razu, nie chciałem, żeby las mnie rozpoznał. Wiedziałem, że czeka i w milczeniu obserwuje intruzów, którzy się do niego wdarli.

Doszliśmy aż do Małej Skały (na Czebracie wszystko było podwójne, duże i małe). Rozszczepiona turnia przypominająca dwie olbrzymie igły wbite obok siebie. Bohusz dobiegł do nas dopiero teraz, przeszukiwał gruzowisko po zbiorniku wodnym ukrytym w zaroślach.

– Nic – pokręcił głową. Zazdrośnie zauważyłem, że podczas pośpiesznej wspinaczki nie zasapał się. Na pewno regularnie ćwiczy i utrzymuje formę.

Starłem pot z czoła i odwróciłem się znów w stronę skały. Ciągłe nie mogłem złapać tchu, nie chciałem, żeby zobaczył, że dostaję w kość.

Dookoła skały ciągnęły się wydeptane łańcuchy śladów. Przeważały odciski butów – z pewnością ktoś już tu szukał Janka. Oprócz nich były jednak także drobne ślady lisa, racice jelenia i kilka innych, których nie rozpoznałem.

Obeszliśmy turnię i z tyłu wyszliśmy na szczyt jednej z kamiennych iglic. Spoglądałem na czubki świerków, które rozpościerały się pod nami ze wszystkich stron. Za moimi plecami skrzypiał las. Zaczął dąć zimny wiatr, po śniegu ślizgały się zamarzniete kryształki. Mogło być jakoś przed czwartą, już chwilę temu nakrył nas gęstniejący półmrok.

Z lasu zaczął wydobywać się metaliczny zapach. Kiedy tylko go poczułem, wiedziałem, że nie przynależy do tego miejsca. Jakby między drzewami ktoś roztopił cynę, mnóstwo cyny. Pozostali również to poczuli, nie znali niczego podobnego.

Ja znałem...

Złapałem się na tym, że przyciskam dłonie do uszu. Najpierw mnie to zaskoczyło, ale sekundę później zrozumiałem – przez las niósł się potworny huk, prawie pękły mi bębenki.

Spojrzałem na pozostałych, oni także mieli ręce przyłożone do uszu. Wszyscy oprócz Bohusza. Zaciskał pięści i z całych sił starał się nie

poruszyć. Huk z pewnością wwiercał mu się w mózg, ale on postanowił mu się przeciwstawić, za żadne skarby nie chciał go do siebie dopuścić.

Mężczyźni rozglądali się z przerażeniem, Ota podszedł do mnie, jakby chciał mnie ochronić, ale zatrzymał się kawałek ode mnie i wbił wzrok w głąb lasu.

Od kiedy dopadł nas ten hałas, kręciło mi się w głowie, a klatka piersiowa ścisnęła się tak, że nie mogłem wziąć głębszego oddechu. Zdjąłem więc szalik z twarzy i zacząłem płytko oddychać. Smród metalu nasilił się, miałem wrażenie, że wdycham ciekłą cynę, chciało mi się wymiotować.

Huk, Dreczekowa, rozbite okno...

Miałem wrażenie, że skała lekko się chwieje.

Naraz wszystko ucichło, nagle znaleźliśmy się w dźwiękowej próżni. Wszystko było takie samo, ale w uszach piszczało mi, jakby przy głowie wybuchła mi petarda. Wciągnąłem nosem powietrze – zapach śniegu, lodu i żywicy, nic więcej.

– Pewnie samolot, nisko lecący bombowiec – mamrotał Bohusz ze wzrokiem wbitym w zaciągnięte niebo. – Mróz robi cuda z dźwiękami.

– Cicho – syknął Ota.

Nie powinien był tego mówić, wolałbym, żeby Bohusz gadał, żeby nadawał w nieskończoność i nigdy nie przestawał.

Ale Bohusz zamilkł, a my to usłyszeliśmy.

Po zmrożonym śniegu niósł się dziecięcy śpiew. Tylko krótki fragment śpiewany cienkim głosikiem. Melodia wybrzmiała, po czym zatopila się w porażającą leśną ciszę.

– Cholera... – wymamrotał Bohusz.

Śpiew dotarł do nas ponownie, pochodził z lasu znajdującego się nad nami, ale echo roznosiło go na wszystkie strony.

– Janko? – szepnął Ota.

Spojrzałem w jego nienaturalnie wytrzeszczone oczy i pokręciłem głową.

Dziecięcy śpiew, cienki dziecięcy głosik nucący prostą melodię...

Wiedziałem, co to znaczy, jakaś częśćka mnie wiedziała, strach był o wiele głębszy, niż do tej pory sądziłem.

Bohusz przyłożył dłonie do ust. Rzuciłem się w jego stronę, chciałem go powstrzymać, ale nie zdążyłem.

– Janko! – krzyknął z pełnych płuc.

– Nie! – wycharczałem przez ściśnięte gardło.

– Co nie?! – obruszył się.

– Nie... nie przywołuj... – wyjąkałem.

Machnął tylko ręką i znów krzyknął: – Janko!

Dźwięki ucichły, echo umilkło, nic więcej nie usłyszeliśmy. Chwiejnym krokiem szliśmy po chrzęszczącym śniegu. Półmrok zgęstniał, zimno dawało nam w kość.

– To nie mógł być on – powiedział cicho Ota. Pozostali przytaknęli. Oni też już zamarzali, chcieli wracać, wprawdzie o niczym nie wiedzieli, ale zarazili się ode mnie strachem.

Bohusz rozważał pójście głębiej do lasu.

– Może to radio albo dziecko podśpiewujące sobie na naszym osiedlu – przekonywał go Ota.

– Tak myślisz?

– Sam mówiłeś, że taki mróz robi z dźwiękami cuda.

Bohusz skinął głową, ale nie wydawał się przekonany.

– Chodźmy, już prawie ciemno, zimno jak cholera – nalegał któryś z mężczyzn.

To zadecydowało (zalała mnie fala ulgi), ruszyliśmy ze skały w dół. Kroczyliśmy po swoich śladach. Zeszliśmy pod turnię, Ota szedł pierwszy.

Nagle gwałtownie zatrzymał się i znieruchomiał, jakby wrósł w ziemię.

– Ha! – wyrzucił z siebie i wskazał na śnieg.

Skupiliśmy się wokół niego. Zrobiłem błąd, nie powinienem był patrzeć, ale trzęsący się palec omamił mnie.

Obok łańcucha naszych stóp ciągnęły się drobne ślady.

– Dziecko? – zapytał Bohusz. W narastającej panice zauważyłem, że zadrżał mu głos.

– Musiało iść za nami – wykrztusił z siebie Ota. – Po cichu, nie słyszeliśmy go. Doszło aż tutaj, pod skałę i...

– Czekало tu, a my staliśmy na górze – dokończyłem.

Bohusz mnie ofuknął:

– I gdzie teraz zniknęło, mądralo?!

Wszyscy widzieliśmy te ślady. Tu się urywały.

– Może wróciło po swoich śladach, wiesz, jakie są dzieci, wymyślają głupie zabawy – wymamrotał niepewnie Ota.

Mężczyźni zaczęli zbierać się do domów, nie mieli ochoty rozwiązywać kolejnej zagadki, każdy jak najszybciej chciał znaleźć się w cieple swojego mieszkania. Ale nasza trójka wciąż stała nad śladami, starając się nie patrzeć jeden na drugiego. Gdzieś w głębi duszy przeczuwaliśmy, o co chodzi. Właściwie wiedzieliśmy to bardzo dobrze.

III.

CAŁĄ NOC PRZEWRACAŁEM SIĘ NA KANAPIE. Nie miałem odwagi, by zgasić światło, chociaż oświetlony pokój otoczony ciemnością

działał mi na nerwy. Czas płynął, cisza dławiała mnie, niespokojnie przekręcałem się z boku na bok.

Od czasu do czasu zapadałem w płytką drzemkę.

Dziecięcy śpiew w lesie, kto go usłyszy... – przebiegło mi przez myśl i od razu się obudziłem.

Kiedy po dwóch godzinach znów udało mi się zasnąć, z przyjemnej mgły wyrwało mnie wspomnienie drobnych śladów na śniegu.

Tysiące szaleńczo rozproszonych śladów...

Później aż do rana nie zmrużyłem oka. Zalewał mnie pot, chyba przemarzłem w lesie. Dręczył mnie nie tylko strach związany z wczorajszymi wydarzeniami i coraz ostrzejszymi i nachalniejszymi wspomnieniami z lutego 1985 roku. To było coś więcej, narastało we mnie napięcie, zmuszało mnie do myślenia o czymś, o czym za żadne skarby nie chciałem myśleć.

O kimś...

W skupieniu patrzyłem na drzwi do sypialni. Nie mogły się otworzyć, ani choćby uchylić, nie mogły! Póki pozostawały zamknięte, oddzielały mnie od dziecięcego pokoju, od osoby, którą musiałem za wszystkie skarby świata zatrzymać za ich progiem – cokolwiek by się nie działo.

ZGUBY I ZNALEZISKA

I.

WSTAŁEM O SZÓSTEJ, po omacku poszedłem do kuchni i zrobiłem sobie śniadanie. Musiałem zatrzeć krwawy posmak, który utrzymywał mi się w ustach – na obgryzione kciuki nie chciałem nawet patrzeć. Podeszedłem do okna. Ogrody za szybą spowijał półmrok. W lecie bywał tu piękny widok – kwitnące krzewy, rabaty z kwiatami mieniające się kolorami, zbocza pokryte falującą trawą, świerki pachnące żywicą.

Teraz widać było tylko opustoszały, zaśniewany pagórek, kilka ogołoconych z liści krzewów i nieprzyjaźnie wyglądający las. Przy domu coś się poruszyło. Najpierw poczułem strach, ale po chwili uśmiechnąłem się. To stado jeleni przechodziło, szukając pożywienia. Pierwszy szedł przywódca stada, nie miał zbyt okazałego poroża, dawałem mu nie więcej niż pięć lat. Za nim ostrożnie kroczyły dwie łanie, młode trzymały się z tyłu.

Widok zwierząt uspokoił mnie. Pomimo iż na zewnątrz panował siarczasty mróz (termometr znów wskazywał temperaturę poniżej minus trzydziestu stopni), uchyliłem okno i rzuciłem jeleniom kilka rogalików. Spojrzały na mnie, nastawiły uszu, ale na jedzenie się nie rzuciły, zachowały godność. Dumnie zbliżyły się do pieczywa, skłoniły długie szyje i rozpoczęły ucztę. Kiedy wszystko dokładnie przeżuły i połknęły, podniosły łby i zaczęły świdrować mnie wzrokiem. Stojąc bez ruchu, wyglądały jak posągi. Nie wytrzymałem i rzuciłem im jeszcze dwa rogaliki.

Byłem niespokojny, wczorajsze poszukiwania coś we mnie rozedrgały, strach odkrył wspomnienia. Stare mieszkanie dodatkowo to nasilało, wszystko w nim ożywiało obrazy, które już kiedyś wymazałem z pamięci.

Spojrzałem na szafkę kuchenną z naklejką Kaczora Donalda, którą przed laty nalepiła tam...

Zamknąłem oczy, szybko wstałem, chciałem uciec, ale nie było dokąd. Pokój, łazienka, przedpokój – wszędzie czyhały zasadzki. O sypialni nawet nie wspominam.

Przez chwilę wydawało mi się, że w kuchni śmierdzą śmieci. Nonsens, przecież do kosza wyrzuciłem tylko kilka opakowań po daniach w proszku. Ale każda wymówka była dobra. W kuchni śmierdzą śmieci i kropka! Co gdyby znów wpadła Hana, co by sobie o mnie pomyślała? Ubrałem się szybko (każda sekunda w mieszkaniu była niebezpieczna), złapałem kosz i wyszedłem.

Kiedy zbiegłem po schodach i otworzyłem drzwi, w twarz uderzył mnie północny wiatr. Płuca i oskrzela zacisnęły się, zacząłem kaszleć. Spod świerkowego porostu obserwowało mnie pięć jelenich głów. Kiedy upewniły się, że nie stanowią zagrożenia i że nie rzucę im niczego dobrego, przestały się mną interesować. Młode zatopiły nosy w śniegu i zaczęły go przeszukiwać.

Musiałem obejść prawie cały budynek. Akurat kiedy przechodziłem obok bocznego mieszkania, zazgrzytał zamek. Po chwili skrzypnęły zawiasy i otworzyły się drzwi wejściowe. Wyszedł pan Klisz i z zakłopotaniem skinął do mnie głową.

– Dzień dobry – przywitałem się. Mróz wślizgnął mi się do ust, czułem się, jakbym mówił w lodowatej wodzie.

Zza drzwi wyszła dwójka dzieci – siostry – ledwo je pamiętałem. Kiedy przyjechałem tu poprzednio, były jeszcze malutkie, od tego czasu sporo urosły. Starsza mogła mieć dziesięć lat, młodsza dwa-trzy lata mniej.

Dziewczynki szły do szkoły, ojciec je odprowadzał.

Żaden rodzic nie puściłby teraz dzieci bez opieki – pomyślałem. Dokładnie tak, jak wtedy...

Musiałem śmiesznie wyglądać, siostry uśmiechnęły się do mnie, młodsza wyszczerzyła białe ząbki.

Zakręciło mi się w głowie. Siostry, dwie małe siostry, to był podwójny cios.

Nalepka Kaczora Donalda na kuchennej szafce.

Kto ją tam nakleił!?

– To jest pan Karsky – wymamrotał Klisz, dzieci się przywitały.

Skinąłem głową i poczłapałem w stronę kontenera. Ojciec z córkami patrzyli na mnie z zakłopotaniem, Klisz z pewnością sądził, że jestem wariatem, narkomanem lub zboczeńcem. Pośpiesznie zszedłem po zboczu do kontenera. Nagle poślizgnąłem się i – jakby na potwierdzenie wspaniałego wrażenia, jakie niewątpliwie po sobie zostawiłem – omal nie wyrznąłem jak długi. Dobiegł do mnie dziewczęcy śmiech. No cóż, przynajmniej trochę się ubawiły przed szkołą.

Ja nie, ich spojrzenia, uśmiechy i śmiech trafiły w moje najczulsze miejsce.

Alica.

Trzewia zaczęły mi ciążyć, ręce roztrzęsły się, połowę zawartości kosza wysypałem na drogę zamiast do śmietnika.

Na szczęście jako tako nad sobą zapanowałem i udało mi się wyrzucić z głowy tę do niedawna zapomnianą twarz. Krążyła jednak wokół, szukając szczeliny, przez którą mogłaby wślizgnąć się z powrotem.

Odczekałem, aż Kliszowie odejdą – młodsza dziewczynka ślizgała się na lodzie, piszcząca i cieszyła się z mrozu, który mnie zabijał. Wróciłem za dom, nie byłem jednak w stanie przekroczyć progu. Bezradnie stałem przed wejściem i przestępując z nogi na nogę, gapilem się na cichy las. Jelenie

odeszły, stałem w puszystym śniegu, trzymałem pusty kosz na śmieci i marłem.

Alica – znów przyszło mi do głowy.

Tym razem nie poderwałem się ani nie broniłem, nie miałem już siły na walkę. Twarz mi się wykrzywiła, broda rozedrgała. Łzy rozmazały mi widok na gałęzie, po policzku spłynął orzeźwiający strumień. Przez chwilę stałem z drżącymi ramionami, ale szybko się opamiętałem. Przekroczyłem próg (przeczuwałem, co mnie za nim czeka), wszedłem na korytarz i powlokłem się na piętro.

Wszedłem do mieszkania i zrzuciłem z siebie kurtkę, zaraz potem ogarnęła mnie niemoc. Po nieprzespanej nocy dopadło mnie zmęczenie. Wiedziałem, że się okłamuję, tak jak wtedy, gdy przekonywałem sam siebie, że czuję zapach śmieci. Teraz też starałem się uciec, wmawiając sobie, że jestem wykończony na śmierć. Sen stanowił jedyną drogę ucieczki. Tyle że to też było oszukiwanie samego siebie – sen nie był żadną ucieczką, wręcz przeciwnie. We śnie mogę uciec z mieszkania, ale rzucam się w objęcia wizji i dawno pochowanych wspomnień.

Alica, zaśnieżona polana, huk metalowych walców...

Opadłem na kanapę, zacisnąłem powieki i złapałem się za głowę.

Po co tu przyjechałeś – wyrzucałem sobie. Po co tu, na litość boską, przyjechałeś?

Nie miałem gdzie się podziać, nie mogłem zostać w Żylinie, musiałem wrócić! – tłumaczyłem się sam przed sobą. Zawsze tu wracałem, niezabliźniona rana przyciągała mnie, a jednocześnie przerażała. Teraz w niej ugrzązłem, dokładnie pośrodku ropiejącej tkanki, nie miałem dokąd uciec, nie miałem...

Na chwilę przed tym, jak zmógł mnie sen, miałem atak paniki. Był to ostatni przeblysłk świadomości, jak rozpaczliwa próba złapania powietrza

przez tonącego, zanim silny wir ściągnie go na dno.

Leżę na łóżku i obserwuję smugę księżycowego światła oświetlającego plakat Arnolda Schwarzeneggera na ścianie. Kołdrę mam podciągniętą aż pod brodę, boję się, ale regularny oddech siostry uspokaja mnie.

Obracam się na drugi bok i spoglądam w stronę łóżka po przeciwnej stronie pokoju. Alica pomimo półmroku zauważa moje spojrzenie i zmęczonym ruchem macha mi drobną rączką. Wie, że od kilku nocy trzęsę się ze strachu. Wszystko zaczęło się dwa tygodnie temu, od przygody z obłąkaną Dreczekową. Jakby tego było mało, kilka dni później...

– Śpisz? – pytam szeptem, żeby zatamować strumień brzęczących myśli.

– Nie – odpowiada siostra, podnosi się na łokciach i przechyla głowę na cienkiej szyi.

– Jak myślisz, co mu się stało? – pytam.

Wie, o co pytam – od kiedy zniknął Milan Jurecky z dolnej części ulicy, cała okolica nie mówi o niczym innym.

– Nie rozmyślaj, tylko śpij – odbija piłeczkę. Nie naciskam, wyraźnie słyszę, że jej głos też się zmienił, ona również się boi. Nigdy się do tego przede mną nie przyzna, jest przecież starsza o dwa lata, ale szaleństwo Dreczekowej i zniknięcie Milana przeraziły ją.

Wyciągam rękę i ze stolika przy łóżku biorę kompas, który dostałem od niej na Boże Narodzenie. Uspokaja mnie, gdy nim potrząsam, fosforyzująca wskazówka zawsze wraca na tę samą pozycję.

Północ jest gdzieś za Czebratem, nawet kompas przypomina mi o lesie, potrząsam nim coraz mocniej, żeby wskazał coś innego.

– Nie tłucz się – mamrocze Alica. Przeszkadza jej ciche skrzypienie kręcącej się wskazówki. Zamykam kompas w dłoni, dźwięk cichnie.

– Może tylko zabłądził – mówię i już po chwili tego żałuję. Zazwyczaj takie uwagi prowokują Alicę do uspokajania mnie, ale tym razem uderzyłem w inną strunę.

– Nie zabłądził – odpowiada szybko. Zaczynam rozumieć, że coś w sobie dusiła, nie chciała o tym mówić. Teraz jednak nie zapanowała nad sobą, strach ściska jej gardło. Jestem wprawdzie młodszy, ale nikomu innemu nie może się zwierzyć, rodzice by ją wyśmiali, ojciec byłby zły.

– Nie zabłądził, to coś innego – mówi dalej. – Dokąd by poszedł w taki mróz? Coś się dzieje, coś... – milknie i kręci głową, czarne włosy szeleszczą o poduszkę.

– Jakie coś? – szepczę w napięciu. Boję się, co powie, jestem przerażony, ale muszę usłyszeć każdą sylabę.

– Wczoraj wybiegłam na zewnątrz, było już ciemno – nie kończy zdania, nie musi mówić dalej. Wiem, że chodzi karmić jelenie. Mama jej tego zabroniła, żadne dziecko nie wychodzi teraz bez opieki, ale Alica nie słucha i czasem wymyka się z mieszkania. Zbiega po schodach przed dom, rozrzuca na zboczu suche pieczywo i wraca.

– Było już ciemno, przy drzewach słyszałam jelenie – mówi dalej dziewczęcy głos. Zamykam oczy, każde słowo wbija się we mnie jak haczyk wędkarski. – Rzuciłam im parę kromek chleba. Wyszły spod gałęzi i jadły. Nagle poczułam straszny smród, nie wiem od czego. Kiedy jelenie go zwęszyły, zabeczały jak kozy i uciekły. Jakby zwariowały, biegły do lasu, łamiąc przy tym wszystkie gałęzie.

– A później?

Alica milczy, za dobrze ją znam, wiem, że chce coś dodać, ale nie chce mnie jeszcze bardziej przerazić. Tyle że ona też jest wystraszona, potrzebuje się zwierzyć, musi podzielić się tym lękiem. Strach ostatecznie

zwycięża nad skrupułami, siostra rozchyła wysuszone usta, przez chwilę jest cicho, ale po chwili wyrzuca z siebie:

– Wydawało mi się, że w lesie ktoś śpiewa.

– Śpiewa? – zdumiewam się.

– Małe dziecko, między drzewami, gdzieś przy rozdzielni. Zbliżało się i...

– Co widziałaś?

Kołnierz pidżamy przykleja mi się do spoconego karku. Alicja odwraca się do ściany, dobrze ją znam, nic więcej nie powie.

– Co widziałaś? – pytam znów szeptem, choć wiem, że na darmo.

W pokoju pulsuje cisza przerywana przyśpieszonym płytkim oddechem.

Otwieram dłoń z kompasem. Świecąca strzałka wskazuje północ, na Czebrat.

Pokój dziecięcy wypełnia szum naładowany energią, słyszę, jak trzaska, mocno i...

Obudziłem się. Szum wcale nie ustał, wręcz przeciwnie – nasilił się jeszcze bardziej. Zamrugałem zasapanymi powiekami, starając się zorientować w sytuacji.

Dźwięk dochodził z kuchni. Wydało mi się, że w nieprzyjemnym trzaskaniu rozpoznaję fragmenty ludzkiej mowy.

– No, chyba nie... – wymamrotałem, wstałem i ruszyłem na oględziny. Złapałem się na tym, że idę ostrożnie i cicho. Z nerwami jak postronki skradam się we własnym mieszkaniu!

Z każdym krokiem dźwięk stawał się głośniejszy, coraz bardziej nabierałem pewności, o co chodzi.

Zajrzałem do pustej kuchni.

Poobijane szafki, szczerzący się Kaczor Donald, stare radio – nic niezwykłego.

Oprócz tego, że radio samo się włączyło.

Szum wylewający się z głośników wypełnił całe mieszkanie, od czasu do czasu pobrzmiwał w nim urywek rozmowy albo jakiejś ludowej piosenki.

Przez moment stałem niezdecydowany przed odbiornikiem, ale po chwili postanowiłem go wyłączyć.

Stary rupieć, na pewno ma popsute styki, ojciec często walił pięścią w obudowę.

Ostrożnie podniosłem rękę, jakby bojąc się, że radio mnie ugryzie. Dzieliło mnie od niego tylko kilka centymetrów, hałas zrobił się głośniejszy, charczące trzaskanie czyneli rozrywało mi bębrenki.

Nagle wszystko ucichło.

Stałem jak porażony z ręką wyciągniętą w powietrzu. Serce waliło mi nawet w gardle.

Nastała cisza.

Sekunda, dwie...

Dźwiękową próżnię przeciął ostry dzwonek.

Przeszył mnie dreszcz, dźwięk wbił mi się aż do szpiku kości.

Komórka w pokoju – uświadomiłem sobie. Wróciłem z powrotem na kanapę (do milczącego radia ani na sekundę nie odwróciłem się plecami) i podniosłem iPhone leżący na stoliku. Odebrałem połączenie, ale na wszelki wypadek nie przyłożyłem telefonu do ucha – trzymałem go w bezpiecznej odległości.

– No cześć – usłyszałem głos Oty.

– Skąd masz mój numer? – zdziwiłem się.

– Miły jesteś – zaśmiał się kolega. – Od Hany.
– Aha, przepraszam, po prostu...
– Może chciałbyś wpaść? – przerwał mi.
– Gdzie wpaść? – nie rozumiałem.
– No, przecież do mnie, w odwiedziny. Jakiś zasapany jesteś, dzwonię nie w porę?

Czułem, jak się szczerzy, wyobrażając sobie, że przyłapał mnie na czymś srośnym.

– Jasne, przyjdę – wypadło mi z ust. Najważniejsze, że wyjdę z mieszkania.

– No to czekam, drugi bungalow na końcu dolnej ulicy, będę czekał.

Połączenie zostało przerwane, nie wiedziałem, czy sam się rozłączył czy znów coś się dzieje. Głos kolegi dodał mi otuchy i siły. Odważnie wszedłem do kuchni, stanąłem twarzą w twarz z radiem i wyrwałem kabel z gniazdka.

Grymas nie zniknął, ja jednak rozkoszowałem się poczuciem zwycięstwa.

II.

PIĘĆ PARTEROWYCH DOMÓW kuliło się pod wzgórzem. Uliczka była ślepa, jeśli ktoś tu zabłądził, musiał zawrócić. Śnieg na drodze wskazywał, że już od kilku dni nie przejechało tędy żadne auto.

Obszedłem drugi dom (wchodziło się od tyłu) i zadzwoniłem do drzwi. W korytarzu odezwał się tupot dziecięcych stóp. Otworzył mi na oko sześciolatek i kiedy mnie zobaczył, psotnie się uśmiechnął – pewnie przypomniawszy sobie, jak trafił mnie śnieżką w głowę.

Z półmroku wyłonił się Ota, położył synowi rękę na ramieniu, a drugą podał mi na przywitanie.

– Witaj – zawsze zazdrościłem mu tego głębokiego głosu.

– Cześć – odparłem, ale wcale nie zabrzmiało to po męsku. Kiedy zobaczyłem go we własnym domu, z dwójką synów, poczułem się jak w odwiedzinach u starszego wujka, nie u rówieśnika.

– Chłopaki już są, wróciliśmy ze szkoły, może jakoś wytrzymasz.

Wzruszyłem ramionami i uśmiechnąłem się:

– Jeśli nie będą we mnie niczym rzucać.

– Nie będą. Stanko wstydzi się przed gośćmi, nawet go nie zobaczysz. A Ivko będzie grzeczny, prawda? – odwrócił się i mrugnął do syna.

Ivko skinął głową, ale ogniki w oczach mu nie zgasły. Muszę na niego uważać.

U siebie dla pewności nawet do radia nie odwracam się plecami – przebiegło mi przez myśl.

W jednej chwili pogorszył mi się nastrój, wspomnienie mieszkania rodziców było kwaśne jak kropelka octu.

– Dłubię trochę przy aucie, chodź, pokażę ci – rzucił Ota i zaprowadził mnie na schody do piwnicy połączonej z garażem. Bungalowy stały na zboczu, dzięki czemu było tam wystarczająco dużo miejsca, żeby zaparkować samochód.

– Ivko, pilnuj brata! – krzyknął Ota przez ramię, otworzył drzwi (głośno skrzypnęły) i zszedł na dół. Szedłem za nim, byłem ciekaw, co tam ukrywa.

– Nie spodziewaj się ferrari – wymamrotał, jakby czytał mi w myślach.

Znaleźliśmy się w niskim garażu, było w nim chłodno, powietrze śmierdziało olejami i wazeliną. Mały czerwony volkswagen najlepsze lata

miał już za sobą. Otwarta maska zdradzała zawartość wnętrzości, kilka części walało się na ziemi.

– Wiem, że to nie żadne cacko – wymamrotał Ota, jakby na usprawiedliwienie.

Machnąłem ręką:

– Ja w ogóle nie mam auta. I tak jesteś gość, masz taką rodzinę, dzieci, dom...

– To prawda, pewnie – przytaknął. – Ale i dużo zmartwień, ciągle coś wyskakuje. Już prawie rok siedzę w domu, nie ma roboty.

– Słyszałem, że z pracą tu kiepsko.

– Firmy bankrutują, nowych nie ma, każdy, kto ma trochę oleju w głowie, zwija się stąd. Miasto jest wyczyszczone do zera, tu już nic nie pomoże.

Pierwszy raz w jego głosie usłyszałem złość. Myślałem, że zaraz się uspokoi, ale mówił dalej, jakby odkręcił jakiś wentyl i nie wiedział, jak go zatkać.

– Same chińskie sklepy, automaty do gier, coraz więcej Cyganów, totalna dziura!

Nareszcie zrozumiałem – obwinia się, robi sobie wyrzuty, że nie zarabia, że czuje się jak frajer.

– Wiadomo, Rużomberk to porażka – przytaknąłem, żeby podnieść go na duchu. – Też znalazłem pracę dopiero w Żylinie.

– Tylko że ja nie mogę się stąd wynieść. Spłacamy dom, mam dwoje dzieci, dobrze, że chociaż Julia ma robotę.

– A co właściwie robi?

– Uczy w podstawówce, kokosów nie zarabia – wzruszył ramionami. Nie poznawałem go, przed chwilą był wesoły, ale kiedy tylko zeszliśmy na

dół, gdzie byliśmy sami, zmienił się. Ramiona mu opadły, zgarbił się, przy jego wzroście nie można było tego nie zauważyć.

Złapał za ściereczkę i zaczął polerować rdzewiejący błotnik.

– Pracowałem jako kurier, szau można było dostać, ale zawsze coś – opowiadał. – Firma padła, od tego czasu siedzę w domu. Rozmów o pracę od cholery, ile życiorysów powysyłałem... Nikt nawet się nie odezwał.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Będzie lepiej – wydusiłem.

– Gównu, a nie lepiej! Ale mówię ci, za miesiąc głosuję na Fica, koniec z tymi przekupnymi kurwami! – wypluwał z siebie gniewnie. Ściereczka śmigała po błotniku góra-dół.

Polityka była ostatnią rzeczą, o której chciałem rozmawiać. Poza tym Ota zawsze był ufny, łatwo było go oszukać. Już nie zazdrościłem mu ani domu, ani dzieciaków, ani rodziny. Tonący brzytwy się chwyta – jeśli sądzi, że jakiś polityk mu pomoże, nie będę wyprowadzać go z błędu.

– Słyszałeś coś nowego o Janku? – zmieniłem temat.

Ściereczka zatrzymała się na jakieś dwie sekundy, po czym znów została wprowadzona w ruch.

– Nie – odwarknął. Delikatny temat, jeszcze delikatniejszy niż problemy, które go gryzły.

– Jak myślisz, co to było? – nie dawałem mu odetchnąć.

– Hm? – rzucił pochylony. Bronił się, jak tylko mógł, w głowie miał z pewnością całą masę zwrotnic nie pozwalających wjechać myślom na niewłaściwy tor.

– Ten smród, huk, śpiew, ślady...

– Pieprz to! – prawie wykrzyknął. Wstał, rzucił ściereczkę w kąt. – Pieprz to! Co chcesz usłyszeć? Czemu nie dasz mi z tym spokoju?!

Patrzyłem na niego, marszcząc brwi, takiego wybuchu się nie spodziewałem, zawsze był spokojny, nie dawał się tak łatwo wyprowadzić z równowagi.

– Przepraszam, nie chciałem cię wkurzyć – rozłożyłem ręce i ruszyłem w stronę schodów. Wprawdzie zostałem zaproszony, ale to chyba nie był odpowiedni moment na odwiedzin.

– Poczekaj, nie idź – odezwał się. Podszedł do mnie, poklepał po ramieniu, ale nie spojrzał mi w oczy. – Nerwowy jestem, nerwy, no...

– W porządku, nic się nie stało.

– Nie dość, że mam swoje problemy, to jeszcze to gówn. Dzieci samych nie wypuszczam ani na krok – opowiadał. W oczach błysnął mu strach.

– Myślisz, że...? – spróbowałem.

– Ja nic nie myślę! – prychnął. – Nic nie myślę, ani nie chcę myśleć, rozumiesz? – dodał spokojniej.

– Tak, ale...

– Wtedy to też minęło. Tak jak przyszło, tak odeszło, i prawie trzydzieści lat był spokój.

Teraz ja nie wytrzymałem:

– Może dla ciebie, ale nie dla mnie. Ja nie miałem spokoju.

– Wiem, przepraszam, nie chciałem...

– Wiesz, co mi to zrobiło!? Ojciec z matką – dwa wraki, mieszkałem z nimi, spałem w tym pokoju i gapiłem się na jej łóżko, na puste łóżko – zapowietrzyłem się, złość ścisnęła mi płuca i gardło.

– Nie wynieśliście go? – zapytał. – Mam na myśli łóżko.

Nienawidziłem go.

– Nie, nie wynieśliśmy, matka nie pozwoliła dotknąć niczego, co należało do Alicy. Wszystko musiało zostać na swoim miejscu przez wszystkie późniejsze lata, kiedy spałem w tym jebanym pokoiku!

Nic nie odpowiedział, zbladł, wzrok rozbiegał mu się po garażu.

– Ja wtedy, przy tej rozdzielni, naprawdę robiłem, co się dało – wyszeptał i schylił głowę. Oddech mu przyśpieszył, dotarło do mnie, że to pierwszy raz, kiedy o tym mówi.

– Niczego ci nie wypominam – nie odrywałem wzroku od rzuconej ścierki. – Byliśmy dziećmi, poszedłeś jej ze mną szukać, nie jak...

– Dobrze wiesz, co mam na myśli – przerwał mi.

Rzeczywiście wiedziałem. Klatka piersiowa ścisnęła mi się, w oczach poczułem szczypiące łzy. Odwróciłem się, nie chciałem, żeby to zauważył.

– Ja też uciekłem – wycharczałem. – To była moja siostra, a też stamtąd uciekłem, zostawiłem ją tam.

– Wszyscy ją tam zostawiliśmy – powiedział Ota. Gdybym nie wiedział, że stoi za moimi plecami, nie poznałbym go po głosie, taki był zachrypnięty i suchy.

Przy schodach otworzyły się drzwi.

– Mama przyszła! – zapiszczał Ivko. Usłyszeliśmy tupot, obaj chłopcy pobiegli do przedpokoju.

Wytarłem łzy, pociągnąłem nosem i odwróciłem się do Oty.

– Poznasz nas?

– Jasne – uśmiechnął się, ale twarz miał bladą i zmordowaną, jakby ta rozmowa kosztowała nas trzydzieści lat.

III.

JULIA BYŁA MIŁĄ, NIEWYSOKĄ BLONDYNKĄ. Na mój gust trochę przy kości (podały mi się drobne kobiety, zawsze chciałem je chronić – dopiero teraz to zrozumiałem), ale emanowało z niej ciepło i opiekuńczość. Kiedy przywitała się z synami, podała mi rękę – chociaż przysła z mrozu, nie była ani zimna, ani mdła, nic w stylu śniętej ryby.

– Ota bardzo się cieszy, że koledzy z dzieciństwa wracają – powiedziała i uśmiechnęła się.

– Też się cieszę, że znów tu jestem – przytaknąłem z wymuszonym uśmiechem, próbując powstrzymać łzy wywołane wspomnieniem tego, co zrobiliśmy Alicy.

– Napije się pan z nami kawy? – zapytała. Mówiła to szczerze, ale widziałem, że po wdrapaniu się na nasze podgórskie osiedle jest zmęczona i potrzebuje odsapnąć. Do tego mały Stanko pokrzykiwał do niej – chciał jej coś pokazać, ale przede mną się wstydził.

– Nie, dziękuję – odmówiłem. – Pójdę już, mam jeszcze pracę.

– Na pewno?

– Miło mi było panią poznać – zbierałem się do wyjścia.

Ota milczał, wiedział, że w domu już nie porozmawiamy. Do garażu natomiast nie zeszlibyśmy już za żadne skarby świata. Wspomnienia, które w nim ożywiłiśmy, musiały na powrót zapaść w drzemkę, żeby można tam było oddychać.

Powoli zakładałem buty, wcale nie śpieszyło mi się do domu. Przyszło mi do głowy, że zmienię zdanie i jeszcze u nich pobędę, ale wydało mi się to żałosne.

– Przyjdź jeszcze do nas, możesz o każdej porze, do południa jest większy spokój – zapraszał mnie Ota.

– Jasne, wpadnę.

Spojrzał na mnie z grymasem niedowierzania. Dobrze wiedział, że tak szybko się tu nie pokażę. Cudem będzie, jeśli jeszcze kiedyś wejdę do tego domu.

– Daj sobie z tym spokój, nie przywołuj tego – wyszeptał. – Im więcej będziesz o tym rozmyślać, tym będzie bliżej.

Najwyraźniej niczego nie zrozumiał.

– Słyszeliśmy śpiew – rzuciłem, mając nadzieję, że wreszcie pojmie.

– No i?

– Alica też słyszała. Na krótko przed tym, jak... jej się to stało.

– Nie rozumiem – pokręcił głową.

Dlatego już od roku nie masz pracy – pomyślałem złośliwie. Gniew, złość, wszystko było lepsze niż tępa pustka, która mnie wypełniała.

– Nie ma najmniejszego znaczenia, czy o tym myślę, czy nie – odburknąłem rozdrażniony. – To od dawna o nas wie, może nas nawet pamięta. Jak tylko weszliśmy do lasu, przywitało się z nami.

– Myślisz, że... – mruknął zaszepiony.

– Wtedy temu uciekliśmy, ale teraz, kolego, nie wymkniemy się.

– Nonsens! – machnął ręką. – Byłem w lesie z pięćset razy i nic się nie stało. Tylko teraz...

– No, tylko teraz, kiedy to wróciło i byliśmy tam razem.

– Nonsens – powtarzał niezbyt przekonująco. – Dlaczego akurat teraz, po tylu latach? Co się zmieniło? Może to w ogóle nie ma związku z przeszłością, może...

– Nie wiem, dlaczego teraz – znów wszedłem mu w słowo. – Też tego nie rozumiem. Ale to, co jest w lesie, dobrze pamięta, że wtedy mu się wywinęliśmy. Spróbuje to naprawić, uwierz mi.

Przez chwilę pomilczał, przebiegł wzorkiem po pobliskim lesie i ciężko westchnął.

– Trzymaj się – powiedział chłodno, wszedł do domu i zamknął drzwi.

Przez całą drogę powrotną wyrzucałem sobie swoje błędy.

Odbiło mi? Po co wyskakiwałem przy nim z tymi swoimi urojeniami, najzwyklejszymi fantazjami, które lęgną mi się w głowie w bezsenne noce?

Musiałem im dać upust, to prawda, ale już kiedy je wypowiadałem, sam przed sobą czułem się jak idiota. Wszystko, co mu powiedziałem, to była tylko bańka mydlana, nic więcej. Chyba naprawdę mi odbiło (gdybym wiedział, co się wydarzy, takie osądy zostawiłbym sobie na później).

Udało mi się osiągnąć tylko to, że przestraszyłem sam siebie. Bardzo mądrze, zwłaszcza, że wracałem do pustego mieszkania z radiem, które samo się włączało. Już czułem, co mnie tam czeka. Kiedy tylko się zdrzemnę, ożywione wspomnienia rzucą się na mnie jak wygłodniałe harpie.

Mroźna polana, zielona mgła, huk metalowych walców.

Alica.

Zostawiliśmy ją tam, wszyscy odwróciliśmy się do niej plecami.

Poszedłem aż do końca ulicy, odwlekałem powrót, jak tylko się dało. Było jakoś po trzeciej, osiedle zaczynał spowijać nadchodzący zmrok. Słońce nie pokazywało się już od kilku dni, nad moją głową przygnębiająco nisko pływały chmury w stalowych odcieniach. Nawet znikające światło miało chłodny odcień. Przestrzeń między drzewami wypełniała mgła. Mróz był nie do zniesienia, z zimna straciłem czucie w twarzy. Nie spotkałem żywej duszy, małego Janka już chyba nikt nie szukał. Na zewnątrz nie dało się żyć, musiałem wrócić do mieszkania.

IV.

KIEDY WCHODZIŁEM PO SCHODACH, przyszło mi do głowy, że mógłbym się spakować i pójść do hotelu albo coś wynająć. Najpierw ta myśl poprawiła mi humor, ale po chwili uświadomiłem sobie, że nie mam siły wprowadzić jej w życie. Coś mnie tu trzymało (nie tylko mnie – Hanę, Otę i Bohusza też), było to ostatnie miejsce na ziemi, w którym chciałem być, a mimo to nie potrafiłem go opuścić. Kilka lat temu prawie mi się to udało, niewiele brakowało, a przeciąłbym wspólne korzenie. Ale wróciłem, i to był błąd. Wszystko się odnowiło, rana otworzyła się na nowo, jeśli nie doprowadzę do jej zablźnienia, zostanę tu na zawsze. Nawet gdybym się wyprowadził, jakaś część mnie zostanie tu jak przykuta. Jeśli chciałem kiedyś wyjechać, naprawdę się uwolnić, musiałem teraz wytrzymać i zostać.

Otworzyłem drzwi i wszedłem ze świadomością, że przed wspomnieniami dziś z pewnością nie ucieknę. Czekало mnie spotkanie z Alicą, spotkanie z tym, czego przez ostatnie dwadzieścia siedem lat unikałem, jak tylko mogłem.

Stoimy za naszym domem. Widzę Alicę, Bohusza, Hanę i Otę. Kiedy pojawił się ten obraz, przyszło mi do głowy, że przeszłość rzuciła się na mnie wściekle, kiedy tylko po długich godzinach walki zmógł mnie sen. Myśl ta jednak nie towarzyszyła mi długo, przeszłość wpiła we mnie swoje pazury i zaczęła rozszarpać na kawałki.

Alica przekonuje resztę:

– Musimy tam chociaż zajrzeć!

Wyrazista gestykulacja coraz bardziej upodabnia ją do mamy. Ożywiona scena wciąga mnie, tracę spojrzenie dorosłego człowieka i dystans – dom, góra i drzewa są o wiele większe.

– Bzdura, na pewno tam już szukali, gdyby Milan tam był, już dawno by go znaleźli – sprzeciwia się Bohusz.

Wiem, że ma rację, ufam mu jak mało komu na świecie. Podoba mi się jego stanowczość i siła, ale najbardziej lubię go za życzliwość – nigdy mnie nie wyśmiewa ani nie bije, żeby popisać się przed Haną i Alicą.

Siostra zamyśla się, ale po chwili wzrusza kościstymi ramionami pod grubą kurtką.

– Może zgubił się w lesie, jest wyczerpany, ma omamy i nie umie znaleźć drogi powrotnej. – Brązowe oczy ma szeroko otwarte, wpatruje się w Bohusza, czeka, co na to odpowie.

Dostrzegam między nimi dziwne napięcie, pojawiło się już kilka miesięcy temu. Na pierwszy rzut oka czubią się i przekomarzają, ale ja wiem, o co chodzi. Alica podoba się Bohuszowi, bardzo mu się podoba, dlatego się drocą. Kiedy ktoś się komuś podoba, droczy się z nim – zauważyłem to u rodziców, chociaż ich kłótnie bywają znacznie gwałtowniejsze (im większa miłość, tym bardziej ogniste kłótnie). Nie przeszkadza mi to, wręcz przeciwnie – cieszę się, może kiedyś będziemy z Bohuszem rodziną.

Obok mnie Ota przestępuje z nogi na nogę, jest niecierpliwy, najchętniej już by coś zrobił. Hana stoi za Alicą, jakby chciała jej bronić. Są najlepszymi koleżankami, chodzą do tej samej klasy, jedna nie pozwoli skrzywdzić drugiej.

Bohusz macha ręką:

– Naprawdę chcesz tam iść?

– Naprawdę – potwierdza moja siostra.

Wiem, o co jest ta sprzeczka. Od kiedy Alica usłyszała dziecięce głosy dobiegające z okolic rozdzielni, opętał ją pomysł przeszukania budynku.

Na początku nie wierzyliśmy jej, Ota otwarcie wyśmiewał Alicę, ale w końcu przekonała ich, że nie zmyśla. Przecież nigdy nie zmyślała, a gdyby chciała zwrócić na siebie uwagę, zrobiłaby to w ciekawszy sposób.

Dziecięce głosy i podśpiewywanie w lesie? Przecież to brzmi jak jakiś nonsens.

– Jeśli Milan błądzi po lesie, jest wyczerpany i ma omamy, więc może sobie podśpiewywać – wyjaśniała Alica.

Stoimy przez chwilę niezdecydowani. Najchętniej poszedłbym do domu, jest mi strasznie zimno.

– No to idziemy – mamrocze Ota. Trzy krótkie słowa decydują, Bohusz rusza pierwszy, a my za nim.

W ręce ściskam kompas, który dostałem od Alicy na Boże Narodzenie. Noszę go ze sobą i często sprawdzam, co pokazuje strzałka. Idziemy na północny wschód. Brniemy przez łąkę między domami, przechodzimy obok ogromnego orzecha i kierujemy się ku pustym ogrodom. Zbliżamy się do lasu, pod zgiętymi gałęziami rozpoznaję zaśniewony dach rozdzielni. Jest jeszcze daleko, ale z każdym krokiem staje się większy.

Milczymy, zamarznięty śnieg trzeszczy nam pod nogami. Przypomina mi się mama. Przysięgaliśmy na wszystko, że idziemy pobawić się do Hany, że ani przez chwilę nie będziemy zatrzymywać się na ulicy.

– Mamo, przecież nie jesteśmy głupi – przekonywała ją Alica.

W końcu mama zgodziła się, zaufała nam, uwierzyła poważnej minie córki.

Przedzieramy się wąskimi uliczkami pomiędzy płotami. Jest dopiero druga, ale wszystko jest już szare, nawet śnieg. Nie widać żadnych chmur, jakby ktoś zaciągnął niebo popielatą tapetą. Czasem powiewa wiatr, drzewa skrzypią (kiedy są zamarznięte, skrzypią głośniejsze), po zlodowaciałym śniegu toczą się drobne kryształki, słyszę ich cichutkie szuranie.

Bohusz kroczy rażno. Kiedy raz coś postanowi, nic go nie powstrzyma. Spomiędzy огоłoconych z liści krzaków zaczynają wyglądać popękane mury. Rozdzielnia jest bardzo stara, Ota mówił mi, że niektóre budynki w Małych Tatrach zbudowano na początku XX wieku. Domy wprawdzie postawiono dopiero w czasie wojny, ale niektóre budynki już wtedy stały.

To jest jeden z nich. Niski, z płaskim dachem – przypomina domek zanurzony w lesie. Zawsze budził we mnie strach. Okratowane okna i zardzewiałe stalowe drzwi przypominały wyszczerzoną twarz. Dodatkowo spoza murów nieprzerwanie dobiegało nieprzyjemnie brzęczenie. Za ledwie kawałek od rozdzielni wznosiły się maszty z drutami wysokiego napięcia. Chyba właśnie od nich ciągnęły się pod ziemią jakieś kable i prowadziły do rozdzielni. Z Otą nieraz zaglądaliśmy przez rozbite zakratowane okna, ale oprócz kilku elektrycznych skrzynek niczego nie widzieliśmy. Nieprzyjemne brzęczenie i powietrze naładowane energią zawsze nas przeganiało. Ota twierdził, że przy rozdzielni czuje mrowienie w plombach zębów, ale nie wierzyłem mu.

Łapię się na tym, że do ust wkładam sobie zimną rękawicę. Gdybym nie miał jej na ręce, już dawno obgryzłbym paznokcie. Z każdym krokiem budynek rośnie, wynurza się zza krzewów i drzew. Już widzę jego brudną pożółkłą ścianę pokrytą pajęczyną pęknięć; lewe okno łypie na mnie, jakby ze śniegu wyłaniała się obrzydliwa twarz.

Oglądam się na wszystkie strony, może zobaczę coś, co oderwałoby nas od celu, zmusiło do zmiany kierunku. Nic, tylko przygnębiający las.

Bohusz nagle staje, szybko odwraca się i daje nam znak, żebyśmy byli cicho. Kamieniejemy. Kiedy skrzypienie śniegu milknie, wpija się we mnie przeraźliwa cisza, która prawie zatyka uszy.

Dyszemy, dookoła unoszą się obłoczki pary. Stoję naprężony, nie wiem, dlaczego Bohusz nas zatrzymał. Schyla się (pewnie widział to w jakimś

filmie akcji – Müllerowie mają video) i pokazuje na rozdzielnię. Wyteżam wzrok, ale nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

Już prawie pytam, dlaczego mamy być cicho, ale spojrzenie na struchlałą Alicę powstrzymuje mnie. Moja siostra rozgląda się po ziemi. Jest bystrzejsza niż ja, z pewnością wie, o co chodzi. W końcu dociera do mnie, że szuka śladów stóp. Także zaczynam się rozglądać. Oprócz racic jeleni widzę tylko kilka męskich śladów. Na pewno byli tu ochotnicy szukający Milana. Jedne ze śladów prowadzą do rozdzielni.

Ktoś obszedł ją dookoła, podszedł do okna, zajrzał do środka (na pewno przy tym krzyknął imię chłopca), po czym się oddalił. Do drzwi nikt się nie zbliżył. Do drzwi...

Dopiero teraz spostrzegam, na co już dobrą chwilę wszyscy się gapią. Ściska mi się żołądek, grdyka podskakuje.

Zardzewiałe wrota są uchylone, odsłaniają ciemną szparę. Rozdzielnia szczerzy się do nas czarnym, bezzębnym uśmiechem, zapraszając do środka. Pęknięcia na murach wyglądają jak zmarszczki wokół wykrzywionych ust. Kiedy wyostrzam słuch, słyszę ciche brzęczenie, jakbyśmy stali przed ułem pełnym żelaznych pszczoł.

Oglądam się za siebie, w oddali widać zaśnieżony dach naszego domu. Najchętniej pobiegłbym do niego, reszta poszłaby jednak w przeciwnym kierunku.

Nie możemy tam iść, przecież nie jesteśmy głupi – przebiega mi przez myśl.

Chcę krzyknąć, żeby się nie wygłupiali. Z mojego ściśniętego gardła wydobywa się jednak tylko ciche syczenie. Odległość między nami jest coraz większa, nikt nie zwraca na mnie uwagi, wszystkich omamił czarny uśmiech. Mogę pobiec do domu, ale zostanę wtedy sam, a koledzy i własna siostra będą mnie mieli za tchórza.

Jeszcze raz spoglądam na dach, przełykam ślinę (w ustach mam posmak pogryzionej rękawicy), odwracam się i niepewnie ruszam za czwórka przyjaciół. Jestem napięty jak struna, gdyby zakrakał jakiś ptak, popuściłbym w spodnie.

Skrzypienie śniegu miesza się z nasilającym się brzęczeniem. W uszach czuję pulsowanie, nos, policzki i gardło szczypie mi mróz. Rozdzielnia wyrasta przede mną, spoglądając na mnie z góry.

Bohusz zatrzymuje się nieopodal drzwi, zbiera się na odwagę, zamierza zajrzeć do środka. Ota ostrożnie zbliża się do szczeliny. Jestem zdziwiony, że wykazuje większą odwagę niż Bohusz. Przywódcę grupy też to zaskakuje, ale nie chce dać się zawstydzić i przykurczony podchodzi do progu.

Obaj spoglądają na mnie, oczy mają rozszerzone, potrzebują trzeciego. Wbrew swojej woli idę, nie chcę ich zawieść.

Kiedy przybliżam się, czuję stęchliznę – rozdzielni śmierdzi z wygłodniałych ust.

– Pilnujcie tu – Bohusz szepcze do dziewczyn.

Alica jest rozczarowana, chce iść z nami, ale Hanie wyraźnie ulżyło. Siostra spogląda na nią, rozmawiają spojrzeniami.

Alica przytakuje, nie zostawi przerażonej koleżanki samej. Pod warstwą strachu czuję braterską dumę. Moja siostra nikogo nie zostawiłaby samego, mnie także nie.

Kiwa głową, żebyśmy już szli. Ota odchyła drzwi. Czekam, aż zaskrzypią zawiasy, ale nie odzywa się żaden dźwięk.

Centymetr po centymetrze wciskamy się do środka. Od wilgotnego smrodu mam odruch wymiotny. Mój żołądek jest tak podrażniony, że prawie zwracam.

Ota staje na podłodze, lecz kroków nie słyszeć, pochłania je brzęczenie skrzynek elektrycznych. Rozglądam się, ale widzę niewiele. Panuje tu półmrok, oczy muszą się przyzwyczaić.

Wszyscy trzej czujemy ulgę, na pierwszy rzut oka nie ma tu niczego strasznego. Kilka skrzynek w obwodzie, małe migające diody, poza tym rozdzielnia jest pusta. Mogę odetchnąć, ściśnięty brzuch i szczeka rozluźniają się. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że przez cały ten czas zgrzytałem zębami.

Prostujemy się z ulgą, przez twarz Oty przemyka uśmiech. Niepotrzebnie się baliśmy.

– Co to jest? – mamrocze Bohusz i rusza w kierunku tylnej ściany. Spoglądam na niego, obserwuję jego ciche kroki (wydaje mi się, że brzęczenie jest coraz silniejsze) i odwracam się do drzwi.

Nagle wiem, że stanie się coś złego – za zimnym białym prostokątem czekają Alica i Hana, zostawiliśmy je same.

Przebiega mnie dreszcz – to nie czyha w środku, ale na zewnątrz...

– Kurwa – wrzeszczy Bohusz.

Podrywam się, nigdy tak się nie wyrażał.

Stoją z Otą przy tylnej ścianie i z przerażeniem wpatrują się w ziemię – na coś leżącego przy czubkach ich traperów. Przyskakuję do nich, biały prostokąt zostawiając za plecami. Najpierw wydaje mi się, że patrzą na pustą podłogę, ale potem dostrzegam jakiś kopczyk. Niewysoki, najwyżej kilka centymetrów, przypomina piramidę.

Nagle Bohusz odwraca się, zgina w pół, z ust wylatuje mu fontanna śliny i żółci.

Patrzę na niego zszokowany, niczego nie rozumiem.

Ota stoi jak zaklęty, oddech mu się zacina, twarz blednie.

Dlaczego panikują? – pytam siebie cały sztywny ze strachu.

Jakaś cząstka mnie już wie, na co patrzę, ale umysł odmawia przyjęcia tego do wiadomości. W trzewia wbija mi się pogrzebach z lodu, sztywnieję jeszcze bardziej, wytrzeszczam oczy.

– Paznokcie – mówi na wydechu Ota. – Ze wszystkich palców, muszą być...

Wiem, że muszą być Milana, nie trzeba mi tego mówić, szok wyostrzył mi zmysł wzroku.

Małe dziecięce paznokietki (mam takie same) z kawałkami skóry i mięsa. Ktoś powyrywał je z rąk i nóg i ułożył w uroczą piramidkę.

Kręci mi się w głowie, zataczam się.

Przeszywa nas krzyk, wbija się jak ostre odłamki, odwracamy się w stronę wyjścia.

Metalowe drzwi zatrzaszczają się, pogrążamy się w ciemności.

Na zewnątrz znów ktoś krzyczy – odgłos strasznego przerażenia.

Alica!

Chcę doskoczyć do drzwi, ale mięśnie ściska mi skurcz, całe ciało łapie jeden wielki skurcz.

Brzęczenie ogłusza, rozrywa bębienki. Wdycham metaliczny smród, musi być strasznie intensywny, skoro przebija się przez tę stęchliznę.

Ota biegnie pierwszy, ruszam za nim, Bohusz zostaje z tyłu.

Nikt nie trzyma drzwi z drugiej strony, otwierają się lekko, zalewa nas fala światła.

Mrużę oczy, szybko się rozglądam.

Przy ścianie siedzi skulona Hana, oczy ma wytrzeszczone, trzęsie się, ręce przyciska sobie do ust.

Ota coś do niej wrzeszczy, ale ona w ogóle nie reaguje.

Biegam w kółko, nie widzę Alicy.

Nigdzie nie widzę Alicy!

Z przerażonych oczu Hany wylewa się strach.

Krzyczący Ota.

Bohusz z otwartymi ustami i policzkami mokrymi od łez.

W uszach mi huczy, rejestruję kolejne szczegóły, ale nigdzie nie widzę Alicy!

Hana patrzy gdzieś w głąb lasu, nawet kiedy Ota nią potrząsa, wzrok ma przykuty do jednego punktu.

Spoglądam w to miejsce, ale widzę tylko ciemny leśny tunel pod konarami świerków.

Kiedy tu przyszliśmy, wpatrywałem się tam. Nic się nie zmieniło, jedynie...

Przed oczami robi mi się ciemno, kiedy odzyskuję świadomość, siedzę na tyłku.

Śnieg na wzgórzu przedtem był nienaruszony. Teraz przecinają go łańcuchy śladów. Nie należą do jednej, ale do wielu osób. Wszystkie zmierzają w tym samym kierunku, między nimi znajduje się koleina, jakby ktoś za sobą coś włókł.

Nigdzie nie widzę Alicy!

Przyglądam się uważnie śladom, ale niepotrzebnie, i tak nie mam już wątpliwości. To ciągnące się do lasu ślady dzieci.

Kręci mi się w głowie, niczego nie rozumiem. Huk w uszach słabnie, znów słyszę swój puls – serce wali mi jak oszałałe.

– Co widziałas? Kto to był?! – wydziera się Ota. Krzyk jest jednak bezcelowy, Hana skulona opiera się o ścianę, obiema rękami przykrywa sobie usta, a jej palce i broda drżą. Ota potrząsa nią, cuci policzkami, ale odpowiedź i tak nie nadchodzi.

Bohusz wygląda, jakby ktoś zdzielił go po głowie, gapi się na nas nieprzytomnie, a z nosa wiszą mu smarki.

Z trudem wstaję.

– Idę za nią – bełkoczę.

Wszyscy spoglądają na mnie.

– Musimy za nią iść – powtarzam głośniej. Przed oczami przeskakują mi obrazy wyrwanych paznokci.

Ruszam do tunelu pomiędzy drzewami. Kiedy zbliżam się do dziecięcych śladów, zauważam, że są znacznie płytsze od naszych.

Papierowe dzieci – przychodzi mi do głowy szalona myśl.

Za moimi plecami chrzęści śnieg, oglądam się za siebie. Ota stawia Hanę na nogi. Dziewczyna przykleja się do niego i oboje idą za mną. Bohusz stoi przy rozdzielni, cały drży. Przewycięża słabość, zbiera w sobie odwagę, żeby wreszcie się poruszyć. Już wydaje się, że odejdzie od ściany, ale ostatecznie przyciska się do niej jeszcze mocniej.

– Nie wygłupiajcie się – charczy w naszą stronę.

– Chodź! – krzyczy do niego Ota.

– To jest... to jest... – bełkocze Bohusz, twarz mu się wykrzywia, zaczyna łkać.

Pomimo strachu szokuje mnie to. Nawet Hana tak nie płacze – ona też pochlipuje i ledwo idzie, ale zagryza wargi, żeby nie szlochać.

Bohusz przypomina trzyletnie dziecko, cała jego siła gdzieś zniknęła. Powinien iść pierwszy, prowadzić nas, ale jego odwaga gdzieś się ulotniła. Chodzi o Alicę, która przecież mu się podoba, ale nawet to nie motywuje go do oderwania się od ściany.

– Chodźmy! – zarządza Ota. Ruszamy za nim, wiem, że nie mamy dużo czasu, każda sekunda jest na wagę złota.

– Poczekajcie – krzyczy Bohusz i wyciąga rękę. Chce do nas dołączyć, niczego bardziej nie pragnie, ale nie jest w stanie zrobić żadnego ruchu, zawładnęły nim strach i słabość.

Narasta we mnie złość i pogarda.

Tchórz! – przebiega mi przez myśl. Obrzydliwy tchórz!

Odwracam się, zostaje za moimi plecami. Ota kulejąc, dochodzi do tunelu, patrzy na koleinę w śniegu, przez sekundę waha się, po czym wstępuje w ciemność lasu. Hana brnie za nim, już nie potrzebuje oparcia. Doganiam ich.

– Co widziałas? – dyszę. – Co to było?

Idzie dalej, jakby mnie nie słyszała.

Łapię ją za ramię: – Co to było?

Wyrywa się, kręci głową jak szalona, patrzy na koleinę po ciągniętej Alicy.

Chcę nalegać, to przecież niemożliwe, żeby nic mi nie powiedziała. Nagle jednak słabnę, prawie mdleję. Wysiłek i szok wyczerpały mnie tak, że ledwo trzymam się na nogach. Milknę, koncentrując się na każdym kroku. Targa mną strach, wręcz przerażenie, na zamarzniętych policzkach znów czuję łyzy.

Alica.

Nie rozumiem, co się dzieje, mam wrażenie, że mój umysł rozpada się na tysiąc kawałków. W kieszeni kurtki coś zaczyna brzęczeć. Wkładam do niej rękę i wydaję kompas. Trzymam go w dłoni, wpatruję się w niego, potrzebuję jakiegoś stałego punktu, żeby się uspokoić.

Wskazówka drży przy każdym kroku, ale zawsze po chwili powraca na miejsce. Idziemy dokładnie na północ, do serca Czebrata. Gałęzie drzew i krzewów chylą się w naszą stronę, wywołując wrażenie, że ciemny tunel coraz bardziej się zwęża, jakby chciał zamknąć nas w lodowym uścisku.

Jest cicho, słyhać tylko nasze oddechy i kroki. Za każdym razem, kiedy pod moimi nogami pęka zamarznięta skorupa, śnieg coś szepcze.

Podnoszę wzrok i patrzę na Otę. Podziwiam jego stanowczość, nigdy bym nie powiedział, że jest tak odważny (o tchórzu, który miał Alicę w dupie i został przy rozdzielni, nie myślę). W głębokim śniegu coraz wyraźniej widać, jak Ota utyka, z pewnością nie idzie mu się łatwo, mimo to nie zwalnia. Gdyby nie on, do teraz przepychalibyśmy się, co robić.

Ale gdyby nie on, przychodzi mi zaraz do głowy, może do tej pory stalibyśmy za domem albo siedzieli już w ciepłym i bezpiecznym mieszkaniu. Zawsze brakowało mu wyobraźni, nie zastanawia się nad tym, dokąd nas prowadzi ani nad tym, co nas tam czeka. Jedyne, co go interesuje, to uratowanie Alicy.

Robi mi się wstyd, to ja powinienem tak działać – jej brat. Zamiast tego trzęsę się ze strachu. Oczywiście, boję się o swoją siostrę, i to bardzo, ale jeszcze bardziej boję się o siebie.

Wyrwane paznokcie, ślady dzieci, przerażona Hana...

Co to oznacza? Co tu się dzieje?

Maszerujemy jakoś zbyt długo. Ciągłe jesteśmy w leśnym tunelu, nic się nie zmienia. Rozglądam się dookoła, coś mi się tu nie zgadza. Ota też coraz częściej niepewnie kręci głową. Obaj dobrze znamy okolicę, spędzaliśmy tu każdą wolną chwilę. Podnóże Czebrata nie jest zbyt wysokie, już dawno powinniśmy być na Małym Szałasie – łące, z której prowadzi ścieżka na Wielki Szałas. Zamiast tego ciągle brodzimy w śniegu, przez tunel. Konary i krzewy wszystko zasłaniają, czujemy się jak w długiej wąskiej rurze.

Kroczymy dalej, oszołomieni, przestraszeni, pewnie dlatego zimowy las nas zmylił. W końcu jednak docieramy na polanę. Robię wydech, otwarta przestrzeń i światło odprężają mnie. Rozglądam się – stoimy na Małym

Szałasie. Po prawej stronie wznosi się szczyt, po lewej otwiera się widok na miasto i okoliczne masywy. Chcę iść dalej, ale Ota stoi skonsternowany i gapi się na kotlinę.

– Co jest? – pytam.

– Cholera – szepcze Hana.

Po plecach przechodzą mnie dreszcze. To pierwsze słowo, które wypowiedziała, od kiedy zniknęła Alica. Wystarczy mi jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, że Hana znów zapada w odrętwienie.

– Co jest? – charczę. Nie rozumiem, w co się wpatrują.

Oboje milczą, nie odpowiadają. Odwracam się i wtedy ciemnieje mi przed oczami. Wszyscy troje patrzymy na Chocz, mamy go jak na dłoni. Tylko że... To nie Chocz powinniśmy widzieć, on jest po drugiej stronie, gdzieś za naszymi plecami!

Rozglądam się skołowany, kręci mi się w głowie.

– Jak... jak to? – jąkam się.

– Gdzie jest Malinowa Grań, widzicie ją? – pyta Ota.

Nie widzimy żadnej Grani, jej szczyt powinien wznosić się bezpośrednio przed nami, ale zamiast tego gapimy się na Chocz.

Patrzę na wschód, kontury Niskich Tatr znam jak własną kieszeń. Ale wzniesień, które widzę, nie rozpoznaję.

Przewraca mi się w żołądku, iskry mieniają mi się przed oczami.

Hana rozgląda się nieśmiało.

– Zabłądziliśmy?

– Niemożliwe – mruczy Ota. – Gdzie jesteśmy?

Wzruszam ramionami, w otwartych ustach czuję mróz. Przez chwilę wydaje mi się, że w oddali, na zachodzie, rozpoznaję kilka wierzchołków Niskich Tatr tonących we mgle. Pomieszanie punktów orientacyjnych

działa na mnie jak policzek od ojca. Nagle nie wiem, co mam robić, czuć i myśleć.

Zaciskam dłonie, w prawej czuję kompas.

Kompas!

Wyciągam go z nadzieją i patrzę na niego.

Wskazówka przeskakuje z jednej strony świata na drugą, kręci się dookoła, jakby ktoś w pobliżu poruszał silnymi magnesami.

Ze strachu nie mogę oddychać. Odrywam wzrok od dłoni i podnoszę kompas ku niebu. Chłodnego, popielatego odcienia nie zakłóca ani jeden obłoczek, wszędzie, dokąd sięga mój wzrok, rozpościera się stalowa zasłona bez najmniejszej skazy. Cisza rozrywa mi bębenki. Z miasta, które powinno być pod nami (kto wie, czy tam w ogóle jest, dolinę spowija mgła), nie dociera żaden dźwięk, zero odgłosów samochodów, dudnienia pociągu czy muzyki z lokalnego radiowęzła.

W głowie mam pustkę, moje myśli gdzieś wyparowały. Idę wzdłuż śladów i koleiny, nic innego już mnie nie interesuje.

Po kilku krokach dołączają do mnie Ota i Hana. Zdruzgotani wlecemy się w milczeniu. Ota nie jest już taki zdecydowany, utrata orientacji odebrała mu pewność siebie. Hana jest śmiertelnie przerażona. Nie idzie z nami po to, żeby uratować najlepszą przyjaciółkę, ale dlatego, że boi się zostać w lesie sama.

Kroczymy znajomą ścieżką, ale znów wydaje się nam, że droga trwa zbyt długo. Już dawno powinniśmy być na Wielkim Szałasie. Z wysiłkiem przestawiam nogę za nogą, najchętniej rzuciłbym się w śnieg i leżąc, o wszystkim zapomniał.

W końcu jednak udaje nam się dokąś dotrzeć i otwiera się przed nami przestrzeń. Rozglądamy się z przerażeniem. Miejsce wygląda jak Szałas, ale to nie jest Szałas. Łąka jest znacznie rozleglejsza, przypomina

płaskowyz. Nie widzimy, co znajduje się dalej, jej krańce muska zielonkawa mgła. W śniegu dostrzegamy setki, czy nawet tysiące szaleńczo rozproszonych śladów. Jakby ktoś całymi godzinami, a może nawet dniami rozpaczliwie tu błdził.

Mgła gęstnieje, jej lepkie kłęby pełzną w naszym kierunku nad zamrznętym śniegiem.

– Tam! – wykrzykuje Ota, wskazując na przeciwną stronę. Porusza się tam jakiś punkt.

Przyglądam się lepiej, serce przestaje mi bić.

– Alica! – wykrzykuję i biegnę co sił do swojej siostry. Słyszę, jak Ota tupocze za mną, Hana stoi nieruchomo. Całą uwagę skupiam na Alicy.

Ledwo idzie, wygląda na wyczerpaną, jakby błdziła od kilku dni.

Jak długo tu jesteśmy, ile czasu minęło? – przebiega mi przez myśl.

– Alica! – krzyczę, ale nie reaguje na mój głos.

Głowę ma pochyloną, od czasu do czasu jakby przytomnieje, ogląda się za siebie i przyśpiesza. Im jestem bliżej, tym lepiej ją widzę – ucieka przed czymś. Niepewnie przeczesuję wzrokiem gęstniejącą mgłę, ale nikogo nie dostrzegam.

Alica odwraca się i kieruje się tam, skąd przed chwilą uciekała.

Kto wie, co dzieje się w jej głowie, co właśnie widzi. Nam też wszystko się pomieszało, straciliśmy orientację. Krajobraz chyba pozostał ten sam, to do naszych mózgów coś się wdarło i pomieszało zmysły. Może też jak szaleńcy kręcimy się gdzieś przy rozdzielni.

– Alica! – krzyczę jeszcze raz, tym razem słabiej, bo tracę już oddech. Nie zatrzymuje się, mój głos do niej nie dociera.

W kosmosie nikt nie usłyszy twojego krzyku – przypominam sobie tekst z filmu *Obcy*, który niedawno oglądaliśmy na video u Müllerów.

Nagle Alica ogląda się za siebie, przerażona podskakuje, jakby coś wyciągało do niej pazury. To, co zagnieździło się w jej głowie, postanowiło przestraszyć ją na śmierć. Może zapędziło tu nie tylko Alicę, ale i Milana.

Tysiące rozproszonych śladów.

Kiedy chłopiec nie był już w stanie uciekać i dogorywał w agonialnym wycieńczeniu, to coś dosięgło go i wyrwało mu paznokcie.

– Alica! – krzyczę po raz trzeci, ale nie słyszę swojego głosu. Z głębi ziemi zaczyna dochodzić huk, jest coraz głośniejszy.

Alica łapie się za głowę, przerażenie wykrzywia jej twarz, zaczyna przeraźliwie krzyczeć. Patrząc na nią, od metalicznego hałasu pękają mi bębenki, drętwieję ze strachu. We mgle na skraju polany dostrzegam drobne postaci.

Nie widzę ich dobrze, rozpoznaję jednak, że to dzieci. Mrowie, całe mrowie, kto wie, skąd się tam wzięły. Mrugam oczami, wydaje mi się, że niektóre zamiast oczu mają czarne krater.

Alica pada na kolana, próbuje pełzać, ale pokonuje ją zmęczenie.

Wzdrygam się, ktoś stoi obok mnie. Ota jest nienaturalnie blady, tak kredowej twarzy jeszcze nie widziałem – gdyby się teraz skaleczył, nie wyciekłaby ani kropelka krwi.

Huk jest nie do wytrzymania, to coś się zbliża, dudni jak tysiące obracających się metalowych walców. Mgła zaczyna nagle wydzielać smród topionej cyny. Od Alicy dzieli mnie nie więcej niż dwadzieścia metrów. Już do niej nie dobiegnę, przerażenie zwycięża.

Kupka wyrwanych paznokci, pomieszane kierunki świata, metaliczny huk, przerażające dzieci bez oczu...

Kompas wyślizguje mi się ze ścierpniętych palców i spada na zamrożony śnieg. Podnoszę nogę (sam siebie przekonuję, że po to, żeby

ruszyć za Alicą), ale jakaś siła odwraca mnie do niej plecami. Oszalały ze strachu uciekam z płaczem.

Oglądam się przez ramię.

Obok Alicy dostrzegam coś obcego, tak bardzo obcego, że nawet krótkie spojrzenie jakby parzy mi mózg.

Wydaję z siebie jęk rannego zwierzęcia i uciekam co sił, jak najdalej od swojej siostry. Ota ucieka za mną, Hana jest już daleko przed nami.

Huk staje się nie do wytrzymania. Wszyscy pochylamy się, nasze czaszki prawie pękają, ściskamy je dłońmi, żeby się nie rozpadły.

Nagle, w jednej chwili wszystko cichnie. Chwieję się na nogach, ta nagła cisza jest jak cios między oczy.

Wtem przesywa mnie krzyk Alicy. Nigdy nie wydawała z siebie takich dźwięków, to już nie jest ona, ból i przerażenie roztrzaskały ją na kawałki.

Ja też zaczynam krzyczeć, muszę ją przekrzyczeć. Cały czas biegnę, przed sobą mam podskakujące plecy Hany, cała reszta jest rozmazana. Ota zostaje w tyle, noga, na którą utyka, nie pozwala mu biec szybciej.

Wbiegam w wąski tunel pomiędzy drzewami, nie patrzę pod nogi, chcę jak najszybciej znaleźć się na dole. Docierają do mnie krzyki, ale to już mnie nie interesuje, gorzej być nie może, zbiegam z góry, jakby paliło mi się pod nogami.

Naprawdę się pali, za plecami płonie moje dotychczasowe życie, trawia je łapczywe płomienie. To absurdalne, ale przypominam sobie o kompasie, który zgubiłem, przez chwilę mam pewność, że na zawsze. Potykam się o korzeń, tracę równowagę i lecę przed siebie, zamarznięty śnieg jest coraz bliżej, zaraz rozkwaszę sobie twarz.

V.

NAGLE COŚ WYRWAŁO MNIE ZE SNU, wytrzeszczonymi oczami gapilem się na sufit, ze strachu nie mogąc się nawet poruszyć. Po chwili wziąłem głęboki oddech i klatka piersiowa znów zaczęła pracować. W gardle czułem szczypiący ból, zapewne wrzeszczałem przez sen.

Alica!

Miałem mokre policzki.

Gdzieś pod powiekami pobrzmiwały resztki mojego snu. Dotarliśmy na skraj lasu, leżeliśmy na śniegu półprzytomni z wyczerpania, oszołomienia i paniki. Strach dudnił w nas jak dzwon. Przerażony umysł radził sobie z tym przeżyciem w jedyny możliwy sposób. Żeby się jakoś pozbierać, musiał wypchnąć je gdzieś daleko, poza granicę świadomości. Obrazy, dźwięki, uczucia – wszystko wywietrzało z naszych głów. Umysł nie był w stanie całkowicie ich wymazać, ale zadbał o to, żeby strach jak lód – roztopił się, stracił swoje ostre, raniące krawędzie i wymieszał się z gęstą mgłą.

Mój oddech uspokajał się i stawał coraz głębszy. Rozejrzałem się po ciemnym pokoju. Dostrzegłem jedynie kontury wyłączzonego telewizora, szafki z kasetami video, stolika z odłożoną książką – nic niezwykłego.

Już jest dobrze, jestem bezpieczny, mówiłem do siebie, wycierając zimny pot z czoła.

Byłem zażenowany, ale jeśli choć trochę chciałem się uspokoić, musiałem to sobie powtarzać.

Czułem się jak ośmioletnie dziecko, które przed chwilą mi się śniło.

Jesteś bezpieczny, jesteś bezpieczny.

Pulsowanie w uszach stawało się coraz wolniejsze, aż wreszcie udało mi się wyciszyć. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że miałem napięte

wszystkie mięśnie. Rozluźnienie zalało mnie falą przyjemnej błogości. Spojrzałem na okno z zaciągniętymi żaluzjami, przez które przebijały się promienie żółtego światła latarni ulicznej. Na zewnątrz panowała jeszcze ciemność, nie spałem długo, do rana było jeszcze daleko.

Odwróciłem się na bok i zacząłem słuchać własnego oddechu. Nagle usłyszałem ciche brzęczenie. Rozlegało się już dłuższą chwilę, ale dopiero teraz to sobie uzmysłowiłem. Dziwny dźwięk na granicy słyszalności, jakby ktoś cichutko stukał igłą o szklany kieliszek.

Znów zalała mnie fala strachu i wypełniła jak rosnący poziom wody, mięśnie napięły się, włosy na karku zjeżyły.

Brzęczenie dobiegało zza moich pleców. Nie cichło, wręcz przeciwnie.

Powoli przewróciłem się na drugi bok, byłem napięty jak struna. Podniosłem głowę i drżąc, wyjrzałem ponad oparcie.

Nikt tam nie stał.

To było coś gorszego.

Broda zaczęła mi drżeć, z górnej wargi spłynęła do ust kropelka słonego potu.

Jęknąłem z niedowierzania, chciałem zacząć krzyczeć, ale nie byłem w stanie.

Drzwi do sypialni były uchylone.

Zdrętwiałem, każda cząstka mnie chciała wyskoczyć z ciała, ale nadal tkwiłem przyklejony do kanapy.

W ciemności za uchylonymi drzwiami zaskrzypiał parkiet.

Zakręciło mi się w głowie, ze strachu zrobiło mi się ciemno przed oczami. Nie mam pojęcia, jak długo gapiłem się na te drzwi, cały czas trzęsąc się i próbując złapać oddech. Kiedy ciało chociaż trochę zaczęło mnie słuchać, postanowiłem po cichu wymknąć się z dużego pokoju.

Tyle że jeśli w byłym pokoju dziecięcym ktoś jest, na pewno mnie usłyszy i rzuci się na mnie. Nagle, w jednej chwili przestałem się bać, jakbym oszalał. Jak wariat stanąłem na równe nogi, jakbym postradał zmysły, podbiegłem do drzwi i szeroko je otworzyłem.

Dzieciństwo buchnęło mi w twarz, zachwiałem się.

Pokój był pusty, przez zasłonięte okna przenikało trochę światła. Atak odwagi minął jednak równie szybko, jak się pojawił. Nogi zrobiły się jak z waty, prawie przewróciłem się na podłogę. W kącie jeszcze kilka razy coś zabrzęczało, a potem nastała cisza.

Pozbierałem się jakoś i przyjrzałem się pomieszczeniu. Po prawej stronie stał regał z książkami, a pośrodku podwójne łóżko, na którym chora matka przeleżała wiele lat. Starąłem się nie patrzeć w kąt – właśnie tam stał kiedyś tapczan Alicy. Mama pozwoliła wynieść go dopiero po latach daremnego czekania na cud.

Nie chciałem tam patrzeć, ale ten kąt przyciągał mnie siłą, której nie byłem w stanie się oprzeć.

Odwróciłem głowę i wyostrzyłem wzrok. Na ścianie, w ramce wisiało zdjęcie roześmianej Alicy.

Miałem wrażenie, że patrzy prosto na mnie.

Pod zdjęciem stał stolik z pustym wazonem. Mama zawsze pilnowała, żeby o Alicy przypominał chociaż jeden świeży kwiatek.

Oprócz stolika i zdjęcia nie było tam nic więcej, to było miejsce na święty ołtarzyk. Na parkiecie dostrzegłem jednak drobny okrągły przedmiot, z którego wydobyło się cichutkie brzęknięcie.

Od razu go rozpoznałem, serce mi stanęło, opuszczając przy tym kilka uderzeń.

Przekroczyłem próg sypialni, chociaż doskonale zdawałem sobie sprawę, że kiedy tam wejść, już nigdy stamtąd nie wrócę. Spalę wszystkie

mosty, odetną drogi ewakuacyjne, te drzwi były bramą do szaleństwa, przez którą przechodziło się tylko w jedną stronę.

Gdy powoli zbliżałem się do stolika, parkiet złowieszczo skrzypiał. Roześmiane oczy Alicy przyciągały mnie. Kiedy byłem już blisko, oderwałem wzrok od zakurzonej fotografii i schyliłem się.

Wskazówka kompasu nie kręciła się już tak szaleńczo jak przed chwilą, od czasu do czasu wydawała jedynie cichy dźwięk. Po chwili zatrzymała się i wskazała północ, prosto na Czebrat.

UCIECZKA

I.

DO SAMEGO RANA SIEDZIAŁEM W KUCHNI. Kołysałem się do przodu i do tyłu jak wariat, w głowie kłębiły mi się myśli, nerwy miałem w strzępach. Byłem w zbyt dużym szoku, żeby uciec z mieszkania. Całkowicie pozbawiony energii zacząłem przypominać szmacianą kukłę.

To coś weszło do mieszkania, przenikło do środka!

Czekają w pokoju – powiedziała kiedyś do mnie obłąkana Dreczekowa.

Gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że nie jest to żadna wiadomość od nieżyjącej siostry, wysyłającej mi rzekome sygnały jak w tanich historyjkach o duchach. Nic podobnego. Nawet teraz czułem jeszcze w powietrzu tę złośliwą i perwersyjną radość, z jaką to coś podrzuciło mi kompas zgubiony na mroźnej polanie. Dokładnie tak jak wtedy, gdy zwabiło nas do rozdzielni z wyrwanymi dzieciom paznokciami.

Echo tej obrzydliwej zabawy rezonowało między ścianami, wypełniało mieszkanie jak nieprzyjemny, lepki smród. Podobne odczucie miałem, widząc w telewizji ujęcia z miejsc, w których ktoś został zamordowany. Coś w nich milcząco dudniło, pozostawało obecne wśród ścian. Śladów po bytności chorego umysłu nie dało się usunąć.

Wokół mnie także huczała porażająca cisza. Podświadomie wytężałem słuch, zemdlałbym, gdybym usłyszał choćby najmniejszy szelest, ale oprócz dźwięku, który co jakiś czas wydawały gorące kaloryfery, nic do mnie nie dotarło.

Ta bezkształtna nienazwana istota czy zmora zabawiała się mną, wiedziałem, że się mną bawi. Umyślnie podrzuciła mi kompas do kąta Alicy, tuż pod jej zdjęcie – wiedziała, jak bardzo mnie to rozstroi.

Do tej pory w mieszkaniu czułem się względnie bezpiecznie, nieznane czyhało dopiero w lesie, ale nagle wszystko się zmieniło. Poczucie bezpieczeństwa stało się złudne, ściany były jak muszla, do której wpełza ślimak, gdy od przejeżdżającego auta trzęsie się ziemia. Może przez chwilę czuje się bezpiecznie, ale muszla nie powstrzyma nadjeżdżających opon. Jeśli stanie im na drodze, już po chwili słysząc tylko cichy chrupot i po wszystkim. Tak się czułem – że stoję czemuś na drodze. To coś mnie pamiętało – dokładnie jak powiedział Ota. Im częściej myślałem o zimie sprzed dwudziestu siedmiu lat, tym bardziej otwierałem się na to nieznane. Sen szeroko otworzył mu bramy, sam zaprosiłem je do swojego domu.

Kiedy przez szyby zaczęła przenikać poranna szarówka, moje myśli uspokoiły się. Ręce też przestały drżeć. Gorzej, że znów obgryzłem sobie paznokcie na kciukach i w moich ustach pojawił się posmak miedzi. Postanowiłem, że rano wyjadę. Cokolwiek miałbym przez to zademonstrować (znów dokądś uciekam), zabiorę swoje rzeczy i zniknę! Choćby do hotelu. Przeczekaam kilka dni, a potem się zobaczy.

Poszedłem do dużego pokoju i zacząłem się pakować. Drzwi do sypialni były zamknięte, zatrzasałem je, wybiegając z niej. Kompas zostawiłem na podłodze, nie dotknąłbym go za nic w świecie. W coraz jaśniejszym świetle nocna przygoda zaczynała wydawać mi się snem na jawie.

Czy to się w ogóle zdarzyło? Czy to nie urojenia?

Wystarczyło otworzyć drzwi i spojrzeć w kąt. Zaraz miałbym pewność. Przez chwilę zawahałem się, ale szybko odrzuciłem ten pomysł. Kompas mógł tam być, ale nie musiał. Z tymi dwiema możliwościami potrafiłem jeszcze jakoś żyć. Gdybym jednak je otworzył i zobaczył go na parkiecie, mój umysł ostatecznie rozpadłby się na tysiąc kawałków. Gdyby go tam nie było, to także oznaczałoby, że do reszty postradałem zmysły. Resztki

zdrowego rozsądku mogłem zachować jedynie, żyjąc w niepewności. Ostatecznie, tak jest zawsze – poczucie pewności względem całego zła, które spotyka człowieka, każdego pozbawiłoby rozumu.

Zjadłem śniadanie i zacząłem niecierpliwie kręcić się po kuchni. Uświadomiłem sobie, że tak wcześnie nikt nie wynajmie mi pokoju. Termometr za oknem pokazywał minus trzydzieści dwa stopnie. Wyjście na ulicę granoczyło z szaleństwem. Wiedziałem o tym, ale mimo to każda minuta w mieszkaniu była męczarnią. Musiałem stąd uciec, musiałem!

Patrzyłem na radio, kabel zwisał jak martwy węgorz. Marzyłem o jakiejś odskoczni, ale nie miałem odwagi włożyć wtyczki z powrotem do gniazdka. Bóg jeden raczy wiedzieć, co wypadłoby z głośników.

Około ósmej wreszcie wyszedłem. Wziąłem torbę podróżną, otworzyłem drzwi i opuściłem mieszkanie. Przechodząc przez próg, pomyślałem, że to tylko głupi gest. Instynktownie czułem, że gdziekolwiek bym się nie udał i tak nie ucieknę, mimo to odważnie odpędziłem od siebie wątpliwości. Refleksje nie były mi do niczego potrzebne. Najważniejsze było, żeby stąd zniknąć. Z ulgą zatrzasałem za sobą drzwi, przekręciłem klucz i zszedłem po schodach.

Zaraz po wyjściu na dwór ugięły się pode mną kolana. Mróz wbił się we mnie tysiącem igieł, jakby przez cały czas czekał, aż się pojawię. W lecie droga do miasta zajmowała dobre dwadzieścia minut. Teraz z uwagi na śnieg ten czas mógł się nawet podwoić. Zaciśnąłem zęby i ruszyłem wzdłuż domu. Spodziewałem się, że zadziała prawo Murphy'ego i znów spotkam Klisza z córkami. Tym razem jednak drzwi nie zaskrzypiały, z mieszkania na dole nikt nie wyszedł.

W końcu jest sobota, nie ma szkoły – przyszło mi do głowy.

Przeszedłem przez zaśnieżony trawnik pomiędzy domami. Przecinały go tysiące śladów jeleniej rodziny. Nigdzie nie udało mi się jej dostrzec,

okolica była opustoszała, panowała absolutna cisza. Zszedłem na drogę i ruszyłem w stronę miasta. Nie oglądałem się za siebie. Miałem pewność, że jeśli obrócę się i spojrzę na okno swojego mieszkania, zobaczę coś, co nie było mi do niczego potrzebne. To coś nie darowałoby sobie przecież, żeby nie wykorzystać ostatniej szansy na przerażenie mnie, wyciśnięcie ostatniej kropli strachu.

II.

NA DOLNĄ CZĘŚĆ ULICY zszedłem po śliskich schodach. Wprawdzie nie wiedziałem dokładnie, dokąd chcę pójść, ale cieszyłem się, że rodzinne osiedle opuszczam o własnych siłach. Mogło być o wiele gorzej.

Nawet tutaj było pusto, na poboczu stały tylko zaśniewane samochody. Od dawna nie widziałem żadnego policjanta. Może szukają Janka gdzieś w nagranych biurach, tu w każdym razie się nie przepracowują.

Ostatni dom obok lasu otoczony był wysokim murem. Wiedziałem, kto tam mieszka.

Wyobraź sobie, Bohusz Müller wykupił wszystkie mieszkania w budynku, cały ma tylko dla siebie – dziwił się ojciec podczas mojej ostatniej wizyty kilka lat temu. Już wtedy nie miałem wątpliwości, że podejrzane interesy Bohusza są źródłem sporych dochodów. Dziwne jednak było to, że nie opuścił okolicy, jego też coś tutaj trzymało. Chował się za wysokim murem, próbował odizolować się od otoczenia, ale jednak ciągle tkwił w tym miejscu.

Kiedy przechodziłem obok bramy, nagle rozległo się ostre ujadanie. To musiały być jakieś brytany, przyśpieszyłem kroku.

Nagle szczekanie ucichło, w zamku zachrząścił klucz i zaskrzypiały zawiasy.

– Cześć! – krzyknął Bohusz przez wąską szparę. – Chodź tu na chwilę.

Zdziwiłem się – jak mnie zobaczył? Dopiero teraz zauważyłem kamerę w plastikowej obudowie. Kiedy psy zaczęły szczekać, na pewno szybko sprawdził, kto jest przed bramą.

– Trochę zalatuje paranoją, nie? – wskazałem na urządzenie.

Nie odpowiedział, otworzył tylko drzwi i machnął, żebym wszedł. Nie miałem ochoty, te psy na pewno gdzieś tu są i czekają w pogotowiu.

– No, ruszaj się! – wymamrotał Bohusz, jakby na wpół otwarta brama go drażniła.

Wszedłem na podwórko, byłem ciekaw, czego ode mnie chce. Obok domu zobaczyłem dwa olbrzymie dogi niemieckie. Patrzyły na mnie nieufnie. Musiały być dobrze wyszkolone, bo widząc, że pan nie ma ze mną problemu, przestały się mną zajmować.

– Gdzie idziesz? – zapytał, wpatrując się we mnie na wpółprzymkniętymi oczami.

– Na zakupy – nie chciałem się przyznać, że uciekam. Na pewno zaczęłby mnie wypytywać.

– Jebany mróz – machnął ręką. – Pierdol zakupy, chodź, dam ci coś do jedzenia.

Uniosłem brwi, ciągle nie rozumiejąc. Bohusz nie był taki życzliwy, nie lubiliśmy się. Przez Hanę, ale przede wszystkim przez... Alicę. Już nie musiałem niczego ukrywać, wszystko było odkryte, obnażone, bolące.

Bohusz wtedy nie poszedł z nami, nie pomógł nam, rozplakał się jak tchórz. Nie miałem wątpliwości, że wszystko pamięta. Nie widział wprawdzie zmrożonej polany, nie słyszał huku metalowych walców, ale i tak gdzieś pod skórą ma niezagojoną ranę.

Weszliśmy do domu, na parterze znajdował się rozległy główny hol. Bohusz połączył wszystkie sześć mieszkań, zyskując w ten sposób dwa

oddzielne dwupiętrowe apartamenty. Spodziewałem się, że zaraz pojawi się jakaś długonoga piękność, chociaż wiedziałem, że Bohusz się nie ożenił. Nikt jednak nie przyszedł, nie czekała na niego żadna rozpalona blondynka.

Rozejrzałem się po luksusowo urządzonej mieszkanie.

– Sam tu mieszkasz?

– A co, myślisz, że jestem pedałem? – odburknął zaczepnie.

Wolałem już nic nie mówić, widok jego szerokich pleców i muskularnych ramion upewnił mnie, że cały czas ćwiczy na siłowni. Włosy miał obcięte krótko, jedyne, czego mu brakowało, żeby jego imidż mafiosa był idealny, to czarny SUV na podwórku (pewnie parkował za domem).

Przenikło mnie przyjemne ciepło – po mrozie, z którego przyszedłem, czułem się jak w saunie.

– Patrz – pokazał na róg pod sufitem. Zobaczyłem kolejną kamerę.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Wszędzie to masz? – wydukałem.

– W każdym ze starych mieszkań plus korytarz i brama – odpowiedział z wyraźną dumą.

– Super.

– Żaden żebrak mnie nie okradnie, wszystko widzę – wyszczerzył się.

Mógł się uśmiechać do woli, ale zaczynałem rozumieć, o co chodzi. Gruby mur, dogi, kamery, siłownia i nadmiar wulgaryzmów – bał się, przez cały czas się bał, ale nie tylko złodziei. Jego strach miał o wiele głębsze korzenie. Bohusz zbroił się przeciwko niemu, jak tylko mógł.

– A wiesz, co jest najlepsze? Mogę to oglądać, nawet jak jestem poza domem! – ciągnął swój wykład. – Wszystko się nagrywa i raz dziennie zapisuje się na Dropboksie, mój drogi kolego!

Od razu zrozumiałem, po co zaprosił mnie do środka i po co pokazuje mi to wszystko. Robił to dla siebie, potrzebował ukoić swoje nerwy, dodać sobie poczucia bezpieczeństwa. Jemu też siarczasty mróz, zniknięcie Janka i śpiew, który usłyszeliśmy przy Małej Skale dały w kość. Przypominały mu to samo, co mnie – luty 1985 roku i własne tchórzostwo. Każdy z nas reagował inaczej na tę niezagojoną ranę – ja wiecznie uciekałem, on otoczył się murem i budował muskulaturę. Dlatego też tak uparcie organizował poszukiwania Janka – wszyscy powinni wiedzieć, że nie jest żadnym cykorem, ale porządnym chłopem.

– Siadaj – wskazał na skórzaną kanapę. – Czemu się czasem nie odezwiesz? Nie ma kiedy, wiem, też mam dużo roboty, ale czasem napiszę jakiegoś maila do Hany.

Do mnie żadnego maila nie wysłałeś – przeszło mi przez myśl. Ale wolałem milcząco wzruszyć ramionami.

– Poczekaj, przyniosę ci coś – powiedział i zniknął w kuchni.

Rozejrzałem się po pokoju. Nie miałem pojęcia, po co mu ogromny mezonet składający się z trzech połączonych mieszkań. W skrzydle po drugiej stronie miał na pewno takie same pomieszczenia. Nie wytrzymałbym sam w takim labiryncie. Na niego to też ewidentnie dobrze nie wpływało, ale i tak trzymał się tego rękami i nogami.

Nie jest żadnym cykorem!

Jakkolwiek by nie było, musiałem przyznać, że wnętrza urządził gustownie.

Nie zawałił ich kiczem, jak co niektórzy głupawi nowobogaccy. Wręcz przeciwnie – wszystko było utrzymane w czysto minimalistycznym stylu. Kolory podłóg, ścian i mebli były do siebie odpowiednio dobrane, nic za bardzo się nie wyróżniało.

Bohusz nosił się jak brutal, ale na pewno nie był tępym karkiem. Opowiadał mi przecież o wysyłaniu maili i zapisywaniu nagrań na Dropboksie. Zmieniłem zdanie – za domem zapewne nie parkuje potężny czarny SUV, ale coś bardziej stylowego i bardziej smart.

Wszedł do salonu i położył przede mną tacę z chlebem, żółtym serem i szynką.

– Częstuj się, widzę, że jesteś głodny, poznaję to, ci też tak patrzę – zrobił ruch głową w kierunku podwórka, na którym zostały psy.

Wziąłem kawałek pachnącej szynki, myśląc, by nie jeść zbyt łapczywie.

– Co porabiasz? Żonę masz? – sondował. Wydawało mi się, że pytania wyrzuca z siebie podejrzenie szybko, co jakiś czas drżała mu broda.

Miałem pełne usta, pokręciłem więc tylko głową.

– Dobrze robisz. Ja też się nie ożeniłem. – Wzruszył ramionami: – Po co? Wiesz, jakie mam branie? Na siłę mi do łóżka włożą.

Nie miałem pojęcia, jakie ma branie, do mojego łóżka żadna się nie pchała. Przeżuwałem, uciekając wzrokiem przed jego przenikliwym spojrzeniem.

– Dwie albo i trzy na tydzień! – przechwalał się.

Przełknąłem i spojrzałem mu w oczy. Pustka. Wprawdzie był pobudzony, ale w oczach nie miał żadnej iskry.

– Super! – rzuciłem z podziwem. Było dla mnie jasne, dlaczego się nie ożenił – bał się założyć rodzinę. Mógł wykrzykiwać, że mu nie śpieszno do żeniaczki, ale jakkolwiek głośno by krzyczał – sam siebie nie przekrzyczy.

Skinął głową, widziałem, że mój udawany podziw schlebiał mu. Broda mu zadrżała, a mnie wreszcie zaświtało, że musiał coś wziąć, stąd u niego tyle energii i życzliwości.

– Dlaczego tu zostałeś? – zapytałem.

Na sekundę zamarł, widziałem, że jest źle.

– Nie zaczynaj z tymi debilizmami! – burknął i stracił humor. Przestraszyłem się i przestałem przeżuwać.

Błyskawicznie zbladł, myślałem, że się na mnie rzuci. Pewnie faszerował się tym świństwem zbyt często, wcześniej nie bywał taki narwany.

– Nie zaczynaj z tymi debilizmami – powtórzył ciszej, ale z groźbą. Dobry nastrój odszedł w zapomnienie, dotknąłem czułego miejsca, powinienem był trzymać język za zębami. Kiedy indziej pewnie bym go tak nie rozwścieczył, ale teraz okoliczności i narkotyki obnażyły bolące miejsca.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, kolejny kęs przełknąłem z obawą. Bohusz patrzył na mnie przez zmrużone powieki i chmurzył się. Na pewno już żałował, że zaprosił mnie do środka i w dodatku zaserwował poczęstunek.

Spróbowałem zmienić temat.

– Świetnie tu wszystko urządziłeś, stylowo – uśmiechnąłem się i pokazałem na panel z płaskim ekranem.

– Idź już lepiej w chuj – warknął. – Weź to żarcie, żebyś nie musiał popierdalać na tym mrozie do miasta, i wypierdalaj!

Skinąłem głową, też miałem wrażenie, że tak będzie najrozsądniej. Wstałem i zacząłem zbierać się do wyjścia.

– Bierz to – pokazał na jedzenie.

Poderwał się gwałtownie (przestraszyłem się, że mnie uderzy) i wyszedł do kuchni. Audiencja zakończona. Wstyd mi było na myśl o upychaniu szynki i chleba do torby, ale nie miałem odwagi nie posłuchać. Stałem więc niezdecydowanie nie wiedząc, co robić.

Wrócił z kuchni i podał mi pustą reklamówkę. Sapał przy tym jak lokomotywa, całe ciało trzęsło mu się od hamowanej wściekłości.

Weź piłkę, nie narkotyki – przypomniał mi się slogan jakiejś kampanii antynarkotykowej.

Nawet nie pisałem, posłusznie włożyłem jedzenie do reklamówki (przez cały czas nade mną stał i pilnował, czy wziąłem wszystko) i wsunąłem ją do torby.

– Dziękuję – powiedziałem i ruszyłem w stronę drzwi.

– Pójdę z tobą, żeby cię pieski nie zagryzły.

Wyszliśmy przed dom, dogi patrzyły na mnie podobnie jak ich pan. Bohusz podszedł do nich i z miłością pogłaskał po ogromnych łbach. Oblizywały mu rękę i z niedosytem nastawiały karki, żeby je pogłaskał.

Moje jesteście, moje! – mówił do nich.

Przestał zwracać na mnie uwagę, ruszyłem do bramy. Była zamknięta, musiałem więc stać smętnie i czekać, aż Bohusz skończy te pieszczoty.

Kiedy sobie o mnie przypomniał, szybko przeszedł przez podwórkę i przekręcił klucz w bramie, a nawet własnoręcznie uchylił jedno skrzydło, żebym mógł wyjść...

– Dzięki – wycedziłem przez zęby i wyszedłem na drogę. Chciałem iść prosto do miasta, ale obserwował mnie przez przymrużone powieki. Jeśli zobaczy, że go okłamałem i z jego zapasami nie pójdę z powrotem do domu, na pewno będzie wściekły.

Weź to żarcie, żebyś nie musiał popierdalać na tym mrozie do miasta!

Zawahałem się. Gdyby wpadł w szal, byłoby nieprzyjemnie, ale chyba by mnie nie pobił. Znacznie bardziej przejąłem się czymś innym. Bohusz właśnie pokazał mi, że jest w kompletnej rozsypce. Jedna zła decyzja, jedna chwila zawahania w przeszłości przy rozdzielni drasnęła go tak głęboko, że

wokół tej rany toczy się całe jego życie. Wprawdzie uciekł, ale mroźna polana zawładnęła nim bardziej niż nami.

Jeśli teraz ja ucieknę – co mi to da? Przecież do tej pory uciekałem, a i tak zawsze wracałem, inaczej się nie dało. Jeśli wyjadę, przepieprzę kolejnych dziesięć-piętnaście lat życia tylko po to, żeby któregoś dnia obudzić się tu jako podstarzały facet. Nie mogłem uciec, żadne z nas nie mogło – Bohusz, Ota ani Hana.

– Co tak stoisz jak ćwok – odezwał się do mnie kolega. – Pośpieszyć cię? – Obejrzał się przez ramię i zacmokał na psy.

Wiedziałem, że mnie nimi nie poszczuje, zrobiło mi się go żal.

Pokręciłem przecząco głową, odwróciłem się i ruszyłem do domu. Za plecami usłyszałem trzaśnięcie bramy i brzęk klucza w zamku.

III.

WRACAŁEM POWOLI, krocząc po własnym śladach. Poranny entuzjizm związany z ucieczką teraz wydawał mi się dziecinny. Śnieg chrząścił mi pod nogami, brzmiał, jakby się ze mnie naśmiewał. Przymaszerowałem przez trawnik między budynkami i podszedłem do drzwi wejściowych. Nagle w lesie coś trzasnęło i zakrakał jakiś ptak. Pod drzewami zobaczyłem rodzinę jeleni. Samiec rozważnie przeżuwał, samice nerwowo przestępowały, a młode myły się nawzajem.

Zrobiłem kilka kroków w stronę zbocza, nie dzieliło nas więcej niż dziesięć metrów. Wpatrywały się we mnie zaciekawione, nastawiając wielkie uszyska. Jeleń przestał przeżuwać, ale nie cofnął się ani na krok. Jakby zaskoczyło ich to, że wróciłem.

Wzruszyłem ramionami – mnie też zaskoczyło, że znów tu jestem, za domem, a nawet podchodzę do ściany lasu. Otworzyłem torbę podróżną,

zamek zachrząścił w mroźnej ciszy, zwierzęta zastrzygły uszami. Nabrałem w garść poczęstunek Bohusza i rzuciłem im. Kromki chleba, kawałki sera i plasterki szynki zaświszczały w powietrzu. Wylądowały blisko stada. Jeleń natychmiast zanurzył pysk w śniegu i wyłowił smaczną przekąskę. Samice i młode ruszyły w jego ślady.

Chwilę później przeżuwały, spoglądając na mnie z zadowoleniem i milcząco dając do zrozumienia, że mógłbym coś jeszcze dorzucić. Zapewne pamiętały mnie z poprzedniego karmienia – w ogóle się nie bały. Kiedy uporały się ze wszystkim, podeszły nieco bliżej. Staliśmy jakieś pięć-sześć metrów od siebie. Widziałem ich mokrą, zjeżoną sierść, parę, która buchała z nozdrzy i drobne wyrostki na rogach. Słyszałem, jak mlaskają, jedna z samic od czasu do czasu potrzasała głową i głośno parsknęła.

– No, widzicie, już jestem z powrotem – przemówiłem. Pochylały głowy i strzygły uszami, zapewne starając się rozszyfrować, o co mi chodzi.

Zamierzałem rzucić im wszystko, co dostałem od Bohusza, nie miałem na to jedzenie najmniejszej ochoty, wręcz przeciwnie, budziło we mnie obrzydzenie, nawet przy świadomości, że w domu mam tylko parę kawałków tortu Dobosza i może dwa suche rogaliki.

– Jedzcie sobie, jedzcie – bełkotałem, widok jeleniej rodzinki po dziewięciu dniach samotności rozczulił mnie jak dzieciaka. Jedno z młodych ruszyło w moją stronę, ufnie podniosło pyszczek i cicho pisnęło w moim kierunku, ale ostrzegawcze parsknięcie matki powstrzymało je.

Nagle zacząłem mieć wrażenie, że nie jesteśmy sami. Na potylicy poczułem mrowienie, jakby ktoś przypalał mnie spojrzeniem. Rozejrzałem się. Zbocze wzgórza było puste – tylko kilka zaśnieżonych płotów i puste

ogrody. W pobliskim lesie nie poruszyła się nawet gałązka, wszystko spowijała martwota, mróz paraliżował każdy ruch.

Jelenie zastrzygły uszami, wyraźnie zrobiły się nerwowe, ruszyły z powrotem do lasu – z pewnością coś usłyszały.

Rozejrzałem się jeszcze raz – nic.

Odwrociłem się w stronę domu.

W oknie mieszkania na dole zobaczyłem dwie małe siostry. Obserwowały, jak karmię zwierzęta. Kiedy zorientowały się, że je zauważyłem, starsza odbiegła od okna. Młodsza została i uśmiechała się, więc znów dane mi było zobaczyć rząd jej białych zębów.

Też się uśmiechnąłem i pomachałem. Z dziećmi nigdy nie szło mi najlepiej, więc nie wiedziałem, jak dziewczynka teraz zareaguje. Ku mojemu zaskoczeniu podniosła rączkę i odmachala mi. Pewnie wydawałem jej się zabawny, a może raczej śmieszny.

Śmieszny pan karmiący jelenie.

Zasłona poruszyła się, dostrzegłem Klisza. Złapał córkę za ramię i odciągnął od okna.

Stosunki sąsiedzkie zawsze były tu na najwyższym poziomie...

Znów odwróciłem się w stronę lasu (siatka od Bohusza nie była jeszcze pusta), ale zwierzęta zniknęły. Zawsze fascynowało mnie, że pojawiają się i znikają jak jakieś zjawy. Było w tym coś prastarego, wręcz magicznego.

Ostrożnie zszedłem z góry, otworzyłem drzwi do budynku i ruszyłem schodami na górę. Każdy krok, nawet chrzęst klucza w zamku przypominał mi o mojej porażce. Mieszkanie owionęło mnie zapachem cebuli i szepnęło, że próby jakiegokolwiek ucieczki są daremne.

Aż do wieczora krzątałem się w kuchni – jak najdalej od sypialni. Zgłodniałem, obrzydzenie do resztki prowiantu od Bohusza szybko mi

minęło. Siedziałem w półmroku, bo zaraz po powrocie zaciągnąłem żaluzje. Nie miałem ochoty patrzeć na las. Próbowałem grać w jakąś grę logiczną na iPhone, ale myślenie nie było dziś moją mocną stroną. Zacząłem więc czytać wiadomości w Internecie, lecz od malutkich literek zaczęły piec mnie oczy i rozboleła mnie głowa. Mimo to uparcie przeglądałem newsy, to było lepsze niż gapienie się w ścianę albo obserwowanie białej plamy na niemodnej od dawna kuchennej szafce (zaraz po powrocie zdrapałem naklejkę z Kaczorem Donaldem).

Komunikat prasowy o zbliżających się wyborach nagle zniknął, na ekranie pojawił się nieznany numer – ktoś dzwoni. Jeszcze nigdy z taką radością nie odbierałem telefonu z nieznanego numeru.

– Halo – odezwałem się.

– Cześć – usłyszałem kobiecy głos. Rozpoznałem Hanę. Kiedy przyszła w odwiedziny, dałem jej numer i prosiłem, żeby zadzwoniła.

– Widzisz mnie? – zapytała.

Najpierw nie wiedziałem, o co pyta, ale po chwili spojrzałem na ekran. Zobaczyłem jej twarz i kawałek pokoju w mieszkaniu jej matki.

– Zauważyłam, że też masz iPhone, więc możemy się widzieć – wyjaśniła radosnym tonem.

Wzruszyłem ramionami, wiedziałem o istnieniu funkcji FaceTime, ale do tej pory nigdy z niej nie korzystałem.

– Jak dasz telefon trochę dalej od głowy, to ja też cię zobaczę – zaśmiała się.

Niepewnie odsunąłem dłoń. Krzyczenie do telefonu wydawało mi się nienaturalne.

– Słyszysz mnie? – powiedziałem głośno.

Znów się zaśmiała. Po małej Kliszównie była dziś już drugą osobą, której wydałem się śmieszny. Właściwie trzecią, Bohusza bawiłem od

zawsze.

– Nie musisz krzyczeć, dobrze cię słyszę, a teraz też widzę.

– Nie zeżre mi to wszystkich darmowych minut? – zdobyłem się na pytanie.

– Zeżre, ale zobaczysz mnie. Nie warto?

Szczerze mówiąc, nie widziałem jej zbyt dobrze, w twarz świeciła jej lampa. Znacznie wyraźniejszy był kawałek kanapy i ściany z reprodukcją obrazu za jej plecami.

– W porządku? – spoważniała. – Nie chce ci się gadać.

– Spotkałem Bohusza.

Pokiwała głową, wszystko już było jasne. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego w liceum chodziła właśnie z nim.

– Trzymasz się? – nic bardziej sensownego nie przyszło mi do głowy.

– Sama nie wiem – spojrzała gdzieś na sufit. – Pokłóciłam się z mamą.

– O co?

– Nie podoba jej się, że myślę o rozwodzie. Chciałaby pomóc, ale wiesz jaka jest. Nic nie poradzi, tylko mnie jeszcze dobija.

– Właśnie po to są matki – uśmiechnąłem się złośliwie.

Hana nadal była poważna, zrozumiałem, że nie do końca mnie słucha, chciała się tylko wygadać.

– Ja już tu nie wytrzymam, tylko dokąd mam iść? Boję się Stana, jest agresywny, wystarczy, że zadzwoni... – uskarżała się.

– No, wiem – przytaknąłem. – Też nie mam zbyt wielu możliwości.

– Przecież jesteś sam, możesz pojechać, dokąd chcesz. Ale ja mam Mirkę.

– To prawda – przytaknąłem. Ludzie niejednokrotnie przekonywali mnie, że mam w życiu super, bo jestem sam. Mówili tak też wtedy, gdy

byłem z Livią.

– Nie możemy tu zostać – wyrzuciła z siebie. Nic więcej nie powiedziała, ale wiedziałem, co ma na myśli. O wydarzeniach sprzed dwudziestu siedmiu lat nigdy nie rozmawialiśmy.

Właściwie nie było o czym. Zawarliśmy niepisaną umowę – żadnej mroźnej polany, zielonej mgły ani pomieszanych kierunków świata nie było. Jednak nieuchwytne wspomnienia przepływały między nami, przelewały się z jednego w drugie, strumienia myśli nie dało się zatrzymać.

Oboje wiedzieliśmy, co temu drugiemu kłębiło się w głowie, ale za żadne skarby nie chcieliśmy tego wypowiedzieć.

– Lepiej stąd wyjechać – przytaknąłem.

– Myślisz, że znajdą Janka?

Zbędne pytanie, przemilczałem je.

– Więc co mam robić? – zapytała.

Przyszło mi do głowy, żeby zaprosić je do siebie, ale ugryzłem się w język. Gdzie bym je położył – w sypialni ze zdjęciem Alicy i kompasem?

Albo ja poszedłbym do sypialni, a one zostałyby w dużym pokoju?

– Wytrzymaj jeszcze, może to minie – uspokajałem i ją, i siebie. – Wtedy to też...

– Masz rację – szybko wskoczyła mi w słowo. – Spróbuję, zobaczę, co da się zrobić.

Nic się nie da zrobić, tylko wziąć nogi za pas – z pewnością wyczytała to z mojej twarzy.

– To dzięki, muszę już iść do Mirki.

– Pewnie, trzymaj się. Jakby co, to dzwoń.

Pożegnaliśmy się, na ekranie mignęło wnętrze pokoju, a później wszystko zrobiło się czarne.

Chyba za bardzo nie pomogłem Hanie, ale rozmowa miała sens – udało mi się przekonać samego siebie, że muszę stąd zniknąć. Dziś się zawahałem, zapewne byłem jeszcze w szoku po ostatniej nocy, dlatego pozwoliłem Bohuszowi, żeby pomieszał mi szyki. Ale jutro tego błędu już nie popełnię. Wyjadę, ucieknę, nie wytrzymam tu ani jednego dnia dłużej.

Nowy plan dodał mi sił. Do kuchni przenieśliem kilka siedzisk z kanapy i rozłożyłem na podłodze. Kiedy kładłem się na to niewygodne posłanie (światło zostawiłem włączone), byłem przekonany, że nie zasnę. Wstrząs, który przeżyłem poprzedniej nocy wyczerpał mnie jednak na tyle, że kiedy tylko zamknąłem oczy i trochę się odprężyłem, pogrążyłem się w ciemności.

IV.

OBUDZIŁEM SIĘ DOPIERO RANO. Przez szpary w zaciągniętych żaluzjach przenikały do kuchni smugi światła. Chwilę leniwie przewracałem się z boku na bok, ale siedziska były tak niewygodne, że wstałem. Osiedle Małe Tatry straciło nade mną władzę, byłem wolny. Tym razem nie będzie żadnej ucieczki w popłochu i bez śniadania. Spokojnie zjem, spakuję się i bez pośpiechu wyjadę. To takie proste. Nagle wydało mi się śmieszne, jak bardzo wszystko komplikowałem. Ta okolica ma nade mną tylko taką moc, na jaką sam jej pozwolę. Zdecydowanie coś tu nie było w porządku, ale ja jestem wolnym człowiekiem, który może się stąd zabrać i odejść.

Dokładnie to za chwilę zrobię.

Zaparzyłem sobie herbatę, usiadłem przy stole i zjadłem suchy rogalik z serem. Nie były to frykasy, ale czułem się przyjemnie odprężony. W brzuchu rozlewało mi się ciepło, wdychałem aromat czarnej herbaty.

Zapraǳałem światła. Podszedłem do okna i rozszerzyłem żaluzje.

Nagle, w jednej chwili herbata wróciła mi do gardła, zacząłem kaszleć, szybę pokryły czarne krople. Żołądek ścisnął mi się, zwymiotowałem przeżute pieczywo.

Kłęczałem na kolanach i sapiąc, zbierałem siły, żeby znów wyrzeć przez okno. Nie mogłem uwierzyć w to, co zobaczyłem.

To niemożliwe! To niemożliwe!

Wierzchem dłoni przetałem czoło. Zaskoczyło mnie, ile zimnego potu pojawiło się na nim przez tak krótką chwilę. Drżącymi palcami chwyciłem się parapetu i opierając się na nim, próbowałem wstać.

Podnosiłem się powoli, wyglądając przez okno. Póki nie widziałem trawnika między domami, wszystko było w porządku. Mogłem sobie wmawiać, że to było przewidzenie. Trawnik z wielkim orzechem jest na pewno pusty, leży na nim tylko śnieg usiany starymi śladami.

Na pewno niczego tam nie ma, na pewno...

Wyjrzałem przez dolną szparę pokrytego mrozem okna.

Nie, to nie było przewidzenie!

W czerwonym, nasączonym krwią śniegu leżało pięć martwych jeleni.

Przerażony umysł pracował powoli, stopniowo przyjmując do wiadomości szczegóły.

Jeleń, dwie samice i młode, które wczoraj karmiłem...

Nie zdechły z powodu choroby i nie zostały otrute, ktoś je zabił, coś je zabiło. Nie leżały w tym miejscu przypadkowo, ten, kto je pozabijał (żadne coś, żadne coś!), ułożył połamane zwłoki obok orzecha, skąd ciągnęła się ścieżka do rozdzielni.

Wiedziałem, że muszę zamknąć oczy, zaciągnąć żaluzje i przestać patrzeć na ten koszmar, ale i tak wbijałem w niego wzrok.

Martwe zwierzęta leżały zatopione w śniegu, z nogami połamanymi i powykręcany tak, że wyglądały jak gigantyczne pająki. Ale to nie to było najgorsze. Wszystkie miały rozcięte albo rozdarte brzuchy – zamarznięty śnieg wokół nich zdążył obficie nasiąknąć gęstą krwią. Głowy obu jelenków z zimnymi noskami były obrócone w moją stronę, jakby swoimi zgaszonymi oczami patrzyły prosto w moje okno.

Mój umysł się rozszczepił. W jednej półkuli przebłyskiwało przeświadczenie, że to dzieło kłusowników, a ułożenie ciał to tylko przypadek.

W drugiej zaś umacniała się pewność, że nic tu nie jest przypadkowe. To coś zamordowało jelenie, bo wczoraj je karmiłem, a ich martwe ciała ułożyło w ten sposób, żeby zorganizować mi przepiękny poranek.

To coś wiedziało, że spałem w kuchni i że codziennie rano wyglądam przez okno!

Opamiętaj się! – warknąłem, ale zachrypnięty głos w ogóle mnie nie uspokoił.

Nie byłem w stanie oderwać wzroku od tego wstrząsającego widoku pod orzechem. Wyraźnie czułem złe zamiary i gniew siły, która to sprawiła. Do tej pory to była tylko zabawa, ale mój wczorajszy powrót chyba ostatecznie ją rozwścieczył.

Zachwiałem się, prawie straciłem równowagę. Gdybym nie trzymał się kurczowo parapetu, upadłbym na podłogę. Nagle nie wiedziałem, co mam robić. Przykucnąłem, objąłem swoje ramiona i po cichu się rozpłakałem.

V.

DWIE GODZINY PÓŹNIEJ odważyłem się wyjść na zewnątrz. Jakaś siła wyciągnęła mnie, chociaż wiedziałem, że widok zmasakrowanych,

martwych jeleni nie zrobi mi dobrze. Na drodze poniżej trawnika tłoczyli się ciekawscy, grupka emerytów, ale i młodszy gapie. Wiadomość o przerażającym odkryciu rozeszła się błyskawicznie. Przed drzwiami do mieszkania na parterze stała pani Kliszowa. Za plecami przepychały się jej córki – młodsza tym razem się nie uśmiechała, pociągała nosem i wycierała oczy. Matka szybko odesłała je do mieszkania, nie chciała, żeby oglądały tę makabrę.

Powyżej drogi zauważyłem samochód policji. Z pewnością sprawdzali, czy znalezisko ma związek ze zniknięciem Janka. Nie wierzyłem, że odkryją powiązanie. O jego istnieniu byłem absolutnie przekonany, ale gdybym spróbował wyjaśnić je policjantom, zapewne zawieźliby mnie do psychiatryka.

Może właśnie tam jest moje miejsce.

Przez chwilę zacząłem myśleć, że zaczynam wariować, chyba tracę zdrowy rozsądek.

Mężczyźni w pomarańczowych kamizelkach chwycili samicę jelenia, podnieśli ją i wynieśli z trawnika. Głowa dyndała na długiej szyi, język wisiał z rozdziawionego pyska, zamglone oczy patrzyły w pustkę.

Zszedłem na drogę i rozejrzałem się po twarzach zgromadzonych ludzi. Pod pobliską lipą zauważyłem Otę i Bohusza. Stali przerażeni, obserwując mężczyzn wynoszących truchło.

Podszedłem do nich. Bohusz przywitał się kiwnięciem głowy, Ota mnie nie zauważył.

Zawsze lubił zwierzęta, widok na trawniku nim wstrząsnął.

– Straszne, nie? – rzucił Bohusz. Udawał miłego, jakby wczoraj nic się nie stało.

Skinąłem głową bez słowa.

Mężczyźni właśnie wynosili rozdartego jelenia.

– Kto mógł zrobić coś takiego... – wyksztusił Ota.

– Jebani kłusownicy – bluznął Bohusz. – Kurwy jedno – dorzucił wściekle.

Ze zdziwienia aż otworzyłem usta. On naprawdę myśli, że to zrobili kłusownicy?

– To nie kłusownicy – wyszeptałem.

Obaj spojrzeli na mnie. Ota tak zaciskał wargi, że aż mu zbiełały. Widziałem w jego oczach, że dobrze wie, o co chodzi. Z całego serca życzył sobie, żebyśmy o tym nie rozmawiali, chciał ukryć gdzieś ten koszmar, zamknąć w jakimś schowku. Trzymał go tam już szmat czasu, udawało mu się to przez całe lata – dopóki nie wróciłem.

Za to Bohusz jeszcze bardziej przymrużył powieki.

– Jak to nie kłusownicy?

– Dobrze wiesz, co to było – syknąłem. Miałem wszystkiego powyżej uszu: i zabawy w chowanego, i uciekania. Złość się we mnie gotowała.

– To byli jebani kłusownicy.

Nie przestraszył mnie, po szoku wymieszanym z przerażeniem załała mnie fala adrenaliny. Serce mi się rozszalało, zacisnąłem pięści. Było mi obojętne, czy mnie zaatakuje.

– To nie byli żadni kłusownicy – powtórzyłem.

Podszedł do mnie, nie zrobiłem ani kroku w tył, cały czas patrzyłem mu prosto w oczy.

Zawahał się, zapewne najchętniej by mnie uderzył. Schował się gdzieś za wysokim murem, ale przeszłość dopadła go nawet tam, zapędziła go w róg, z którego nie było już ucieczki.

Patrzył prosto w oczy swojej porażce, z pewnością widział we mnie coś z Alicy.

Zatrząśł się ze złości, twarz mu zsiniała. Byłem pewien, że mnie uderzy.

– Kurwa! – krzyknął zamiast tego (głos mu zadrżał) i pobiegł do mężczyzn niosących jelenia.

Dobiegł do nich, warknął i wytrącił im zwierzę z rąk. Patrzyli, niczego nie rozumiejąc, na nic więcej nie było ich stać. Grupka ciekawskich wydała okrzyk zaskoczenia.

Bohusz potrząsnął rozdartymi zwłokami. Zobaczyłem wiszące trzewia.

– To zrobili kłusownicy! – krzyknął jak szaleniec, jakby chciał przekonać gapiów o swojej racji. Chwycił nadłamany róg, oderwał i trzymał jak trofeum. Zapewne zabierze go do domu, żeby samemu sobie udowodnić, że się nie boi.

Ten pokaz szaleństwa przeraził mnie. Ewidentnie tracił zdrowy rozsądek. Co jeśli ja też?

Co jeśli sam sobie wydaję się normalny, ale ludzie mają mnie za świra?

Spojrzałem na Otę. Stał obok mnie, zgarbiony, z umęczoną twarzą. On też nie miał dokąd uciec.

Wszyscy do tej pory uciekaliśmy, przez ostatnie dwadzieścia siedem lat nieprzerwanie uciekaliśmy, nie zatrzymaliśmy się ani na chwilę. Nie pomogło nam to, i tak byliśmy poobgryzani jak moje palce, to coś zatopilo w nas zębiska, nie byliśmy w stanie tego z siebie strząsnąć.

Nie było sensu uciekać, nie było dokąd. Poklepałem Otę po ramieniu i wróciłem do mieszkania.

VI.

PULSOWAŁO MI W SKRONIACH, nerwowo chodziłem po skrzypiącym parkiecie.

Koniec z ucieczkami, koniec!

Kiedy trochę się uspokoiłem, sam sobie zacząłem wydawać się śmieszny. Trwające moment bohaterstwo nagle wydało mi się absurdalne.

Co chcę zrobić? Co znaczy: koniec z uciezkami?

Czułem potrzebę, żeby coś zrobić, ale nie wiedziałem co. Nagromadzona adrenalina szalała mi w żyłach.

Kiedy zadzwonił telefon, nie przestraszyłem się, byłem zbyt mocno pobudzony.

Wszedłbyś do sypialni? – przyszło mi do głowy. Ale moja odwaga miała swoje granice.

Poszedłem do kuchni (biała plama na szafce, radio odłączone z gniazdka) i odebrałem połączenie.

Ekran zrobił się ciemny, po chwili pokazała się na nim twarz Hany. Siedziała w pokoju, ale w innym miejscu niż poprzednio.

– Cześć, słyszałam, co się stało – rzuciła i spojrzała na mnie, jakby badała, w jakim jestem stanie. – Słyszałam też, że znów ściałeś się z Bohuszem.

– Kto ci powiedział?

– Ota do mnie dzwonił.

– Chciał, żebyś miała na mnie oko?

– Coś w tym stylu – przytaknęła. – U ciebie w porządku?

– Jasne, to sprawka kłusowników, ze mną wszystko w porządku – pokiwałem głową. – Pewnie tak samo jak z tobą, Otą i Bohuszem.

Zauważyła moje rozdrażnienie. Zamilkła, obraz na ekranie zatrzęsł się. Siedziała i kręciła się nerwowo. Przymknęła zielone oczy, kilka razy zamrugnęła, a kiedy znów na mnie spojrzała, zobaczyłem cień strachu.

– Ty też jesteś taka jak oni? – zaczępiłem ją. – Nic nie pamiętasz jak Ota, czy jesteś ponad to jak Bohusz?

– Nie, ja... – bąknęła.

Nagle dotarło do mnie, dlaczego w liceum chodziła z Bohuszem – bo nie było go tam z nami, nie był na mroźnej polanie, nie zostałznaczony tak, jak nasza trójka. Dlatego nigdy nie miałem u niej szans, podczas gdy Bohusz triumfował. Uratowało go własne tchórzostwo, dla Hany był ostoją względnego bezpieczeństwa. Nie musiała przed nim niczego ukrywać, a jednocześnie przy nim nie słyszała huku metalowych walców.

– Mów o tym! – krzyknąłem do telefonu. – Niech ktoś zacznie, na litość boską, o tym mówić!

Spojrzała na mnie i zagryzła dolną wargę.

– Byliśmy tam, Hana – chciałem powiedzieć to dobitnie, ale głos mi zadrżał. – Działo się to wtedy i dzieje się teraz.

– Wiem – wyszeptała.

– Musimy o tym rozmawiać, bo inaczej....

– Bo inaczej co?

Machnąłem ręką i wypłułem z siebie jakiś dźwięk, byłem mocno rozdrażniony.

– Bo inaczej co? – powtórzyła.

– To znów zniknie jak przed laty, może już na zawsze. Na zawsze – powtórzyłem wściekle, jakby to miało znaczenie.

– Może tak byłoby najlepiej.

– Wiesz, że to nieprawda! Jeśli nie staniemy z tym twarzą w twarz, zostaniemy tam na wieki.

– Gdzie zostaniemy? – zapytała, ale czułem, że dobrze rozumie, o czym mówię.

– Wiesz, gdzie. Nigdy się stamtąd nie wydostaliśmy.

– Uciekliśmy! – syknęła.

– Nie uciekliśmy, ciągle uciekamy, nie widzisz tego?!

Pociągnęła nosem, oboje stąpaliśmy po kruchym lodzie. Słyszałem jak pęka.

– Więc co chcesz robić? – zapytała.

– Stanąć z tym oko w oko, chociaż raz. Nie uciekać, dowiedzieć się, co to jest i....

– Co dokładnie chcesz zrobić?

– Nie wiem, do cholery!

– Myślałam o tym.

– Naprawdę? – uniosłem brwi. Niewątpliwie myśleliśmy o tym wszyscy czworo, ale Hana była pierwsza, która się do tego przyznała.

– Doszłaś do czegoś?

– To było tu dwadzieścia siedem lat temu i teraz znowu.

Milczałem, na pewno coś doda.

– Może to pojawiło się już wcześniej – rzuciła.

– Masz na myśli w przeszłości?

– Głupie, co? – uśmiechnęła się. – Chyba czytam za dużo Stephena Kinga, to jak z jego powieści.

Mnie także uniosły się kąciaki ust. – Regularne wieloletnie cykle, w których pojawia się potwór... Dość śmiała teoria.

– No, może to jednak sprawka kłusowników.

Uśmiech zamarł mi na twarzy.

– To nie sprawka kłusowników, ale te niby cykle to...

– Wariactwo? – zaczynała być wkurzona. – Próbowaleś to sprawdzić? Pytałeś kogoś?

– Niby kogo?

– Kogoś, kto długo żyje.

– Mam wypytywać emerytów, od jak dawna tu straszy?

– Nic ci nie powiedzą.

– No właśnie.

– Nie mam na myśli emerytów – patrzyła na mnie uparcie, jakby czekała, aż sam na to wpadnę.

– A kogo?

– Pomyśl. Potrzebujemy starego człowieka, który się tu wychował i który będzie chciał z nami rozmawiać.

Po karku ściekła mi zimna kropla. – Nikt nie przychodzi mi do głowy – wymamrotałem nieprzekonująco.

– Moja matka sprowadziła się tu w latach siedemdziesiątych. Bohusz i Ota nikogo tu nie mają.

– Nie wygłupiaj się, Hana...

W gardle mi zaschło, nie byłem w stanie dokończyć zdania. Kilka razy próbowałem złapać oddech.

– Twój ojciec mieszkał tu od dziecka, na pewno wszystko pamięta, nieraz wspominał tamte czasy.

Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, przed oczami zrobiło mi się ciemno.

– Hana, nie mogę, naprawdę nie mogę! – kręciłem głową.

– Czy przypadkiem nie wspominałeś przed chwilą o uciekaniu? – uniosła brwi. – Że koniec z ucieczkami, musimy stanąć z tym oko w oko, coś w tym stylu.

Stań z tym oko w oko.

– Jest w domu opieki, nawet tam nie byłem, nie jesteśmy akurat w najlepszych stosunkach.

– Dobrze, więc zostaniemy tam na wieki, dokładnie, jak powiedziałeś.

– On... wiesz, co mi robił... – Złapałem się na tym, że odgryzam sobie właśnie kawałek paznokcia.

Dobrze wiedziała, że ojciec mnie bił. Nieraz smarowała mi siniaki maścią podkradzioną rodzicom.

Obraz na ekranie zaczął drżeć, dopiero po chwili zrozumiałem, że trzęsie mi się ręka.

– Będę kończyć – powiedziałem, przeklinając tego, kto wymyślił funkcję FaceTime.

Patrzyła na mnie, jakby sprawdzała, czy za chwilę nie rozpadnę się na tysiąc kawałków.

– Pomyśl o tym – wyszeptała na koniec.

Rozłączyliśmy się, siedziałem przy kuchennym stole. Gapiłem się na zegar ścienny, od czasu do czasu rozpaczliwie pocierając szyję.

Wiedziałem, że ma rację. Potrzebujemy jak najwięcej informacji, inaczej nie ułożymy tych puzzli. W nieskończoność będziemy błądzić po omacku. Jeśli w okolicy zdarzyło się już coś podobnego, ojciec na pewno o tym wie, w końcu tu się wychował. Sprowadzili się tu w latach pięćdziesiątych, często o tym opowiadał.

Na myśl o spotkaniu zacząłem się trząść. Nie wiedziałem, czego bardziej się boję: potwora porywającego dzieci czy własnego ojca. Jeśli ucieknę przed jednym źródłem strachu, wpakuję się w drugie. Nie było w czym przebierać.

Stań z tym oko w oko.

Wstałem, podszedłem do okna i spojrzałem na łąkę z zakrwawionym śniegiem. Czerwień wylewała się z zamrzniętej bieli, truchła już uprzątnięto, ale zauważyłem jeszcze kawałek odłamanego poroża. Oparłem głowę o zimną szybę, na której z każdym moim oddechem pojawiała się para.

Stań z tym oko w oko. Koniec z uciekaniem.

ODWIEDZINY

I.

– **PRZYSZEDŁEM ODWIEDZIĆ EMILA KARSKIEGO** –
oznajmiłem portierowi w domu opieki.

Spojrzał na mnie nieufnie.

– Umawiałem się telefonicznie – ponagliłem go.

Każda sekunda była cenna, serce mi waliło, chciałem odwrócić się, wybiec z recepcji i o wszystkim zapomnieć.

– Aha, tak, jest pan – potwierdził portier. – Niech pan da dowód osobisty.

Jakaś część mnie chciała wywołać awanturę, pokłócić się z powodu dowodu osobistego i uniemożliwić wizytę.

Stań z tym oko w oko! – powtarzałem sobie.

Wyjąłem dokumenty i położyłem na kontuarze plastikową kartę.

– W porządku, proszę wejść – wymamrotał portier po sprawdzeniu danych. – Niech pan idzie na drugie piętro i skręci w prawo. Oddział 2A.

Ruszyłem schodami, z każdym krokiem moje nogi stawały się coraz cięższe, szedłem wprawdzie na górę, ale czułem się, jakbym schodził do jakiegoś podziemia.

Z każdym oddechem do nosa wdzierały mi się zapachy: jedzenie przygotowywane w kuchni, środki dezynfekujące i szczypiący odór moczu. Kiedy w Internecie szukałem numeru telefonu, przeczytałem informację, że na wiosnę planowany jest wielki remont budynku. Gdzieś na piętrze najwyraźniej odbywały się prace przygotowawcze, bo ponurą ciszę przerywały uderzenia młotka i krótkie, ale ogłuszające walenie młota pneumatycznego.

Linoleum na klatce schodowej było wilgotne, zapewne przed chwilą umyte. Miałem wrażenie, że podeszwy butów przyklejają mi się do niego, chciałem, żeby przykleiły się na zawsze.

Na pierwszym piętrze korytarz rozwidlał się na dwa skrzydła. Krzątało się tam kilku starców w rozciągniętych dresach i swetrach. Patrzyli na mnie pustymi oczami, jakby oczekiwali, że coś dla nich mam. Ojciec nawet na mnie nie spojrzy. Kiedy ostatni raz przyjechałem go odwiedzić (mieszkał jeszcze w domu), nie powiedział ani słowa. Uparcie oglądał telewizję, jedyną reakcją na moją obecność było wzruszenie ramionami. Spodziewałem się, że teraz też niczego nie powie. Ale sam sobie chciałem udowodnić, że potrafię stanąć z tym czymś oko w oko i nie uciec.

Znalazłem się na drugim piętrze. Oddział 2A. Skręciłem w prawo, doszedłem do dyżurki pielęgniarek i zgłosiłem swoją obecność.

– Przed obiadem klienci przebywają w świetlicy – oznajmiła mi potężna pielęgniarka. – Zaprowadzę pana.

Przeszliśmy ciemnym korytarzem (w całym budynku panował półmrok, starym ludziom zbyt ostre światło zapewne już nie służy) i weszliśmy do sporego pomieszczenia. Przy stolikach siedzieli emeryci. Niektórzy wyglądali przez okno, pozostali cicho dyskutowali, grali w karty albo drzemali.

Wziąłem wdech i poczułem nieprzyjemny zapach starych ciał, prawie zebrało mi się na wymioty. Z zaciśniętymi zębami przekroczyłem próg i wmieszałem się w tłum tych niepotrzebnych ludzi – kojarzyli mi się z odłożonymi na bok, zapomnianymi zabawkami.

Ojca dostrzegłem od razu. Siedział sam przy oknie, wbijając wzrok w zaśnieżone góry. Na wyblakłą flanelową koszulę miał narzucony fioletowy szlafrok. Ruszyłem w jego stronę, z przerażeniem patrząc na łysą czaszkę, na której nie został ani jeden włos. Nie był aż tak stary, nie miał

nawet siedemdziesięciu lat, ale po śmierci matki zapuścił się. Życie przestało go cieszyć, zubożał, umysł i ciało zwiotczały, nie był w stanie o siebie zadbać. Pielęgniarka ubiegła mnie i nachyliła się do niego:

– Panie Karsky, syn przyszedł pana odwiedzić – powiedziała mu do ucha. Każdą sylabę wymawiała powoli i wyraźnie.

W napięciu patrzyłem na jego kościste ramiona i czekałem, kiedy nimi poruszy.

Ani drgnął.

Ścisnęło mi się gardło, nie było mi go żal, ale jednak zawsze jawił mi się jako silny mężczyzna. Teraz wyglądał jak zaszuszone mumia i kto wie, czy coś do niego w ogóle dociera.

Pielęgniarka przyciągnęła krzesło i skinęła głową, żebym usiadł.

– Proszę mówić, pamięć ma dobrą. Jeśli tylko chce, to wszystko widzi i słyszy, nie można dać się zwieść – wyszeptała. – W razie czego proszę mnie zawołać – dodała i podeszła do grupy staruszek przy stoliku obok.

Stałem niezdecydowany, aż w końcu usiadłem.

– Cześć, tato – przywitałem się.

Nic, wielkie okulary z grubymi oprawkami nawet nie drgnęły. Gdzieś piętro wyżej warknął młot pneumatyczny.

Słowa przychodziły mi z trudem, męczyły mnie mdłości i szczypiący smród. Ojciec na pewno miał pieluchę z powodu popuszczania moczu.

– Przyszedłem cię odwiedzić, zostanę na trochę w Ružomberku – ciągnąłem.

Oczy za szklami dioptrycznymi przebiegły po szczytach odległych gór. Na pewno mnie słyszy, ale nie jestem wart jego spojrzenia. Odezwał się we mnie dawny gniew.

– Widzę, że masz się dobrze – nie poddawałem się.

Policzki usiane żyłkami trochę mu się zaczerwieniły – następny dowód na to, że dostrzega moją obecność, ale za Boga nie spojrzy.

Gdyby mi chociaż powiedział, czym go tak bardzo rozczarowałem albo uraziłem. Przecież przez całe dzieciństwo mnie bił. Troszczył się o mnie, ale troskę równoważył przemocą. Jeśli ktoś mógłby się tu czuć obrażony, to byłem to ja.

– Mieszkam w naszym mieszkaniu – powiedziałem. – Na osiedlu jest teraz cisza i spokój, jelenie też cały czas przychodzą.

Nie poruszył się, trochę przyśpieszył mu oddech. Miejsce, w którym przeżył prawie całe życie, budziło w nim emocje i wspomnienia.

– Zniknęło dziecko – kontynuowałem bezlitośnie. Chyba podobała mi się myśl, że trochę go podręcę i chociaż odrobinę wyrównam rachunki. – Dokładnie, jak wtedy, gdy zniknęła Alica.

Szybko odwrócił głowę i wbił we mnie wściekłe spojrzenie. Oczy miał mętne i pełne popękanych żyłek, ale i tak na chwilę struchlałem. Po plecach przebiegły mi ciarki. Tak wpatrywał się we mnie zawsze tuż przed atakiem okrucieństwa. Wziąłem oddech, role się odwróciły, teraz to ja byłem okrutny. Odpowiedziałem mu takim samym spojrzeniem, nie odwróciłem wzroku ani na sekundę.

– Czy wcześniej nie zdarzało się już coś podobnego?

Spoglądał na mnie w milczeniu, nie wiedziałem, czy bardziej mnie denerwuje jego złość czy widok pomarszczonej twarzy.

Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, co do niego czuję. Wyeliminowałem go ze swojego życia, tak samo jak on wyeliminował mnie. Teraz siedzieliśmy obok siebie, w powietrzu coś wisiało, ale żaden z nas nie miał dokąd uciec.

Z góry zadudniły uderzenia młota.

Nie powiedział ani słowa, odwrócił się z powrotem do okna i wbił wzrok w dal. Klatka piersiowa zaczęła mu się jednak poruszać szybciej.

Nagle zrozumiałem, z czym walczy.

Zakręciło mi się w głowie. Naprawdę było coś jeszcze? Teoria Hany wydawała mi się śmieszna, nie brałem pod uwagę, że coś mogło z tego wyniknąć. Wizyta u ojca była tylko gestem, przez który chciałem sobie udowodnić, że mam przynajmniej odrobinę siły, nic więcej.

Aż do teraz...

Obliział wyschnięte wargi, już prawie chciał coś powiedzieć, ale jednak zacisnął mocno usta, które zmieniły się w cieką kreseczkę, mur nie do sforsowania.

– Wydarzyło się coś? – nalegałem. – Kiedy byłeś mały albo później...

Wziąłem głęboki oddech, jakby brakowało mi powietrza. Prawie niezauważalnie pokręcił głową.

Nie chce o tym mówić, czy daje mi do zrozumienia, żeby stąd zniknął?

– Tato – spróbowałem jeszcze raz.

Nic, znów zatopił się w swoim bezludnym świecie. Oddech zaczął mu się uspokajać, pomarszczona twarz znów zbladła.

Byłem blisko, czułem, że byłem blisko czegoś, ale umknęło mi to.

Zacisnąłem zęby, żeby nie zacząć krzyczeć.

– Dobrze, to wspominaj tu sobie Alicę – warknąłem i wstałem. Krzesło głośno zaszurało, kilku emerytów i pielęgniarka odwrócili wzrok w moją stronę.

– Drugi lutego – wyszeptał ojciec ledwo słyszalnym głosem.

Nachyliłem się bliżej:

– Co?

Pielęgniarka ruszyła w naszą stronę, niczego się już nie dowiem.

– Co powiedziałeś? – potrząsnąłem nim.

– Już chyba wystarczy – przemówił do mnie kobiecy głos.

Zostały dwie-trzy sekundy.

Ojciec spojrzał na mnie, kąciaki ust mu drgały. Szybko zamrugał, oczy miał wilgotne, brwi ściągnięte.

– Drugi lutego w sześćdziesiątym trzecim – wycharczał.

– Niech pan już idzie, zdenerwował go pan – nalegała pielęgniarka.

Stałem skonfudowany – wygląd ojca, głos i data, którą z siebie wyrzucił, rozłożyły mnie na łopatki. Kiedy się opamiętałem, pielęgniarka wyprowadzała mnie za ramię z sali. Chciałem się osłonić, ale myśli kotłowały mi się w głowie a ciało zwiotczało. Pokornie pozwoliłem wyrzucić się na korytarz.

II.

– **CO MIAŁ NA MYŚLI** – zapytała Hana i chlapiąc, upiła łyk herbaty. Siedzieliśmy na kanapie w pokoju, czułem się przyjemnie odprężony. Chodziło tylko o krótką rozmowę z ojcem, ale po długim czasie miałem poczucie, że wreszcie coś mi się udało. Nie uciekłem, zmierzyłem się ze strachem jak facet.

– Nie śpij! Co według ciebie miał na myśli? – nalegała. Przyszła, kiedy tylko dowiedziała się, że wróciłem. Mirkę zostawiła matce, nie chcąc, żeby dziewczynka słuchała takich opowieści. Chyba naprawdę przeczytała za dużo powieści Kinga i spodziewała się, że przyniosłem z tego domu starców jakąś historię co najmniej mrozącą krew w żyłach.

Z trudem wyostrzyłem rozleniwiony umysł.

– Z tą datą? Nie mam pojęcia, może zupełnie nic – odparłem. W tej chwili było mi to absolutnie obojętne, potrzebowałem odpoczynku. Hana nie miała pojęcia, jak wiele kosztowała mnie ta dzisiejsza wizyta.

– To na pewno coś znaczy – zamyśliła się, pocierając brodę.

Patrzyłem na nią w milczeniu. Ciągle miała w sobie jakiś dziewczęcy urok. Zadźwięczało we mnie echo młodzieńczych pragnień. Żeby spróbować je uciszyć, nachyliłem się do filiżanki i wziąłem kolejny łyk herbaty.

– Wydaje mi się, że o sześćdziesiątym trzecim mówili niedawno w wiadomościach – kontynuowała.

No na pewno – tatuś coś powie i od razu grzmiało o tym w wiadomościach.

– Nic nie słyszałeś?

Pokręciłem głową. Każda sekunda obojętności wobec jej ekscytacji była na wagę złota.

Marzyłem o pozostaniu w stanie błogiego odprężenia.

– Już wiem! – wykrzyknęła i odłożyła filiżankę. – Mówili o tym w związku z mrozami. Że tegoroczny luty jest rekordowy od pięćdziesięciu lat, taka sroga zima była ostatnim razem w sześćdziesiątym trzecim i...

– O Boże – rzuciłem.

Zamilkła, uniosła prawą brew i wyczekiwała.

Odprężenie zniknęło jak za sprawą jakiejś czarodziejskiej różdżki. Nagle zastąpiło je odrętwienie i ciężkość, poczułem się jakby ktoś wypełnił mnie cementem.

– Drugi lutego w sześćdziesiątym trzecim – wyszeptałem.

Hana patrzyła na mnie jak na wariata:

– Nie rozumiem.

Patrzyłem w kąt, w którym stała szafka z kasetami video. Teraz zamieniła się w zamrażalkę, z której wręcz biło chłodem. Wiedziałem, że kiedy ją otworzę – zamarznię.

– Co robisz? – ciągle nie rozumiała.

Otworzyłem drzwiczki i przebiegłem wzrokiem po kasetach. Grzbiety były oznaczone datami. Górny rząd zajmowały nagrania z lat osiemdziesiątych. Schyliłem się do niższych półek – na samym dole wciśniętych było kilka kaset z filmami nakręconymi pięćdziesiąt lat temu.

Poczułem zapach perfum Hany, stała tuż za mną.

– Twój ojciec lubił nagrywać, pamiętam to – rzuciła. – Myślisz, że...

Parzyłem na grzbiet z datą 2.2.1963, ale nie miałem siły go wyjąć. Bałem się, że kiedy go dotknę, palce przymarzną mi do kasety.

Hana schyliła się i jak gdyby nigdy nic, wyjęła ją.

Porąbało cię, idiotko, zapomniałaś, z czym mamy do czynienia?! Tobie nikt nie porwał siostry i nie podrzucił do mieszkania kompasu z wirującą strzałką – szalało mi w głowie.

– Skąd masz takie stare nagrania na kasetach? Wtedy jeszcze nie było wideo, nie? – dopytywała się.

Zamknąłem drzwiczki, na wypolerowanym drewnie mignęło odbicie mojej twarzy – przypominało portret Picassa. Usta miałem ściśnięte w cieniutką kresczkę tak, że ledwo udało mi się je rozlepić:

– Wtedy kręcił kamerą ośmiomilimetrową, ale później oddał wszystko do przegrania na kasety wideo.

– Chodź, puścimy sobie, masz odtwarzacz!

– Nie wygłupiaj się.

– Ty się nie wygłupiaj! – odszczeknęła. Wreszcie coś mamy, a ty znowu robisz po gaciach?

– Nie, ale... nie wiadomo, co tam jest...

– No właśnie! – nie poddawała się. – Nie wiadomo, co tam jest. Może coś ważnego.

Z pewnością coś ważnego, skoro ojcu wryło się to tak mocno do głowy, że zapamiętał dokładną datę.

Przecież nakręcił to, mając dwadzieścia lat.

Ważne albo przerażające.

Podala mi kasetę. Zauważyłem, że okładka jest wytarta, ojciec często ją sobie puszczał.

Schyliłem się do odtwarzacza i włączyłem go. Ręce mi się trzęsły tak, jak gdy dwadzieścia lat temu wkładałem do niego kasetę z tanim porno pożyczonym od kolegi z klasy. Wtedy też drżałem na myśl o tym, co zobaczę. Coś nieznanego i zakazanego – prawie jak teraz.

Tymczasem Hana włączyła telewizor i odnalazła właściwy kanał. Szumienie ustało, pojawił się czarny ekran.

Odtwarzacz z głośnym chrząknięciem połknął swoją strawę. Chwilę musiał powalczyć, ale w końcu rozległ się przeciągły dźwięk, zaczął odtwarzać taśmę.

Oboje w napięciu staliśmy przed telewizorem, słyszałem przyśpieszony oddech Hany.

Na ekranie pojawił się drżący, niemy obraz z ciemnymi konturami. Po czarno-białych ujęciach skakały ciemne plamy i cienkie czarne paski.

Natychmiast rozpoznaliśmy zimowy krajobraz naszego osiedla. Wyglądało inaczej. Lipy rosnące w szpalerze wzdłuż drogi miały około połowy swojej obecnej wysokości, a między domami rosło więcej wysokich sosen. Ojciec z kamerą stał przy naszym domu, w ujęciu złapał całą ulicę. Stały na niej tylko dwa auta – stara skoda spartak i jakaś hybryda.

Roztrzęsiony obraz na chwilę zniknął, a kiedy znów się pojawił, patrzyliśmy na podnóże Czebrata. Zbocze było obnażone, mur z drzew i krzewów zaczynał się znacznie wyżej niż dziś – już na poziomie Małego Szałas.

Ekran znów pociemniał. Przez chwilę miałem nadzieję, że to już wszystko, że na kasecie nie ma nic więcej. Ale obraz rozjaśnił się, tym razem był to widok na zaśnieżoną leśną ścieżkę. Nie rozpoznałem dokładnie miejsca, ale musiało to być gdzieś na Czebracie. Przed ojcem w śniegu brodziło czterech mężczyzn opatulonych w grube, staromodne kurtki. Na głowach mieli śmieszne baranice albo czapki robione na drutach. Rozglądali się, czasem któryś z nich przykładął do ust dłoń i nawoływał. Nagranie było bez dźwięku, nie dowiedzieliśmy się więc, co krzyczą.

– Szukają kogoś – szepnęła Hana.

Zamarłem, wszystko było jasne. Szukają zagubionego dziecka, dokładnie tak jak my cztery dni temu.

Grupa dotarła do stromej polany. Rozdzielili się, ojciec odwrócił się i zrobił ujęcie na miasto. Bezsensownie kręcił odległy kościół, cmentarz i zaśnieżone szczyty Wielkiej Fatry. Zabawa kamerą interesowała go chyba bardziej niż poszukiwania.

Nagle szybko odwrócił się w stronę lasu. Z gęstwiny wyłonił się jeden z mężczyzn. Coś krzyczał i przywoływał pozostałych. Przerażony pokazywał na las i machał do nich, żeby się pośpieszyli.

– Coś tam znalazł – powiedziałem. Hana zbliżyła się do mnie, dotykaliśmy się ramionami, jej oddech był coraz płytszy.

Mężczyźni rozbiegli się pomiędzy drzewami. Ojciec jeszcze przez chwilę stał na polanie, kręcąc długie ujęcie okolicznego lasu. Zbyt energicznie pracował kamerą, nie można było rozpoznać prawie żadnych szczegółów – tylko gęsta smuga zaśnieżonych krzaków, drzew i pni.

W jednej chwili zmroziło mnie, zauważyłem coś, chyba mi się przewidziało.

– Widziałas to? – wycharczałem.

– Co?

– Obraz zaczął się trząść, ojciec biegł za mężczyznami, najwyraźniej niczego nie zauważył.

Chciałem doskoczyć do widea, zatrzymać odtwarzanie i przewinąć kawałek do tyłu, ale Hana mnie powstrzymała: – Idą do Małej Skały, patrz!

Miała rację, rozpoznałem kształty znajomego krajobrazu. Grupa zbliżała się do rozszczepionej iglicy, gdzie niedawno słyszeliśmy śpiew i znaleźliśmy ślady, których wcześniej nie było.

Przejęty mężczyzna prowadził pozostałych na polanę pod skałą. Nieustannie odwracał się i bezgłośnie coś wykrzykiwał.

Nie wiedziałem, co go tak zdenerwowało, na łące nie było niczego dziwnego – tylko parę niskich sosen i dużo śniegu.

Ojciec szedł za nimi, stara kamera nie dawała sobie rady ze skokami pomiędzy światłem i ciemnością, marnej jakości obraz tracił ostrość.

Nagle grupa zatrzymała się, a stojący na ich czele mężczyzna pokazał na ziemię. Wytrzeszczyli oczy, jeden z nich chwycił się za głowę, drugi przyłożył dłonie do ust, a trzeci się odwrócił.

– Co oni tam widzą, do cholery? – mamrotałem. – Przecież tam nic nie ma.

Hana chwyciła mnie za rękę.

Ojciec zrobił kilka kroków do przodu, przybliżając się do grupy, i skierował obiektyw w dół.

Migający obraz zrobił się niewyraźny.

Początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, na co patrzymy. W białym śniegu widzieliśmy tylko jakieś ciemne kropki.

Obraz nabrał ostrości, ale zaczął drżeć – ojcu roztrzęsła się ręka.

Wstrzymałem oddech.

– Boże! – syknęła Hana.

W śnieg, w półmetrowej odległości od siebie, wciśnięte były dwie gałki oczne. Nieco niżej z zamarznętej bieli sterczał wyrwany język, jakby narysowana dziecięca twarz wystawiała go, drwiąc sobie z nas.

Tyle że to nie był rysunek, coś ułożyło ją ze szczątek dziecka.

Ojciec podniósł kamerę, jeden z mężczyzn krzycząc, podszedł do niego i dłonią zakrył obiektyw. Obraz pociemniał.

Minęła sekunda, dwie.

Na szczęście już nic się nie pojawiło.

Przez dłuższą chwilę staliśmy w odrętwieniu, nie było nas stać nawet na jedno słowo.

Kiedy minął pierwszy szok, uwolniłem się z kurczowego uścisku Hany. Palce miała jak z lodu. Najchętniej wyrzuciłbym ten odtwarzacz razem z kasetą przez okno, ale musiałem coś sprawdzić.

Włączyłem przewijanie. Na ekranie mignęli zdenerwowali mężczyźni, potem ujęcie potwornej twarzy na śniegu i przedzieranie się przez zimowy las.

Kiedy pojawiła się polana, zatrzymałem obraz.

Mężczyźni właśnie pobiegli w stronę Małej Skały, ojciec kręcił szybkie ujęcie okolicy.

Włączyłem odtwarzanie w zwolnionym tempie. Ruchy stały się wolniejsze, zarośla były rozmazane, ale drzewa i pnie nieco ostrzejsze.

Wiedziałem, że to tam będzie, byłem pewien, że to nie było przewidzenie. Brakowało jeszcze trochę, jeszcze parę metrów.

Już tylko chwila, moment.

Teraz!

Wcisnąłem *pause*.

Obraz zastygł, trochę się trząsł, ale można było rozpoznać szczegóły.

Przyglądałem się gęstwinie przy prawej krawędzi ekranu, chciałem pokazać tam palcem. Hana wydała z siebie stłumiony okrzyk, ściśnięta pięść powędrowała jej do ust. Nie musiałem już nic pokazywać, zauważyła to sama.

Za огоłoconymi z liści krzakami stała drobna dziecięca postać. Zamiast oczu miała czarne krater.

III.

LEŻAŁEM NA MATERACU W KUCHNI i gapilem się na rozświetloną żarówkę na suficie. W ustach czułem metaliczny posmak. Kiedy tylko przymykałem powieki, pojawiał się pod nimi obraz gałek ocznych wciśniętych w śnieg. Wyrwany język wyrastał z wysepki krwi – jakby sterczał z krwawoczerwonych ust.

Rozmyślałem gorączkowo, ale byłem w apatii. Gdy adrenalina opadnie, znów będzie mi wszystko jedno. Absolutnie wszystko. Nie dawałem sobie rady z kolejnym ciężarem, wydarzenia ostatnich dni mocno nadszarpnęły moje nerwy.

Dopóki jednak byłem w stanie, zastanawiałem się, czego właściwie się dowiedzieliśmy (Hana uciekła z mieszkania, nawet się nie pożegnaliśmy). Było tego sporo i właśnie to mnie wykańczało. Myśli krążyły mi po głowie szaleńczo, wyprzedzając jedna drugą.

W dziwnych okolicznościach znikają tu dzieci. Miało to miejsce zimą w latach: 2012, 1985 i 1963, a może i wcześniej. Czy te sprawy mają ze sobą jakiś związek? Może naprawdę istnieje jakiś cykl? Nie widziałem w tym sensu, podobne teorie wydawały mi się śmieszne. Ale i tak... 2012, 1985, 1963...

Oblizalem krwawiący palec, moje myśli wyskoczyły ze swoich kolejn i zaczęły poruszać się po innym torze.

Dziecięca postać za krzakami, jakby bez oczu.

Co z tego wynika?

Zwabili ją mężczyźni szukający zagubionego dziecka? Czy my też przyciągnęliśmy coś podobnego, szukając Janka przy Małej Skale, usłyszeliśmy śpiew i znaleźliśmy drobne ślady, których tam wcześniej nie było?

Papierowe dzieci – przyszła mi do głowy nedorzeczna fraza. Zapomniałem o niej na całe lata.

Coś je porywa i zamienia w... Właściwie w co?

W widma – w ohydnych myśliwych polujących na kolejne dzieci?

Mroźna polana, huk metalowych walców... Dziesiątki drobnych postaci w zielonej mgle.

Każdej czegoś brakowało – oczu, nosa, ust albo uszu...

Papierowe dzieci, coś je obcina, wycina z życia i porywa na drugą stronę, do obcego świata snu.

To nie miało sensu, ten tok myślenia był autostradą do szaleństwa. Im jaśniejszy był mój umysł, tym szybciej popadałem w obłąd.

Co do jednej rzeczy jednak nie miałem wątpliwości. Czułem to każdą częścią siebie, każdym kawałeczkiem duszy. Oglądając to nagranie, otworzyliśmy się jeszcze bardziej. To, co zobaczyliśmy, jeszcze bardziej zbliżyło nas do tego czegoś, co czyha w górach. Na pewno to wyczuło

nasze myśli i strach. Nawet przez murowane ściany czułem fale gniewu płynące z lasu. To coś wiedziało, że się zbliżyliśmy, na odpowiedź nie trzeba będzie długo czekać. Zabawa dawno się skończyła, teraz czas na coś znacznie poważniejszego.

IV.

NAGLE SIĘ PRZEBUDZIŁEM. Nie wiedziałem nawet, kiedy zasnąłem. Ledwo też pamiętałem swoje rozmyślania. Wolałem jednak, żeby pozostały zanurzone w gnijących moczarach (wydawały mi się lepkie i śmierdzące). Zjadłem coś i zgasilem światło. Nocnej ciemności bym nie zniósł, ale za oknami rozlewała się już poranna szarówka.

Do wpół do dziewiątej siedziałem w cichej kuchni, gapiąc się na odłączone radio (nie odważyłem się podejść do okna) i czekałem. Nie wiedziałem na co, ale nie chciało mi się o tym myśleć, nie chciało mi się myśleć o niczym, chciałem tylko przeżyć.

O wpół do dziewiątej zacisnąłem zęby, złapałem komórkę i wybrałem ostatni numer na liście połączeń.

– Dzień dobry, Dom Opieki Nadzieja – odezwał się z głośnika portier.

– Dzień dobry, z tej strony Karsky – przywitałem się. – Wczoraj byłem odwiedzić ojca.

– Tak, pamiętam.

– Dziś też chciałbym go odwiedzić.

Tata na pewno wie więcej, wychował się tu, słyszał opowieści starszych mieszkańców i niewątpliwie rozmyślał o tej sprawie przez co najmniej pięćdziesiąt lat.

– Niech pan poczeka, połączę z lekarką – usłyszałem. Wczoraj do żadnej lekarki mnie nie przełączała, ale zanim zdążyłem zareagować,

w telefonie coś zaszeleściło i odezwała się melodyjka przerywana sygnałem oczekiwania na połączenie.

Ktoś podniósł słuchawkę:

– Novicka, słucham.

– Dzień dobry, tu Karsky, chciałem znów odwiedzić ojca, przełączono mnie do pani, nie wiem...

– To nie jest dobry pomysł – przerwała mi.

– Słucham?

– Po pańskich odwiedzinach bardzo się zdenerwowałem, prawie straciłem przytomność. Pokłóciliście się?

– Nie, absolutnie – wydobyłem z siebie.

– Jego stan się pogorszył, chwilę potrwa, zanim się pozbiera. Do tego czasu odradzam kolejne wizyty.

– Chodzi o ważną sprawę i...

– Tym bardziej.

– Czy pani może zabronić się nam spotkać?

– Nie, ale proszę zrozumieć, w jego stanie... Trzeba brać pod uwagę wszystkie ewentualności.

Rozumiałem. Jeśli znów go zdenerwuję, mogę go zabić.

– Proszę go chociaż zapytać, czy chce się spotkać. Jeśli powie, że nie albo nic nie powie, uszanuję to.

– Naprawdę chodzi o coś ważnego? – upewniała się.

– Naprawdę.

– Dobrze, zapytam i dam panu znać.

Rozłączyliśmy się. Zapewne chciała się mnie pozbyć i już się nie odezwie, ale przynajmniej spróbowałem. Moja nowa zdolność pokonywania przeszkód nie cieszyła mnie już tak jak wczoraj, po

obejrzeniu nagrania opuściła mnie wszelka radość. Nie chciałem jednak wyjść na tchórza. Uciekając z mojego mieszkania, Hana wyszeptała: – Musisz znowu do niego iść! – przenikliwie patrzyła mi przy tym w oczy. Jej zielone spojrzenie mówiło: jeśli tego nie zrobisz, jesteś u mnie skończony.

Zrobiłem, co się dało. Opadłem na materac, rozmowa wyssała ze mnie całą energię. Gapilem się na sufit, podświadomie czekając na telefon. Komórka jednak milczała, obraz był ciemny jak czarna dziura.

Na pewno lekarka tylko mnie zbyła – pomyślałem i na chwilę przymknąłem powieki.

Obudziła mnie wrzawa, głosy dochodzące z nieopodal. Rozmawiała większa grupa ludzi, ale najdonośniejszy był falset zdenerwowanej kobiety. Tłumaczyła coś zapamiętale, a po chwili zaczęła krzyczeć.

Oprzytomniałem i wyjrzałem przez okno. Na zewnątrz znowu panował półmrok, moja drzemka trwała do późnego popołudnia. Sprawdziłem iPhone – żadnych nieodebranych połączeń. Lekarka miała mnie gdzieś.

Pod oknem trwała gorączkowa rozmowa. Brzmiała jak kłótnia. Podeszedłem bliżej i ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz.

Kliszowie i trójka policjantów!

Klisz trzymał żonę za drżące ramiona, ale wyrywała mu się co chwilę i pokazywała na las.

Policjanci zadawali pytania, coś sobie zapisywali, obracali głowy: las – dom, dom - las.

Nie rozumiałem, na co patrzą, przecież nasz dom nie był w żaden sposób interesujący.

Uchyliłem okno, żeby lepiej słyszeć.

– W kuchni były, lubiły patrzeć przez okno na zwierzęta – pochlipywała Kliszowa.

Ciągle nie wiedziałem, o co chodzi, ale poznanie zbliżało się ku mnie w przerażającym tempie.

Trzej policjanci, małżeństwo, bez córek...

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać.

– Byłam w sypialni, w mieszkaniu cisza, dziewczynki w kuchni, przy oknie – szlochała Kliszowa. – Nagle przeszył mnie dreszcz, w jednej chwili zrobiło się zimno. Poszłam zobaczyć... Okno otwarte, a ich nigdzie nie ma, nigdzie nie ma!

Koniec tej zabawy, teraz się zacznie.

– A ich nigdzie nie ma, nigdzie nie ma moich dzieci! – zaczęła krzyczeć, ale krzyk szybko zamienił się w spazm.

PRALNIA

I.

LEŻAŁEM, GAPIĄC SIĘ OTEPIALE NA PEKNIĘCIA W TYNKU.

Tego już było za dużo. Tym razem naprawdę nie wytrzymałem napięcia. Kiedy dotarło do mnie, że zniknęły dziewczynki z mieszkania na dole, wyczerpanie nerwowe rozłożyło mnie na łopatki. Po prostu rozładowałem się, coś mi się wyłączyło, zamieniłem się w żywego trupa.

Otarłem pot z czoła. Nie był zimny, wręcz przeciwnie – cały byłem rozpalony. Dwie godziny temu dostałem gorączki. Zaraz po wyjściu policji. W głowie migwały mi urywki naszej rozmowy. Przypominała przesłuchanie, już ostatnim razem im się nie podobałem. Teraz było jeszcze gorzej, na pewno myśleli, że jestem pijany albo że coś brałem. Moje reakcje były spowolnione, bełkotałem bez sensu – idealny podejrzany. Na moją korzyść świadczyło jedynie to, że w ciągu dnia napadało trochę śniegu, a od drzwi wejściowych nie prowadziły żadne ślady, biały puch był nienaruszony. Buty też miałem suche.

W pamięci utkwily mi fragmenty o śnieżnych koleinach ginących w lesie. Usłyszałem to, kiedy policjanci naradzali się między sobą. Według nich wszystko wskazywało na to, że dziewczynki uciekły z własnej woli, coś za sobą dodatkowo ciągnąc. Pewnie chodziło o jakąś zabawę, może chciały zwrócić na siebie uwagę.

Miałem absolutną pewność, że to nieprawda, ale nie miałem siły ich o tym przekonywać. Nie byłem w stanie ani oddychać, ani w ogóle żyć. Kiedy tylko wyszli, zaległem w kuchni i leżałem tak aż do nocy. Od czasu do czasu wycierałem pot z czoła, jednak to także był ogromny wysiłek. Obojętnie gapiłem się na iPhone leżący na podłodze. Najpierw próbowała dodzwonić się do mnie Hana, później Ota. Oboje nie dawali za wygraną.

Nie odebrałem żadnego połączenia – jedyne, na co było mnie stać, to wyciszenie telefonu.

Tkwiłem w zawieszeniu pomiędzy snem i jawą. Czasem miałem wrażenie, że z sąsiedniego mieszkania słyszeć jakieś szuranie, jakby ktoś przesuwiał meble. Nawet to mnie nie poruszyło. Udało mi się przekonać samego siebie, że to wina nadwyrężonego systemu nerwowego i gorączki. A może wróciła stara Dreczekowa, ma już co najmniej sto lat i przesuwa po mieszkaniu fotel, w którym umarł jej mąż. No i co?

Zapadłem w niespokojny sen. W nocy kilka razy zbudził mnie głód, ale kiedy uświadamiałem sobie swoje przebudzenie – zasypiałem ponownie.

Obudziłem się jakoś po ósmej. Wywnioskowałem to po świetle wpadającym przez okno. Czułem się trochę lepiej, sen mi pomógł. Osłabienie minęło, nie miałem nawet gorączki. Męczył mnie jedynie pusty brzuch, nie pamiętałem, kiedy ostatni raz coś jadłem. Z głodu nie chciało mi się nawet ruszać. Gwałtowne skurcze co chwilę ścisnęły mi żołądek. Wyciągnąłem się po komórkę i sprawdziłem ekran.

Pięć nieodebranych połączeń od Hany, trzy od Oty. Naprawdę tęsknili. Któreś z nich chyba dzwoniło też do drzwi, wydawało mi się, że wieczorem ktoś się tu dobijał.

Może stara Dreczekowa, Kliszówny albo Alica.

Jeśli czegoś nie zjem, do końca postradam zmysły.

Komórka rozbłysnęła, na ekranie pojawił się nieznany numer. Już miałem odrzucić połączenie, ale przyszło mi do głowy, że to może być policja. Nieodebranie w takiej sytuacji nie byłoby mądre, i tak mają mnie za co najmniej dziwnego.

Przejechałem palcem po ekranie i przyłożyłem iPhone do ucha.

– Dzień dobry, tu doktor Novicka – odezwał się głos.

– Kto? – charknąłem. Miałem sucho w ustach, męczył mnie nie tylko głód, ale i straszne pragnienie.

– Doktor Novicka, Dom Opieki *Nadzieja* – powtórzyła poirytowana. – Pan Karsky?

– Tak, to ja, przepraszam.

– Pański ojciec wczoraj nie reagował, ale dziś na porannym obchodzie powiedział mi, że chce, żeby pan przyszedł.

Wczorajsza chęć spotkania się z ojcem nagle wydała mi się mocno niedorzeczna.

– Nie wiem, czy będę mógł – wymamrotałem.

– Wczoraj pan o to prosił – podniosła głos.

– Coś mi wypadło.

– Jak pan uważa, ciągle jest dość podenerwowany. Ale upierał się, żeby pan przyszedł. – W telefonie nastała cisza, usłyszałem odgłos szybko wypuszczanego powietrza, domyśliłem się, że lekarka pali papierosa. – Najlepiej jeszcze dziś, tak mi powiedział.

– Dziękuję, zrobię, co w mojej mocy – zapewniłem ją. Sam nie wiedziałem, czy to znaczy, że przyjdę czy, że nie przyjdę.

II.

GDYBY NIE PRZYSTANEK w sklepie spożywczym, w którym zaopatrzyłem się w zapasy (niemałą część łapczywie połknąłem od razu na miejscu) nie doszedłbym do *Nadziei*. Ledwo udało mi się opuścić osiedle. Padałem z nóg, ale nie to było najgorsze. Nawet jeśli wydawało się, że to niemożliwe, zrobiło się jeszcze zimniej. Ulice ziały pustką, latarnie, samochody i kontenery pokrywała szadź.

Dom opieki stał na wzgórzu, przy wyjeździe z miasta w stronę Dolnego Kubina. Nie było to daleko, ale kiedy dowlokłem się do recepcji, musiałem usiąść, żeby trochę odsapnąć. Portier rozpoznał mnie, ale mimo to (albo właśnie dlatego) nieufnie przewiercił mnie wzrokiem. Wejście na drugie piętro tym razem zajęło mi trochę więcej czasu. Lał się ze mnie pot, nie wiedziałem, czy z wysiłku, czy z powodu gorączki.

Pielęgniarka nie zaprowadziła mnie do świetlicy, tym razem szliśmy na koniec korytarza.

– Jego stan bardzo się pogorszył – powiedziała takim tonem, jakby to była moja wina. Właściwie miała rację, pogorszenie niewątpliwie miało związek z moją wizytą. Ożywiłem w ojcu wspomnienia, które starość w nim stępiła. Wybudziłem je, a one wgryzły się w jego niedołężne, pomarszczone ciało. Ale co miałem zrobić? Przecież moim wspomnieniom przez ostatnie dni też wyrosły ostre zębiska.

Zatrzymaliśmy się przed odrapanymi drzwiami. Gdzieś nad nami warknął młot, ściany i podłoga zadrżały.

– Pacjentom to nie przeszkadza? – zapytałem.

– Mamy ich trzymać na zewnątrz? – odburknęła.

Otworzyła drzwi i dała znak, żebym wszedł.

– Niedługo – podkreśliła. – Dostał dużo leków, może reagować trochę... inaczej.

Skinąłem i wszedłem do środka. Przyszło mi do głowy, że w ostatnim czasie przekraczam wiele progów, od których powinienem trzymać się z daleka.

W wąskim pokoju stały dwa łóżka. Jedno puste, drugie prawie puste – leżał na nim ojciec. Wychudłe ciało ginęło w fałdach kołdry, gdybym nie wiedział, że tam jest, pewnie bym go nie zauważył.

Kiedy mnie zobaczył, wybełkotał coś. Usiadłem i podałem mu filiżankę z herbatą stojącą na stoliku przy łóżku. Złapał ją niepewną ręką usianą starczymi plamami. Upił trochę, siorbiąc, ale większość wylądowała na nieogolonej brodzie. Pomógłbym mu, ale już dawno wymłócił ze mnie nadmierny zapal.

Spojrzał na mnie, miał puste oczy i niewyraźne spojrzenie.

– Cześć, tato – przywitałem się.

Głośno zacharczał, grdyka w chudym gardle podskoczyła i wróciła na miejsce. Zamierzał coś powiedzieć.

Nachyliłem się, żeby lepiej słyszeć.

– Znalazłeś kasetę? – zapytał.

– Tak, znalazłem.

Pokiwał głową, jakby to wiele wyjaśniało. Chciał mówić dalej, ale złapał go ostry kaszel, w oskrzelach coś zarzęziło. Przyłożył do ust chusteczkę i wypluł w nią gęstą flegmę.

Naprawdę nie było z nim najlepiej. Pomyślałem, że wbiję mu jakąś szpilę, dobrze by mi to zrobiło, gdybym trochę go podręczył. Zamiast tego poprawiłem mu poduszkę. Wsparł się na łokciach i podniósł nieco wyżej. Wreszcie mu ulżyło, w piersiach zagwizdało powietrze.

– Zgłosiliśmy to, wszystko zgłosiliśmy – wydobył z siebie.

– Masz na myśli to znalezisko przy Małej Skale?

– Tak, zgłosiliśmy na milicję.

– Odkryli coś?

Zaprzeczył szybkim ruchem głowy.

– Wszystko zatuszowali, bolszewiccy skurwiele! Wtedy było nie do pomyślenia, że coś takiego w ogóle może się zdarzyć, nie było takiej opcji.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc tylko przytaknąłem.

Zacisnął usta, pomiędzy brwiami pojawiła się zmarszczka. Przewróciło mi się w żołądku – ojciec jest wściekły! Nawet teraz, chociaż leżał przy mnie jako bezwładny starzec, dygotałem jak dziecko.

Ojciec jest wściekły!

– Zakazali nam o tym mówić! – warknął ze złości. – Straszili zwolnieniami, nieprzyjęciem dzieci do szkoły, wszystkim...

Gniew zniknął mu z twarzy, kącik ust drgnął, odwrócił wzrok.

– Musiałem milczeć, musiałem – charczał do poduszki.

Już miałem położyć mu dłoń na kościstym ramieniu, ale jednak się powstrzymałem. Co z tego, że teraz jest mu przykro. Dlaczego miałoby mnie to interesować?

– Nawet nie pisałem, to przecież nie było moje dziecko – smętnie ciągnął dalej. – Ale później... Później...

Zamilkł, zapewne jego myśli przerwał młot wgryzający się w ścianę.

Nawet bez wyjaśniania wiedziałem, co ma na myśli – potem... to przydarzyło się jego córce.

– Moja – wyszeptał. – Zniknęła, bo milczałem...

– To nie twoja wina, tato.

Jeszcze bardziej się odwrócił.

– Byłem wściekły, na siebie, na wszystko. Dużo złości, dużo...

Mnie o tym, gnoju, nie musisz przypominać, starałem się być cyniczny. Próbowałem uciec jakoś przed tym rachunkiem sumienia wywołanym silnymi lekami. Chciałem być drwiący, nieczuły, wszystko, byle nie zacząć mu współczuć.

– Dlatego cię... biłem. Złość i strach, że ciebie też... – kościste ramiona zaczęły się trząść, twarz zakrył dłonią, żebym nie widział, jak płacze.

– To nie twoja wina – przekonywałem i siebie, i jego. Patrzyłem na swojego ojca, ale widziałem trzęsącą się, brozącą ranę. Jego ten koszmar w lesie także pokaleczył. Tak samo jak nas, może jeszcze bardziej. To, że mnie bił, to jaki był, kim się stał... to wszystko było jego ucieczką. Wszyscy uciekaliśmy, nawet matka, która pogrążyła się w chorobie, a potem umarła. Chcieliśmy uciec za wszelką cenę, jak ludzie wyskakujący z płonącego World Trade Center w nicość.

Nagle zrozumiałem, dlaczego ojciec tak się bał, kiedy na krótko przed zniknięciem Alicy poszliśmy zobaczyć, co dzieje się z Dreczekową, dlaczego wtedy tak zmarł – wiedział, o czym staruszka bełkocze, dotarło do niego, że to, o czym od kilkadziesiąt lat milczał, powróciło. Poczułem jak rozlewa się we mnie jakieś niewypowiedziane zrozumienie. Byłem pewien, że nie powiedział mi wszystkiego, że wie więcej.

– Czego mi nie powiedziałaś? Co jeszcze się stało? – mówiłem zdecydowanie, w moim głosie pobrzmiwał tylko chłód i upór.

Przez chwilę milczał, na próżno próbował nad sobą zapanować, otarł jednak łzy i odwrócił się w moją stronę.

– To nie zabrało Alicy przez przypadek – wyszeptał z wytrzeszczonymi oczami. – Zabrało ją, bo była moja. Pamiętało o tym, że kiedyś uciekłem!

Zakręciło mi się w głowie. Wszystko ułożyło się w całość. W osiemdziesiątym piątym to coś przyszło po Alicę, bo ojciec jakimś cudem wywinął się w sześćdziesiątym trzecim.

To polowało na nią, bo była jego córką, zwęszyło ją, bo nie zapomniało o nim.

W uszach zadźwięczały mi stare słowa szalonej Dreczekowej:

– Wysłali mnie po Jożka, miał przyjść sam. Zdenerwował ich pan.

To nie polowało tylko na Alicę, ale na mnie także! Chciało mnie dopaść, kiedy byłem sam w domu, ale wcześniejszy powrót rodziców wszystko

popsuł. Dlatego zabrało Alicę.

Albo ja, albo ona.

Albo oboje.

Od kiedy kilka dni temu wróciłem do domu, to coś wiedziało o mnie. Zabiera małe dzieci, ale też tych, którzy się wywinęli.

Dorosłych też? – przyszło mi do głowy.

– Dorosłych też zabiera? – wydusiłem.

Ojciec przerażony pokręcił głową:

– Najpierw dzieci, zawsze najpierw dzieci. Dopiero kiedy się umocni, dopiero wtedy...

Tego było za wiele, poczułem jakby w głowie coś mi się rozbiło, mój umysł rozpadł się na tysiąc kawałków.

Dzieci wierzą w bajki i potwory, więc są łatwym łupem, dorośli mają mocniejszy mur obronny.

Dopiero kiedy się umocni, kiedy nakarmi się dziećmi...

– Co znaczy zawsze?! – krzyknąłem. – Jakie zawsze?

Ojciec sapał, klatka piersiowa wyraźnie się poruszała, górna warga połyskiwała od potu.

Do pokoju weszła pielęgniarka.

– Co pan mu robi?! – krzyknęła.

Nie zwracałem na nią uwagi.

– Jak uciekłeś, co się stało? – nalegałem.

Ktoś złapał mnie za ramię i zaczął wyprowadzać z sali.

Ojciec wytarł twarz dłońmi i głośno jęknął.

Byłem już prawie na progu, ciągnęli mnie coraz silniej.

– Co jeszcze się stało?!

– Pralnia – wyrzucił. – Pralnia w piwnicy! Sprawdź pod skrzynkami. Narysowałem!

Pielęgniarki wywlekły mnie na korytarz, do pokoju wbiegła lekarka.

– Kostka, zwróć uwagę na kostkę, ból cię uratuje! – usłyszałem opętańczy krzyk ojca, po którym zatrzasnęły się drzwi.

III.

NA OSIEDLE DOTARŁEM PRAWIE BIEGIEM. Brodziłem przez śnieg, sapiąc jak obłąkany – to, co powiedział ojciec, tylko mnie dobiło. Otrzymałem zbyt wiele informacji, mój umysł chciał się rozpaść na części, jak najszybciej musiałem znaleźć się w domu. Ledwo zipałem, ale nie zwolniłem. Kiedy wreszcie udało mi się wdrapać na górę, zalewał mnie pot.

Musiałem sobie to wszystko w spokoju poukładać. Ale jeszcze ważniejsze było, żeby zejść do pralni i zajrzeć pod stos skrzynek. Nie wiadomo, co ojciec tam ukrył, co narysował. Od domu dzieliło mnie niecałe sto metrów, wystarczyło przejść zakręt i...

Przed budynkiem stało pogotowie. Tuż obok zaparkowały dwa radiowozy. Na dachu jednego z nich migał kogut. Okolicę oświeślały regularne błysnięcia złowieszczonego niebieskiego światła. W mroźnej mgle wyglądało to przerażająco.

Nogi zaczęły mi ciążyć, ale nie zatrzymałem się. Z każdym krokiem było dla mnie coraz bardziej oczywiste, że pogotowie i policjanci nie wróżą niczego dobrego.

Obok domu zauważyłem grupę ciekawskich. Nie było ich wielu, siarczasty mróz zniechęcał nawet hieny. Poza tym samochody z pewnością nie stały tu długo.

Kiedy podszedłem bliżej, usłyszałem krzyk Kliszowej. Brzmiał inaczej niż wczoraj – to był zwierzęcy ryk, nie starała się nic powiedzieć.

Boże, co się stało?

Byłem już blisko domu. Dwaj policjanci rozciągali żółtą taśmę wokół bocznego wejścia, w którym mieszkała rodzina Kliszów. Trzeci, zapewne śledczy, przesłuchiwał ojca dziewczynek.

– Poszedłem zanieść trochę jedzenia zwierzętom i... to leżało przed drzwiami – opowiadał Klisz, podczas gdy jego żonę prowadzono do karetki. Krzyczała i wyrywała się.

– Poszedłem zanieść trochę jedzenia zwierzętom i to już leżało przed drzwiami – powtórzył ojciec zaginionych dziewczynek. Głos w ogóle mu się nie trząśł, był zdecydowany i jasny, tyle że mężczyzna zaciął się i w kółko powtarzał jedno zdanie.

Śledczy ze zrozumieniem potakiwał, widział, że Klisz jest w jeszcze większym szoku niż jego oszalała z rozpaczy żona.

Ciągle nie wiedziałem, co się wydarzyło. To musiało być coś strasznego, ale gdyby znaleźli martwe ciała, stałby tu też wóz pogrzebowy. Ruszyłem do domu. W grupce gapiów zauważyłem kamerzystę.

Świetnie, są też media! Wprawdzie na razie tylko regionalne, ale kto wie, jak długo.

Przecisnąłem się przez zbiegowisko. Przygotowałem się na najgorsze (poćwiartowane dziewczynki), ale nie zobaczyłem niczego niezwykłego.

Dom, boczne wejście, żółta taśma, dwaj policjanci...

Obaj byli bardzo bladzi, poruszali się także z trudem, jakby ścierpli z zimna albo z przerażenia.

– Straszne – szeptali ludzie zgromadzeni za taśmą. – Co za potwór mógł zrobić coś takiego?

Ciągle nie rozumiałem, o czym mówią, a wypytywanie wydało mi się żenujące, więc jeszcze raz przebiegłem wzorkiem po miejscu zdarzenia.

Dom, boczne wejście do mieszkania, żółta taśma...

Chwila! – zatrzymałem się.

Przed drzwiami coś leżało. Coś białego, wtapiało się w kolor śniegu, dlatego tak łatwo to przegapiłem.

Wyostrzyłem wzrok, była to jakaś kupka, kopczyk...

Usłyszałem w głowie szum, śnieg zrobił się czarny, serce wystrzeliło mi do mózgu.

Nagle nie widziałem nic oprócz tego. Nie był to obcy widok, już raz widziałem coś podobnego, kiedyś dawno – w starej rozdzielni.

Ale dzisiejszy stosik był większy i staranniej ułożony.

Kopczyk z lśniących dziecięcych zębów. Było ich dużo, bardzo dużo, wszystkie ząbki dwóch małych dziewczynek.

IV.

CZY TO MOJA WINA? Wyrzuty sumienia dręczyły mnie jak rozwścieczone harpie. Krążyłem po kuchni, głośno przekonując sam siebie, że to nie ja spowodowałem to nieszczęście. Bez skutku – w głębi serca wiedziałem, że jest inaczej.

Zniknęły przez ciebie, to coś zrobiło im krzywdę przez ciebie! – brzęczało mi w głowie.

Przed oczami przebiegały mi obrazy młodszej z dziewczynek – tej, która często szczerzyła do mnie zęby, leżące teraz na kamiennym chodniku.

Wyszedłem na balkon – przed dom podjechał kolejny radiowóz. Wyglądało na to, że stróże porządku wreszcie wzięli się do roboty. Nie mogłem nawet normalnie wejść do mieszkania, musiałem obejść dom dookoła, żeby nie zanieczyścić sektora, w którym poszukiwali śladów. Byłem ciekaw, co znajdą. Obstawiałem, że nic.

Bardziej jednak zaniepokoiło mnie coś innego. Stojąc pomiędzy plotkującymi gapiami, usłyszałem szepty, że jedno z frontowych mieszkań stoi puste. Podobno emerytka, która w nim mieszka, każdej zimy wyjeżdża do rodziny. W drugim mieszkaniu dokonywała żywota osiemdziesięcioletnia Natalia Parekova. Rzadko wychodziła, nawet to ogólne poruszenie nie wyciągnęło jej teraz na zewnątrz.

Kliszów w szoku zabrała karetka. Po drugiej stronie mieszkali państwo Razovcy. Zauważyłem ich, rozglądając się z balkonu – właśnie wyjeżdżali. To, co zdarzyło się w naszym domu, przeraziło ich tak bardzo, że spakowali się szybko, by przeczekać wszystko u dzieci w mieście.

Spojrzałem na sąsiedni balkon – należał do pustego mieszkania po Dreczekach. Półmrok gęstniał, ledwo go widziałem. Był zaniedbany, odpadał z niego tynk, murek pokrywały mokre plamy. Stary sześciomieszkaniowy budynek, prosta matematyka – zostałem sam, jeśli nie liczyć Parekovej.

Właściwie to nie miało znaczenia, nawet gdyby dom był pełen ludzi, w niczym by mi to nie pomogło. W pustym budynku czułem się jednak słabszy i bardziej samotny.

Wszedłem do środka, ale regularnie wracałem do okna, żeby sprawdzić, czy policjanci już odjechali. Wytrzymali do dziewiątej wieczorem, później spakowali się i zniknęli.

Ogarnęła mnie samotność. Zadzwoiłem do Hany i Oty, żeby opowiedzieć im, co się stało. Hana zaczęła szlochać i rozłączyła się –

piramidka z zębów ją rozstroić. Ota przez większość rozmowy pośepnie milczał, niczego mądrego od niego nie usłyszałem. Kiedy się rozłączyliśmy, przez chwilę niespokojnie chodziłem po kuchni. (Moja przestrzeń zawężała się, duży pokój z kasetą wciąż stanowił tabu, o sypialni nawet nie wspominam.)

Pralnia! – przemknęło mi przed oczami. Zupełne o niej zapomniałem, lęk wywołany upiorną piramidką zresetował mi umysł.

Sprawdź pod szuflami – polecił mi ojciec. Wiedziałem, o co mu chodzi. Szybko się ubrałem i sięgnąłem po klucz. Przez chwilę czułem obawy, wahałem się. Czy naprawdę chcę otworzyć drzwi na zimną klatkę schodową? Jest ciemno, w budynku jestem prawie sam...

Narysowałem! – brzmiały mi w uszach słowa ojca.

Co narysował? Co mu się wtedy, w sześćdziesiątym trzecim, przydarzyło? Może w pralni znajdę coś, co mi pomoże; cokolwiek to jest, muszę to natychmiast zobaczyć!

Złapałem klamkę, nacisnąłem ją i otworzyłem drzwi. Wziąłem oddech zimnego powietrza, rozwarła się przede mną czarna szczelina. Przecisnąłem przez nią rękę, namacałem włącznik światła i przycisnąłem. Pod sufitem coś zabrzęczało i schody zalało żółte światło.

Tuż obok czyhały drzwi do mieszkania Dreczeków. Były białe i gładkie, jedynie w górnej części miały wizjer w kształcie rybiego oka. Przez chwilę zdawało mi się, że obserwują mnie niczym jednooki cyklop. Wstrzymałem oddech i przeszedłem obok nich. Były napięte jak struna, czekałem aż się rozpadną i coś wciągnie mnie do pustego mieszkania. Miałem nawet wrażenie, że podłoga za nimi skrzypnęła, jakby ktoś tam stał i obserwował mnie.

Zrobiłem kilka sztywnych kroków. Ciągle czekałem, kiedy za moimi plecami usłyszę dźwięk zawiasów. Zakradałem się powoli i po cichu,

choć to nie miało znaczenia. Jeden stopień, drugi, trzeci...

Nie stało się nic, trochę się uspokoiłem. Zszedłem na półpiętro, przebycie tej odległości dużo mnie kosztowało. Po chwili stałem przed drzwiami na dwór. Uspokajał mnie fakt, że są zamknięte i że od zewnątrz nie można ich otworzyć. Obróciłem się w prawo. Został mi ostatni odcinek – jakieś dwadzieścia stromych schodów do piwnicy i pralni. Znów spojrzałem na drzwi (ich masywność mnie uspokajała), zacisnąłem zęby i ruszyłem w dół. Już jako dziecko nie lubiłem schodzić do podziemia, śmierdziało tam stęchlizną, wszystko było zakurzone i zagracone. Sporo wysiłku kosztowało mnie powstrzymanie się przed ucieczką z powrotem do mieszkania. Zostało mi pięć schodów.

Jeszcze cztery, trzy, dwa...

Coś brzęknęło i żarówka zgasła, ogarnęła mnie czarna jak smoła ciemność.

Z przerażenia głośno krzyknąłem. Echo zatrute strachem przeraziło mnie jeszcze bardziej. W uszach mi dudniło, cały struchlałem, nie byłem w stanie zrobić żadnego ruchu.

Tylko spokojnie – szeptałem, dysząc. Z ciemności wyłoniły się zjawy. Zobaczyłem dwie małe siostry, trzymały się za ręce i szły w moją stronę.

Zamknąłem oczy, żeby odgonić ten omam. Kiedy rozwarłem powieki, sióstr nie było (pewnie chichotały po cichu za moimi plecami).

Co się stało?! Co się, na litość boską, stało?!

Kiedy szok minął, zrozumiałem – nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Światło na klatce schodowej zawsze włączało się na minutę. Wszystkie żarówki na półpiętrach świeciły przez sześćdziesiąt sekund, a później automatycznie gasły. W zdenerwowaniu zapomniałem o tym. Żeby zaświecić i zyskać kolejną minutę, musiałbym wrócić na parter.

Mogłem jednak zrobić kilka kroków w ciemności, namacać kontakt w pralni i włączyć światło na dłużej. Wybrałem to drugie. Gdybym wyszedł do drzwi wejściowych, do piwnicy nie zaciągnąłby mnie już nawet zaprzęg koni.

Ostrożnie zrobiłem mały krok i wyciągnąłem ręce przed siebie. Zgrzytałem zębami, starałem się o niczym nie myśleć, ale przed oczami mieniły mi się widma upiorów czyhających w nieprzeniknionej ciemności. Kto wie, na co natrafię, kto wie, co mnie tu czeka. Sapałem tak głośno, że samego mnie to przerażało. Dotarłem do drzwi pralni i znalazłem kontakt – starego typu z lat czterdziestych. Palce miałem jak z drewna, nie mogłem go obrócić, spocone opuszki ześlizgiwały się z plastiku. W końcu jednak przekręciłem go, wydając okrzyk triumfu.

Nic się nie wydarzyło, nie zalało mnie żadne światło.

– Cholera!

Żarówka z pewnością już dawno się spaliła i nie miał jej kto wymienić. Przez chwilę stałem bezradnie w ciemności. Strach zwyciężył, nogi miałem jak z ołowiu, nie byłem w stanie zrobić najmniejszego ruchu. W moją stronę znów kroczyły obie siostry, a na potylicę dyszała upiorna Alica. Serce waliło mi jak oszalałe, w narastającej panice przyszło mi do głowy, że chyba zemdleję, zabije mnie własna wyobraźnia. Skrzyżowałem ręce na piersiach, palce wbiłem sobie w ramiona, jakby należały do kogoś innego. W przedniej kieszeni koszuli poczułem coś twardego.

iPhone! Włożyłem go tam, kiedy skończyłem rozmowę z Otą. Coś przyszło mi do głowy, nerwowo zaśmiałem się z własnej głupoty. Szybko wyjąłem telefon i znalazłem aplikację *Flash Light*. Stuknąłem palcem w ekran, byłem spocony, dlatego ekran zareagował dopiero na kolejne stuknięcie.

Na przedniej stronie telefonu włączyła się dioda flesza – zyskałem podręczną latarkę.

– Idiota! – wyrzucałem sobie, mogłem na to wpaść wcześniej.

Smuga białego światła padła na wąskie przejście ze sznurami do suszenia bielizny. Przeszedłem pod nimi i znalazłem się w pralni. To było jak powrót do przeszłości – masywna kamienna wanna, popękane drewniane koryta do prania, wirówka i piec z kotłem grzewczym. Stały tu od czterdziestu lat, pralni nikt nie remontował. Oświetliłem tylną część pomieszczenia. Wisiał tam masywny, kilkumetrowy walec – zapewne pozostałość po starym systemie grzewczym. Pod walcem leżały skrzynki. Ten stos pamiętałem jeszcze z czasów dzieciństwa, prawie w ogóle się nie zmienił. Dziesiątki starych drewnianych i plastikowych skrzynek stały częściowo poukładane, a częściowo rzucone byle jak jedna na drugą. Zajmowały około jednej trzeciej pralni. Najpierw zdziwiłem się, dlaczego nikt ich nie wyrzucił, ale właściwie nie było w tym nic zaskakującego. O wspólną przestrzeń nie dbał nikt, co najwyżej raz na jakiś czas ktoś wysuszył tu pościel.

Podszedłem do skrzynek, położyłem świecący iPhone na drewnianym stole i zabrałem się do sprzątania. Praca zajęła mi dobry kwadrans, w białym świetle wirowały tumany kurzu, kaszlałem i łzałem. Im głębiej docierałem, tym drewno było bardziej zakurzone i spleśniałe. Zżerała mnie obawa, że rozładuje mi się bateria w komórce i wysepkę światła spowije ciemność. Co chwilę sprawdzałem telefon, wskaźnik na ekranie informował mnie, że oaza świetlna tak szybko nie zniknie, ale jakoś za bardzo mu nie ufałem.

Raz czy dwa prawie skaleczyłem się o zardzewiały gwóźdź wystający z drewna.

– Właśnie tak, zakaż się tężcem, tylko tego ci jeszcze brakuje! – mamrotałem pod nosem, żeby tylko zagłuszyć porażającą ciszę.

Przedostałem się pod walec, musiałem przykucnąć. Od ściany dzielił mnie już niecały metr.

– Zimowe porządki – mamrotałem, dusząc się od kaszlu.

Za wirującymi drobinkami kurzu coś błysnęło. Wziąłem telefon i poświeciłem nim.

Podłużna puszka po kawie. Musiała leżeć tam już długo, zaczęła zżerać ją rdza.

Wziąłem przedmiot do rąk i potrząsnąłem – coś zabrzęczało.

Wróciłem ze zdobyczą do stołu, usiadłem na skrzynce i otworzyłem wieczko. Usłyszałem ciche syknięcie, puszka nie była otwierana przez dziesiątki lat.

Znalazłem to, czego szukam?

Niecierpliwie zajrzałem do tuby. Były w niej zwinięte pożółkłe papiery zapakowane w celofan.

Wyjąłem je, rozpakowałem i rozłożyłem na stole. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby wrócić do mieszkania i tam się im przyjrzeć. Z zaciekawienia przestałem nawet oddychać.

Papier szeleścił mi pod palcami, był delikatny, wystarczyłoby mocniej go dotknąć, a rozsypałby się.

Zbliżyłem telefon, światło padło na rysunek wykonany węglem. Był to jakiś szkic, grube kreski zdradzały niewprawną rękę rysownika. Jednak wyczucie proporcji u ojca zadziwiło mnie. Pracował jako operator maszyn w zakładach włókienniczych, kilka razy wspominał, że korzysta z rysunków technicznych. Nigdy mnie to nie interesowało. W czasie, kiedy te szkice powstały, ojciec akurat zdał maturę i zaczął pracę. Miał dobre oko i lekką rękę.

Już pierwsze spojrzenie na szkic pozwoliło mi rozpoznać miejsce, które przedstawiał – schody, po których właśnie zszedłem. Scena była narysowana z wysokiej bocznej perspektywy, jakby widz znajdował się w kącie wysoko pod sufitem.

Ojciec schodził po schodach, rozpoznałem go po sylwetce, którą naszkicował zaskakująco wiernie. Pod pachą niósł kosz z bielizną.

Mieszkał jeszcze u rodziców, wysłali go do pralni, żeby rozwiesił pranie. Zaniepokoiło mnie, że rysunki ojca mają związek z ciemnym pomieszczeniem, w którym właśnie się znajdowałem. Dlaczego ukrył puszkę właśnie tam? Najwyraźniej nie chciał, żeby była w mieszkaniu ani w piwnicy, gdzie mogliby znaleźć ją rodzice.

Nie chciał, żeby zobaczyli zawartość, bał się mieć ją w pobliżu, ale jednocześnie nie chciał się jej pozbyć.

Pozostawała więc pralnia.

Przesunąłem światło, żeby widzieć cały wykres. Ojciec z koszem schodził po schodach, zbliżał się do drzwi wejściowych. Były otwarte na oścież, za nimi widniało zaśniewane podnóże Czebrata.

W porządku – układałem myśli w głowie. Poszedł powiesić pranie, zobaczył otwarte drzwi. Na razie nic nadzwyczajnego.

Odłożyłem rysunek i zacząłem oglądać kolejny. Tym razem ojciec schodził do pralni, główne drzwi były już zamknięte.

Oczywiście, zamknął je i poszedł wieszać pranie. Wciąż nic podejrzanego, podsumowałem i przeglądałem dalej.

Na trzecim szkicu ojciec wracał z pralni, szedł po schodach, w ręce trzymał pusty kosz. Czyli rozwiesił pranie i wracał do mieszkania.

Drzwi znów były otwarte na oścież.

Podkreślił to grubymi kreskami, żeby krzyczały, biły po oczach.

Mrugnąłem zaskoczony, ale szybko mnie oświeciło. Schodząc na dół, zastał główne drzwi otwarte i zamknął je. Rozwiesił pranie, na pewno nie zajęło mu to dużo czasu, a w drodze powrotnej znów natknął się na drzwi rozwarte na oścież. Ktoś przez tę chwilę ponownie je otworzył. Z pewnością po cichu, bo węglowy ojciec na pożółkłym papierze wyglądał na zaskoczonego. Przecież niczego nie słyszał. Z zewnątrz nie dało się otworzyć drzwi bez klucza. Tylko od środka. Gdyby ktoś szedł po terakotowych schodach, ojciec niewątpliwie usłyszałby to, na korytarzu dudnił każdy krok. Co więcej – drzwi na klatkę zawsze były zamknięte, w naszym domu panował taki zwyczaj, odkąd pamiętam.

Przewróciłem kartkę, zakaszałem i rozgoniłem drażniący kurz unoszący się w promieniach latarki telefonu.

Ojciec podszedł do otwartych drzwi, wyszedł na zewnątrz i schylił się po coś. Za progiem leżał jakiś przedmiot. Zmroziło mnie. Ze szkicu narysowanego grubą kreską prawie pięćdziesiąt lat temu poczułem złośliwą grę, którą dobrze znałem. Z ojcem to także się zabawiało – po cichu otworzyło zamknięte drzwi, położyło coś za progiem...

Wziąłem do rąk kolejną kartkę, nie zostało ich już wiele.

Aż zatrząsnąłem się i jęknąłem. Pragnąłem odwrócić wzrok, ale ta scena mnie zahipnotyzowała. Szkic był o wiele bardziej surowy niż poprzednie rysunki, kreski roztrzęsione i niepewne. Zmieniła się perspektywa. Teraz patrzyłem ojcu przez ramię. Podniósł przedmiot i spojrzał przed siebie na nagie, zaśnieżone podnóże.

Czyhała tam postać.

Od drzwi ciągnął się do niej łańcuch śladów. Podczas gdy ojciec wieszał pranie, wyszła z lasu, doszła do budynku, jakimś cudem otworzyła drzwi na klatkę i zostawiła mu wiadomość.

Ale nie to było najgorsze.

Poświeciłem na postać przy lesie. Grube kreski, kilka niewyraźnych pociągnięć węglem... Kiedy ojciec rysował ją nieprzytomny ze strachu, wspomnienie tego wydarzenia sprawiało, że cały dygotał.

Dwie wielkie dziury zamiast oczu.

Była to taka sama postać jak ta, którą przypadkowo ujął na swoim filmie.

Czy polowała na niego już wtedy, gdy chodził z kamerą po lesie? Uratowało go to, że pobiegł za pozostałymi mężczyznami?

Jakby to coś z mroźnej polany znalazło mojego ojca i wysłało za nim jednego ze swoich potwornych myśliwych, jedno z papierowych dzieci.

Kolejnego szkicu nie rozumiałem. Postać znajdowała się w tym samym miejscu, ale była znacznie większa. Ojciec trzymał w zamkniętej pięści przedmiot pozostawiony przy drzwiach. Dziwne, że w ogóle go dotknął. Lecz najbardziej niezrozumiałe było to, że ruszył w stronę wzgórza, wprost do tego czegoś. Zwariował? Dlaczego nie wziął nóg za pas?

Na obrazku miał dziwnie pochyloną głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. Czyżby dziecko bez oczu rzuciło na niego urok? Może w taki sposób porywają też swoje dziecięce ofiary? Mamią je czymś, kuszą, żeby same do nich przyszły.

Wydawało mi się to bez sensu, miałem nadzieję, że ostatni rysunek wszystko wyjaśni. Zniecierpliwiony odwróciłem kartkę i poświeciłem na nią.

Scena poraziła mnie jeszcze bardziej.

Ojciec najwyraźniej poślizgnął się na oblodzonych schodach prowadzących w stronę góry. Przewrócił się i zranił – stopa, którą narysował, była nienaturalnie wykrzywiona.

Kostka, spójrz na kostkę, ból cię uratuje!

Upiorna postać zniknęła, nagle nigdzie jej nie było, ojciec patrzył na puste zbocze i ścianę drzew. Podczas upadku przedmiot wypadł mu z ręki, leżał na śniegu, obok niego. Była to jakaś spirala.

Co chciał przez to powiedzieć? Co odkrywa ta historia?

Spojrzałem na ekran, bateria była już prawie rozładowana. Szybko złapałem rysunki i puszkę, coś w niej zadźwięczało.

Uniosłem brwi i przewróciłem ją do góry dnem. Wypadł z niej jakiś przedmiot i błysnął w świetle z telefonu.

Na zakurzonym stole leżała dziwna metalowa spinka. Kojarzyła mi się z kobiecą ozdobą do upięcia chusty lub szala. Musiała być jednak stara, bardzo stara, przypomniało mi się, że podobne widziałem w filmach historycznych o starożytnym Rzymie czy Grecji. Z jednej strony kończyła się spiralą.

Nagle zrozumiałem. To jest prezent, który zmora zostawiła ojcu przed drzwiami!

Przerażony zrobiłem krok do tyłu i przewróciłem skrzynkę. Hałas przestraszył mnie jeszcze bardziej. Rysunki, spinkę i puszkę zostawiłem na stole i wybiegłem z pralni. Chciałem iść spokojnie, powtarzałem sobie, że panika mi nie pomoże, ale na próżno. Oświetlając sobie drogę ucieczki, przemknąłem przez korytarzyk ze sznurami na bieliznę i wybiegłem po schodach.

Kiedy wydostałem się z piwnicy, stanąłem jak wryty, mięśnie napięły się, prawie zgmiotłem telefon w dłoni. Nie mogłem oddychać, dusiłem się, ale to było nieistotne.

Patrzyłem na drzwi otwarte na oścież.

Z zewnątrz wiało mroźne powietrze, kryształki śniegu za domem mieniły się w świetle iPhone'a. Zauważyłem drobne ślady ginące w ciemności. Ciągnęły się od drzwi wejściowych aż do lasu.

Coś je otworzyło, kiedy siedziałem w pralni. Bawi się mną, ciągle się mną bawi!

Zaraz przyszło mi do głowy kolejne pytanie. Co zobaczę, kiedy wyjrzę na zewnątrz i poświecę na podnóże góry? Czy czai się tam dziecięca postać?

Kiedy nakarmi się dziećmi, odważy się sięgnąć po dorosłych...

Nadszedł ten czas? Nakarmiło się małym Jankiem i dwoma siostrami, a teraz weźmie się za mnie?

Zęby zaczęły mi szczekać, poczułem ból we wnętrznościach. Prostokąt mroźnej ciemności kusił mnie jak czarna dziura. Ruszyłem przed siebie, to było czyste szaleństwo, ale nie byłem w stanie się powstrzymać.

Czy przed górą czeka zjawia czy nie?

Niezdarnie stawiałem krok za krokiem, zbliżając się do drzwi. Podniosłem rękę, palce dotknęły zimnego metalu.

Jeszcze tylko jeden krok i przekonam się na własne oczy. Może też wystarczy, że wyściubię koniuszek nosa – i będzie po mnie.

Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę fragment dziecięcej piosenki, ale mogło to być zawodzenie wiatru.

Co zobaczę, kiedy wyjrzę na zewnątrz?

Głowa już była prawie wystawiona, brakowało paru centymetrów.

Odkoczyłem od drzwi i z krzykiem je zatrzasałem. Huknęły, przez klatkę schodową przebiegło echo.

Nawet nie wiem, kiedy znalazłem się w mieszkaniu. Nagle siedziałem na podłodze w przedpokoju, opierałem się o ścianę i obejmując kolana ramionami, obserwowałem drzwi. Nie poruszyłem się co najmniej przez godzinę, w napięciu oczekując, czy się otworzą i czy zostanę przez to coś wyssany jak ostryga z muszelki. Nic jednak się nie wydarzyło, aż do rana nie usłyszałem żadnego dźwięku.

-30 °C

I.

DO WSCHODU SŁOŃCA NIE ZMRUŻYŁEM OKA. Natłok nowych informacji rozsadzał mi mózg. Niepokojnie chodziłem po kuchni, kręciło mi się w głowie, nie wiedziałem, czym się zająć. Nocne przerażenie nie mijało, ale rysunki zdenerwowały mnie tak bardzo, że tym razem opierałem się strachowi.

O ósmej zadzwoniłem do Oty.

– Musimy się u ciebie spotkać, wszyscy – oznajmiłem mu.

– Że co? – nie rozumiał. – Kto wszyscy i dlaczego u mnie?

– Neutralny teren. Ja, ty, Hana i Bohusz, muszę wam coś pokazać.

– Mówisz poważnie? – zapytał z obawą. Myślał, że zwariowałem.

– Nie oszalałem – zapewniłem go. – Znalazłem coś bardzo ważnego!

– Skoro tak twierdzisz. Jak chcesz, to przyjdź.

– Zadzwonię do Hany, ty załatw to z Bohuszem – nalegałem.

– Mogę spróbować, ale niczego nie obiecuję – wymamrotał Ota. – W nocy szukali małych Kliszówien, nie wiedziałeś o tym? Policja z ochotnikami przeszukiwała las, aż w końcu przegnał ich mróz.

– Co z tego?

– Bohusz całą noc był na nogach, jest opętany znalezieniem tych dziewczynek.

– I tak do niego zadzwoń.

– Dobra, mam nadzieję, że ci nie odwaliło? – upewniał się.

– Spotkajmy się jak najszybciej. Na przykład o dziewiątej u ciebie.

– Ok – powiedział i odłożył słuchawkę.

Adrenalina szalała mi w żyłach, przytłaczał mnie brak snu i nocne przeżycia.

Byłem zdezorientowany, zmęczony i wstrząśnięty. Poszedłem do łazienki i opłukałem twarz zimną wodą. Złapałem się na tym, że unikam lustra.

Wróciłem do kuchni i zadzwoniłem do Hany. Zostałem ją w biurze, ale po chwili nalegań przekonałem ją, żeby o dziewiątej była u Oty.

– To bardzo ważne, sprawa życia i śmierci! – krzychałem. Miałem rację, wkrótce okazało się, że to naprawdę była sprawa życia i śmierci.

II.

SZEDŁEM DO BUNGALOWU NA KOŃCU ULICY, ale myślami byłem wciąż w pralni. Musiałem bardzo ze sobą walczyć, żeby dziś znów tam zajrzeć. Cały roztrzęsiony zszedłem po schodach, przeszedłem przez korytarzyk i zajrzałem do środka. Nic się nie zmieniło, rysunki, spinka i puszka leżały tam, gdzie porzuciłem je w nocy.

Opuszkami palców podniosłem kartki, zwinąłem je i wepchnąłem do puszki. Matowej metalowej spinki nawet nie dotknąłem. Na pomoc przyszedł mi kawałek deski odłamany od skrzynki. Wepchnąłem nim ozdobę do puszki i zatrzasnąłem wieczko. Zardzewiały skarb wrzuciłem do siatki, żeby nie musieć trzymać go w ręce.

Zbliżając się do domu Oty, czułem się jak zamachowiec z bombą. Reklamówka szeleściła, a pod nogami chrzęścił mi śnieg – jakby odliczając czas, który nam pozostał.

Ota, Hana, Bohusz... Dlaczego im to robię, dlaczego wciągam ich w to bagno?

W tej chwili było mi to obojętne, musiałem podzielić się nowym odkryciem, żeby nie zwariować. Było w tym coś samolubnego, chciałem naładować się ich energią, po wydarzeniach z ostatnich dni byłem w totalnej rozsypce. Wierzyłem, że kiedy będziemy razem, nawzajem się wesprzemy. Cokolwiek się między nami nie wydarzyło, łączy nas więź. Nie tylko mroźna polana, zielona mgła i huk metalowych walców. Łączyło nas coś silniejszego – wspólne dzieciństwo. Dzieliliśmy wspólny świat, do którego nikt inny nie miał dostępu. Pomimo iż już dawno go opuściliśmy, łączył nas do dziś.

Obszedłem dom i zapukałem do drzwi. Chwilę trwało, zanim Ota dokuśtykał, ale w końcu otworzył.

– Hanka już przyszła – machnął w stronę pokoju. Spojrzeniem zasygnalizował, że jest z nią źle.

Wcale mnie to nie dziwiło. Hana już przed przyjazdem w tę okolicę miała nerwy zszargane przez nieudane małżeństwo. Przywiozła tu ze sobą nawet córkę, była to cicha ucieczka w bezpieczne miejsce, do mamy i znajomych kątów. Kiedy zaczęły znikać dzieci, przeżywała to podwójnie. Stano zapędził ją w kozi róg, a Hana szybko zrozumiała, że właśnie róg, z którego nie miała gdzie uciec, jest tym najniebezpieczniejszym miejscem.

Odwróciłem się do Oty:

– Chłopaki w szkole?

– Żona też.

Wszedłem do pokoju. Hana siedziała skulona w fotelu z kolanami pod brodą. Kiedy wszedłem, nawet na mnie nie spojrzała.

– Cześć – przywitałem ją.

Skinęła głową, nic nie powiedziała. Wciąż była wstrząśnięta kupką wyrwanych zębów. Natomiast mój wczorajszy strach – po nocnych

przeżyciach – był już nieaktualny. Śmiertelne przerażenie można przeżywać z powodu tylko jednej rzeczy, nie kilku naraz.

– Mam nadzieję, że to coś naprawę ważnego – powiedział Ota. – Wyciągnąłem Bohusza z łóżka, chciał się zdrzemnąć przed kolejnymi poszukiwaniami.

– Rozumiem – wymamrotałem.

Przez chwilę staliśmy zakłopotani, biegając wzrokiem po pokoju i unikając wzajemnych spojrzeń. Nie chciałem zaczynać, dopóki nie będziemy w komplecie.

Ktoś zaczął walić pięścią do drzwi. Żadne tam kulturalne pukanie – porządne, wściekłe dobijanie się.

Ota wstał, żeby otworzyć, po chwili zaskrzypiały zawiasy. – Czego chce ten debil? – dobiegło z przedpokoju.

– Cześć, Bohusz – przywitałem go. Ledwo wszedł do pokoju, głos uwiązł mi w gardle. Wyglądał strasznie. Wymęczona twarz, pod czerwonymi oczami rozchodziły się ciemne podkówki. Co jakiś czas miał tik żuchwy, jakby kruszył w ustach wielki orzech. Zniknięcie dziewczynek nadwerężyło nie tylko psychikę Hany – Bohusza również. Ostatkiem sił starał się utrzymać swój świat w starym porządku, robił, co mógł – większą część nocy spędził na daremnych poszukiwaniach na ekstremalnym mrozie, na pewno szprycował się końskimi dawkami jakiegoś świństwa. Siebie mógł jeszcze okłamywać, ale na nas to nie działało. Widzieliśmy to wszyscy – podczas gdy nam zaczynały puszczać nerwy, on nad swoimi już dawno nie panował.

Hana podniosła głowę i przywitała się. Poczułem przelewającą się przeze mnie falę zazdrości.

– Co tam? – spytał znów i spojrzał na mnie. – Jeśli to jakaś pierdoła, to nie chcę być w twojej skórze!

- Chodźmy do garażu – zaproponowałem.
- Totalny debil – syknął Bohusz.
- Nie chcę uświnić mieszkania – wyjaśniłem gospodarzowi i uniosłem siatkę z puszką.

Ota skinął głową i w milczeniu otworzył skrzypiące drzwi. Zeszliśmy po schodach. Czekałem, aż Bohusz rzuci jakąś uwagę na temat starego volkswagena, ale tym razem nic nie komentował. (Dopiero później dowiedziałem się, że potajemnie pomagał koledze finansowo przetrwać ciężkie czasy.)

Rozejrzałem się wokół i znalazłem odpowiednie miejsce. Otworzyłem puszkę i wysypałem zawartość na betonową podłogę.

- Narysował to mój ojciec w sześćdziesiątym trzecim – wyjaśniłem.

Pokazałem im wszystkie rysunki, wstrząśnięci wsłuchiwali się w mój wywód.

– Zniknięcia naprawdę się powtarzają? – wymamrotała Hana. Odkrycie wyrwało ją z apatii. Bohusz był coraz bardziej niespokojny.

– Debilizm, raz na dwadzieścia-trzydzieści lat znika dziecko, to się zdarza – przekonywał nas, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Sam w to nie wierzył, fakty go przytłaczały, chociaż nie przyjmował ich do wiadomości. Przechadzał się tam i z powrotem, przeklinał, w złości kopnął nawet skrzynkę z narzędziami.

– To coś położyło tę spinę ojcu na progu – wskazałem na spiralę. – Tak samo jak mój kompas, paznokcie w rozdzielni i zęby przed domem.

- Podobny schemat? – zapytała Hana.

– Coś w tym rodzaju. To coś lubi się bawić, podrzuca trofea i przedmioty.

- Tylko po co? – przerwał mi Ota.

– Złośliwa gierka.

– Musi być w tym coś jeszcze – dodała Hana.

– Po co to tu przyniosłeś? – warknął Ota.

Uciekłem wzrokiem.

– Musiałem wam to pokazać i... Masz tu Internet, monitor, pomyślałem, że moglibyśmy trochę poszperać, może znajdziemy coś podobnego – unikałem jego spojrzenia pełnego wyrzutów.

– Podobnego?

Wskazałem na spinkę.

– Jakieś zdjęcia. Gdyby udało się nam dowiedzieć, co to właściwie jest...

– To mogłoby pomóc – wsparła mnie Hana.

– Wam już totalnie odjechało – wniósł do rozmowy swoją opinię Bohusz.

– W okolicy giną dzieci, porywa je jakiś zboczeniec, torturuje, a was interesuje Internet i jakieś debilizmy!

– Chcesz biegać po lesie? – syknąłem. – To właśnie jest debilizm! Najpierw musimy sprawdzić, co tu się tak naprawdę dzieje.

Podszedł do mnie.

– Zboczeniec, a co innego? – parsknął mi w twarz.

Pokręciłem głową i gorzko się zaśmiałem.

– Co cię tak śmieszy? – popchnął mnie. – Ze mnie się śmiesz?!

– Dlaczego w sześćdziesiątym trzecim? – przerwał nam Ota.

– Jakie *dlaczego*? Jeszcze go w tym utwierdzaj – wyszczeżał Bohusz.

Pan domu nie zwracał na niego uwagi.

– Czy w tych powtórzeniach jest jakiś system? Rytm albo regularność?

– Nic z tych rzeczy – pokręciłem głową. Spojrzałem na Hanę. – Ty coś wspomniałaś o sześćdziesiątym trzecim.

– Ja?

– Kiedy byłaś u mnie, zanim włączyliśmy kasetę ojca.

– A! – przypomniała sobie. – O tym roku mówili w wiadomościach.

Podobno wtedy były tęgie mrozy, tak jak teraz.

– Kiedy jeszcze? – zapytał Ota.

– Co kiedy jeszcze? – nie rozumiałem.

– Kiedy były takie niskie temperatury, w jakich latach? – wyjaśnił.

– Nie mam pojęcia – rozłożyłem ręce.

– Nie rozumiesz? – wyrzuciła z siebie Hana. – Może to wszystko jest jakoś powiązane.

Bohusz machnął na nas ręką:

– Totalnie wam odjebało.

Nagle zaświtało mi:

– A jeśli to wszystko ma związek z mrozem? Z ekstremalnymi mrozami – wyrzuciłem z siebie.

– Może to coś przychodzi tylko w wyjątkowo ciężkie zimy albo wtedy się budzi, coś w tym stylu – Hana myślała na głos.

– Internet – powiedział Ota i spojrzał na mnie. – Chciałeś szukać w Internecie, popatrzmy.

Odwrócił się i zdenerwowany ruszył na górę. Nie czekając na nic, pośpieszyliśmy za nim, nawet Bohusz.

Komputer z ciężkim, kwadratowym monitorem królował w kącie kuchni. Przysunęliśmy krzesła i niecierpliwie zasiedliśmy dookoła.

– Co mam wpisać do wyszukiwarki? – zapytał Ota.

– Napisz *ekstremalne mrozy* – szepnęła Hana i owinęła sobie wokół palca kosmyk włosów.

Google zalało nas lawiną informacji.

Ekstremalne mrozy w Europie zabijają.

Ekstremalne mrozy wciąż zabijają: W Europie zamarzło 540 osób.

Ekstremalne mrozy zaatakowały Słowację

Kliknęliśmy na kilka linków. Większość wiadomości dotyczyła lutego bieżącego roku. Powtarzały się w nich te same informacje: rekordowe temperatury poniżej minus trzydziestu stopni, mroźny front arktyczny, setki zamarzniętych ludzi na całym kontynencie.

– Spróbuj wpisać *ekstremalna zima* – zaproponowałem.

Na starym monitorze pojawiło się mnóstwo nowych linków.

– Tu! – wskazałem na artykuł z podtytułem *Ekstremalna zima pobiła rekord sprzed dwudziestu siedmiu lat!*

Ota kliknął, zaczęliśmy czytać. Nie było w nim niczego nowego, ale ostatni akapit przykuł nas do monitora.

Tegoroczne lutowe mrozy pobiły nawet dotychczasowy rekord z 1985 roku, kiedy to po raz ostatni temperatura na Słowacji spadła na dłuższy okres poniżej trzydziestu stopni Celsjusza.

– Boże! – wyrzuciłem z siebie.

Zima 1985, Oto wpisał do wyszukiwarki i nacisnął *enter*.

Podczas ekstremalnej zimy w 1985 roku mieszkańcy niektórych miejscowości doświadczyli nieprzerwanie od siedmiu do dziesięciu dni arktycznych, podczas których temperatura w ciągu doby wynosiła co najmniej minus dziesięć stopni Celsjusza – poinformował nas już pierwszy artykuł.

Kiedy jednak przebiegłem wzrokiem po kolejnych liniijkach, zrobiło mi się ciemno przed oczami. Usłyszałem jak Hana przestaje oddychać. Zamrugałem i spojrzałem ponownie, żeby upewnić się, czy dobrze widzę. To naprawdę tam było, czarno na białym:

Według obliczeń meteorologów najmroźniejszą zimą w drugiej połowie XX wieku była jednak zima z przełomu 1962 i 1963 roku. Na Słowacji wystąpiła wówczas największa ilość dni arktycznych i długookresowy spadek temperatury poniżej trzydziestu stopni Celsjusza.

– Mamy to! – roztrząsał mi się głos.

– To przychodzi wtedy, gdy temperatura na dłuższy czas spada poniżej minus trzydziestu stopni – podsumował Ota.

– Bzdury – warknął Bohusz.

– Kiedy jeszcze? – wyszeptała Hana. – Znajdź, kiedy jeszcze były takie ciężkie zimy.

Ota zabrał się do pisania.

– Kompletne bzdury – powtórzył Bohusz.

– Przestań! – krzyknąłem na niego. Miałem go powyżej uszu, ryknąłem głośniejsze niż chciałem.

Na sekundę naprawdę zamilkłem, zbladłem, oczy zwęziły mi się ostrzegawczo. Wyglądał, jakby lada chwila miał wybuchnąć.

– Najbardziej ekstremalna zima zeszłego stulecia była na przełomie 1928 i 1929 roku – oznajmił Ota.

Usłyszałem to, ale nagle rozmazał mi się obraz, a kuchnia zamieniła się w jednolitą smugę.

Hana krzyknęła, dopiero wtedy dotarło do mnie, że Bohusz przywalił mi pięścią.

Po chwili znów złapałem ostrość, leżałem na podłodze.

Serce mi waliło, połowa twarzy puchła, a w ustach czułem krew.

Ota i Hana pochyłali się nade mną. Gdzieś w oddali trzasnęły drzwi – Bohusz nas zostawił.

Znów uciekłem, tak jak kiedyś – przyszło mi do głowy.

Nie było to najmilsze pożegnanie na świecie, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że razem, w czwórkę, widzieliśmy się po raz ostatni.

III.

OTA I HANA POMOGLI MI WSTAĆ. Posadzili mnie za stołem, Hana obejrzała moją kość policzkową, a Ota zabrał się za parzenie kawy.

– Na uspokojenie – powtarzał co chwilę.

Wybuchu Bohusza nie komentowaliśmy, bo i nie było czego. Wszyscy wiedzieliśmy, o co chodziło – nie był w stanie zaprzeczać faktom, przegrywał walkę o siebie, dlatego był wściekły i się wyżywał.

Kiedy Hana przyłożyła mi do policzka opuszki palców, gwałtownie odsunąłem głowę.

– Bardzo boli? – zapytała.

Miałem dziką ochotę odwarknąć:

– Nie, najdroższa, kiedy stukilowe bydlę naćpane kokainą albo metamfetaminą da ci w pysk, to zupełnie nie boli. – Ale powstrzymałem się.

Ota podał jej mokrą ściereczkę, którą delikatnie przyłożyła do mojego przechodzącego w fiolet krwiaka.

– Wszystko okej – zapewniłem ich. – Zajmijmy się ważniejszymi sprawami.

Nie udawałem, odkrycie, którego dokonaliśmy tuż przed incydem, nie dawało mi spokoju.

– To właściwie dobra wiadomość – stwierdziła Hana.

Nie rozumiałem, ciągle kręciło mi się trochę w głowie.

– Jaka dobra wiadomość? – uniosłem brwi i syknąłem z ostrego bólu promieniującego z otartego policzka.

– Ta zima i mrozy. Kiedy są najsilniejsze, wówczas to coś też jest najsilniejsze. Dlatego najbardziej aktywne jest wieczorem i w nocy.

Ota położył przed nami filiżanki z kawą i przysiadł się.

– Dlaczego to miałyby być dobra wiadomość?

Hana wzruszyła ramionami:

– Kiedy się ociepli, to coś zniknie.

– Tak sądzisz?

– Może nie natychmiast, ale wyższe temperatury to uśpią, zamkną drogę dostępu, coś w tym rodzaju – powiedziała i napiła się gorącego napoju.

– Jest w tym jakaś logika – przytaknął Ota. – W osiemdziesiątym piątym zniknęło i nie pokazało się przez prawie trzydzieści lat.

– Wystarczy przeczekać, aż się ociepli – dodała.

Nie chciałem siać defetyzmu, ale musiałem.

– Jest szesnastego lutego. W ciągu kilku dni zniknęło troje dzieci i wydarzyło się sporo dziwnych rzeczy – z każdym słowem mój głos się podnosił. Połowa twarzy prawie odpadła mi z bólu, do oczu napłynęły łzy.

Hana spojrzała na mnie rozdrażniona:

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Czekanie to za mało. Mróz może utrzymywać się jeszcze przez miesiąc. Do tego czasu...

– Co innego możemy zrobić? – włączył się Ota.

– Pewnie nic – opuściłem ramiona i zaciągnąłem się przyjemnym zapachem z filiżanki. Ale picie przekraczało moje obecne możliwości.

Hana wzięła długi łyk, po czym spojrzała na Otę:

– Najcięższa zima zeszłego stulecia była w 1929 roku?

– Tak tam było napisane – wskazał na monitor, na którym zdążył pojawić się wygaszacz ekranu.

– Jeśli wtedy były najbardziej ekstremalne mrozy...

– Może objawiło się to w najbardziej ekstremalny sposób – dokończyłem za nią i wziąłem filiżankę w dłonie.

– Dokładnie tak – powiedziała na wydechu. – Może wtedy wydarzyło się coś wielkiego, ktoś to coś zauważył, zainteresował się tym...

– W radiu mówili, że teraz mrozy pobijają chyba nawet rekordy zimy stulecia. Kto wie, co nas czeka – dorzucił Ota i umilkł.

– Musimy sprawdzić, czy wtedy naprawdę coś się stało – ciągnęła Hana.

– Dokładnie – przytaknąłem. – Może natrafimy na coś sensownego. Czekanie, aż się ociepli, naprawdę nie wystarczy.

– Tylko jak sprawdzić, co wydarzyło się tu w zimie 1929 roku?

– Nie mam pojęcia – pochyliłem się w jej stronę. – Przejrzeć stare gazety, archiwa?

– Na to nie mamy ani czasu, ani możliwości.

Miała rację, ale nic bardziej sensownego nie przychodziło mi do głowy.

– To może w muzeum? – zaproponował Ota.

Spojrzelśmy na niego z zaskoczeniem.

– Muzeum?

– Jasne, co się gapicie? W mieście jest Muzeum Liptowskie, wpadam tam czasem z dziećmi. Pracują tam historycy, mają archiwum i bibliotekę.

– Skąd wiesz? – wyrzuciłem z siebie. Zaskoczyło mnie, że w ogóle wie o czymś takim, zdecydowanie nie był typem intelektualisty.

– Co się czepiasz? – obruszył się. – Szukałem toalety i widziałem tabliczki na drzwiach – dodał po chwili.

Roześmialiśmy się głośno, musieliśmy rozładować napięcie.

To nie jest najgłupszy pomysł – pomyślałem. W muzeum mogą mieć jakieś stare zapiski albo archiwum prasowe.

– Chodźmy tam – zaproponowałem.

– Jestem za – dorzuciła Hana.

– Chciałbym, moi drodzy, ale o wpół do dwunastej muszę odebrać synów – powiedział Ota i wzruszył ramionami.

– To nic, poradzimy sobie we dwójkę, damy ci znać.

Dopiliśmy kawę i zebraliśmy się do wyjścia. Do miasta dobrnęliśmy w trójkę, za Wagiem się rozdzieliliśmy.

– Trzymajcie się – krzyknął za nami Ota i pomachał nam na pożegnanie.

IV.

SZARY BUDYNEK MUZEUM LIPTOWSKIEGO z każdym naszym krokiem stawał się coraz większy. Musiał mieć swoje lata, podejrzewałem, że wzniesiono go na początku XX wieku. Składał się z dwóch lustrzanych skrzydeł, do wejścia prowadziły masywne schody. Na pierwszym piętrze był balkon, z którego pod dach wznosiło się sześć pseudoantycznych filarów.

Muzeum przypominało olbrzymią żabę siedzącą pośrodku miasta. Stało obok Parku Hyrosza, który teraz był opustoszały – tylko drobinki śniegu unosiły się w nim delikatnie nad ziemią.

Na recepcji wydukaliśmy, o co nam chodzi. (*Jakieś zapisy, archiwum na temat zimy z 1929 roku.*)

Portierka podejrzliwie taksowała nas wzrokiem, z pewnością zastanawiała się, czy nie robimy sobie z niej żartów. Mój spuchnięty, zdarty policzek nie wzbudzał zaufania.

– Zawołam historyka – powiedziała w końcu.

Usiedliśmy przy niskim, szklanym stoliku. Za wiele do oglądania tu nie było. Na ścianie wisiał antyczny zegar, ale od dawna nie odmierzał już czasu.

Usłyszeliśmy kroki na korytarzu, do pomieszczenia wszedł chłopak w białym fartuchu. Spodziewałem się rozsądnego, podstarzałego pracownika naukowego z brodą i grubymi okularami. Zamiast tego ujrzałem wychudzonego młodzieńca z twarzą usianą bliznami po trądziku. Przynajmniej miał okulary.

– W czym mogę pomóc? – zapytał, patrząc gdzieś w podłogę.

Stresuje go obecność Hany – pomyślałem i prawie przewróciłem oczami. Nadzieja, że dowiemy się tu czegoś istotnego, spadła do minimum.

– Interesuje nas zima 1929 roku – uśmiechnęła się Hana.

Przekląłem w duchu, nie powinna była tego robić, chłopak jeszcze bardziej się zawstydził.

– Zima? Teraz to jest zima – uśmiechnął się.

Nikt się nie zaśmiał, nawet portierka.

– Dobrze, proszę za mną – dodał i zaprowadził nas do biura.

– Musicie stać – oświadczył, kiedy weszliśmy. Podłogę, stoły, krzesła i parapety pokrywała gruba warstwa książek, dokumentów, antyków i gazet.

Hana wzruszyła ramionami:

– Nie szkodzi.

Pod stołem wystawał z rdzewiejącej miednicy kawałek obrazu zarzuconego brudnymi szmatami. Wyostrzyłem wzrok, żeby przeczytać podpis malarza przy ramie.

– Czy to nie jest przypadkiem Martin Benka? – nie chciało mi się wierzyć, że taki cenny eksponat wala się tu ot tak.

– Szkic z wczesnego okresu – potwierdził młodzieniec. – Piszę o nim artykuł do monografii.

Nawet tego nie skomentowałem, spojrzałem za to przez okno, żeby się uspokoić.

Historyk popatrzył na Hanę:

– Czego szukacie?

– Interesuje nas zima z 1929 roku. Podobno była to najcięższa zima w zeszłym stuleciu – wyjaśniła cierpliwie.

Kiwał głową, jakby dziwne pytania i zainteresowania były jego chlebem powszednim.

– Chodzi nam o to – ciągnęła dalej – czy wtedy w dzielnicy Rybarpole za Wagiem nie wydarzyło się coś dziwnego, podejrzanego, niezwykłego...

– Wszyscy chcą czegoś niezwykłego – wszedł jej w słowo. – Ciągłe przychodzą ludzie, którzy szukają templariuszy, skarbów, cennych monet. Wiecie, historia jest...

– Chcielibyśmy przejrzeć stare gazety albo archiwum – dla odmiany to ja przerwałem jemu. Wykładem na temat, czym jest historia, nie byłem zainteresowany.

– To nie jest tak hop siup! – wybuchnął, jakbym zaproponował jakiś kompletny nonsens. – Wszyscy chcą coś przeglądać, ale to nie jest takie proste! Orientujecie się w archiwistyce, w prasie, znacie języki obce?

Ponownie spojrzałem na zaśnieżony Park Hyrosza i wziąłem głęboki oddech.

– Jeśli panu przeszkadzamy... – zaczęła Hana.

– Ależ skąd! – przerwał jej. – Z chęcią się tym zajmę, poszukam, poszperam i dam wam znać. Na kiedy jest to potrzebne, za miesiąc, dwa?

– Najlepiej jutro, pojutrze, gdyby się dało – pochyliła głowę.

Nastąpiła kłopotliwa cisza.

– Aha – wydobył z siebie.

– To dość ważne – starała się jak mogła.

Historyk podrapał się po potylicy, było po nim widać, że toczy wewnętrzny bój.

– Zrobię, co w mojej mocy – powiedział ostrożnie. – Ale niczego nie obiecuję. Coś dziwnego, wyjątkowego w Rybarpolu w zimie 1929 roku?

– Dokładnie tak – skinęła Hana. – W Rybarpolu albo nad nim, u podnóża Czebrata. Bardzo dziękujemy.

– Pewnie, pewnie – twarz wykrzywiła mu się w grymasie napięcia. – Dostanę jakiś kontakt?

– Oczywiście – powiedziałem i podyktowałem mu swój numer. Czegokolwiek by nie odkrył, nie miałem serca rzucić mu na pożarcie Hany.

Młodzieniec sprawiał wrażenie rozczarowanego, ale nie protestował, pogodził się z losem.

Pożegnaliśmy się i wyszliśmy z budynku.

– Nie daję temu wielkich szans – stwierdziłem.

– Zawsze byłeś optymistą – rzuciła Hana i przyspieszyła kroku.

V.

SEN ŚLIZGAŁ SIĘ PO MNIE jak po zamrożonym śniegu. Zmęczenie ściągało mnie do świata snu, ale co chwilę się z niego wynurzałem. Coś nie pozwalało mi rozpuścić się w błogiej nieświadomości. Najpierw

przewracałem się z boku na bok, później ogarnęła mnie złość. Ciało i umysł prosiły o chwilę snu – w końcu dostałem trochę w kość. Spotkanie u Oty, bijatyka z Bohuszem (raczej łomot od niego), odkrycie związku pomiędzy znikaniem dzieci i ekstremalnymi mrozami – to wszystko mnie wyczerpało. Wyprawa do muzeum była wisienką na torcie.

Otworzyłem oczy i rozdrażniony wbiłem wzrok w kuchenny sufit. Dobrze go znałem, nie pojawiły się na nim żadne nowe pęknięcia. Chciałbym móc powiedzieć to samo o sobie, mnie ich jednak kilka przybyło.

Najpierw myślałem, że Bohusz rozłupał mi kość policzkową. Ból na szczęście zaczął ustępować, powoli znikła także opuchlizna, został tylko nieciekawy siniak. To jednak nie znaczyło, że nie doszło do pęknięcia – wręcz przeciwnie. Kiedy mnie uderzył, coś we mnie pękło. To było gorsze niż rozszczepiona kość policzkowa. Ta po pewnym czasie zrosłaby się, ale definitywnie złamane resztki dawnego koleżeństwa już się nie zrosną.

Wybuchła we mnie złość. Uderzył mnie przed Haną i Otą, poniżył mnie przed nimi. Co więcej, kiedy przyszedł, Hana odżyła, nie jak wtedy, gdy pojawiłem się ja. Typowe. Mogła na niego narzekać, udawać, że ją bulwersuje, ale wciąż ją pociągał.

Wściekły przewróciłem się na bok i przymknąłem oczy, próbując zasnąć. Gorycz unosiła mnie nad powierzchnią snu. Pozwoliłem na to, gdzieś na skraju świadomości wiedziałem, że złość, zgorzknienie i uzalanie się nad sobą są lepsze niż strach, który władał nade mną przez ostatnie dni. Wszystko, nawet te najgorsze emocje były lepsze niż destrukcyjny lęk przed nieznanym.

Zapadłem w drzemkę, ciało odprężyło się, już prawie zacząłem wpadać w przepaść. Nagle zerwałem się. Tym razem nie obudziła mnie ani złość, ani nerwy. Przeszyła mnie jakaś obawa. Nie miała wyraźnych kształtów, za

bramami snu łagodnieją nawet najostrzejsze krawędzie. Była jednak silna, potrząsnęła mną, jak wichura potrząsa otwartą okiennicą.

Kogo z naszej czwórki jest najłatwiej skrzywdzić? – przyszło mi do głowy.

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, było mi głupio, że to pytanie pojawiło się dopiero teraz.

Każdy z nas czegoś się bał, strach to drugie imię niezabliźnionej rany. Hana była przerażona wizją rozvodu, ale jednocześnie tym, co będzie, jeśli nie odważy się na ten krok. Ota drżał o rodzinę, od dawna zżerało go też zwątpienie w samego siebie. W moim przypadku było prościej. Ja bałem się wszystkiego – przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Nie wiedziałem, z czego będę żyć, wątpiłem, czy ktoś jeszcze się mną zainteresuje, byłem totalnym *loserem*.

On jednak czuje jeszcze większy strach, przebiegło mi przez myśl. Osłabienie dało mi nowe spojrzenie na tę sprawę. Na jawie nie patrzyłbym na to w ten sposób.

Kto boi się najbardziej? Ten, kto ma najlepszą ochronę. Kto buduje najwyższe mury, każe się pilnować (system kamer i dwa niemieckie dogi), kto fanatycznie ćwiczy na siłowni, dba o to, żeby ani przez chwilę nie wyglądać na słabego...

Nagle stało się dla mnie jasne – Bohusz z naszej czwórki ucieka najusilniej. Nawet gdy powinien odpoczywać, ćpa, żeby choćby na chwilę nie przystanąć w miejscu. Dwadzieścia siedem lat temu uciekł z rozdzielni, a dziś od migoczącego monitora.

Tego, kto boi się najbardziej, jest najłatwiej skrzywdzić.

Uśmiechnąłem się złośliwie, w pobitym policzku poczułem szarpnięcie.

– Wspaniała troska – wyszeptałem przez wysuszone usta (z pobliskiego kaloryfera promieniowało ciepło).

Odwrociłem się na drugi bok, starając się wyrzucić Bohusza z głowy.

Skurwiel pierdolony, przywalił mi pięścią, a teraz jeszcze zawraca głowę. Nie poświęcę mu już ani jednej myśli, nie zasługuje na to.

Brama snu ponownie się rozwarła, tym razem udało mi się przekroczyć jej próg.

W ciemności błysnął jasny obraz – Bohusz brodzący przez zaśnieżony las. Przeszukiwał go, fanatycznie poszukiwał zaginionych dzieci, ignorował zmęczenie i siarczysty mróz, coś gnało go w stronę autodestrukcji. Walczył o resztki swojej duszy, jej większość zniknęła wraz z Alicą, na którą się wypiął. Gdyby stracił duszę w całości, nie zniósłby tej pustki, bez wątpienia wolałby się zabić.

Znów otworzyłem oczy, wstałem, podszedłem do zlewu, nalałem wodę do szklanki i łapczywie wypilem.

Tego, kto boi się najbardziej, jest najłatwiej skrzywdzić – dudniło mi w głowie.

Obawy mnie nie opuszczały, wręcz przeciwnie. Nagle uzmysłowiłem sobie, że coś mi umknęło i że to dotyczyło Bohusza. Nie tylko jego, nas wszystkich, ale Bohusza najbardziej.

Co przegapiłem?

Coś ważnego, szeptał we mnie cichy głos. Umknęło ci coś ważnego i z tego powodu wydarzy się coś złego, bardzo złego.

Przewijałem w pamięci dzisiejszy dzień, godzinę po godzinie.

Co mi umknęło?

Położyłem się na materacach, tym razem nie próbowałem zasnąć. Rozpaczliwie rozmyślałem. Byłem coraz bardziej pewien. Umknęło mi coś ważnego i niebezpiecznego...

Stopniowo się do tego zbliżałem, wprawdzie nic konkretnego nie przychodziło mi do głowy, ale byłem coraz bliżej odkrycia.

Poranne spotkanie, nowe informacje, incydent z Bohuszem, wyprawa do muzeum, młody historyk...

Motałem się we wspomnieniach, z których niektóre były nieco bardziej wyraźne i prowadziły do celu. Już niewiele mi brakowało, zagrożenie nabierało jasnych kształtów, czyhało za najbliższym rogiem.

Przyśpieszyłem i wyrząłem zza węgła. Było tam, mgła zniknęła, zobaczyłem je niezwykle wyraźnie.

Boże święty! – przemknęło mi przez myśl tuż przed tym, jak przewalił się przeze mnie, ściągając w otchłań, czarny, bezdenny sen.

LUSTRO

I.

OBUDZIŁEM SIĘ O ŚWICIE. Do kuchni przenikało wątłe światło. Zaspany wstałem, nalałem sobie szklankę wody i wypilem. Razem z nią przelały się przeze mnie emocje ostatnich dni – wszechogarniający lęk tworzył podwalinę, dopełniał ją koszmar (zaginione dzieci, poukładane zęby, kompas i spinka) połączony z wyczerpaniem. Kiedy się obudziłem, byłem zmęczony jak koń pociągowy. Najchętniej padłbym na materace i przespał cały dzień. Brałem pod uwagę taki scenariusz, ale poczułem też coś innego.

Obawa, realna obawa.

Przypomniałem sobie swoje nocne rozmyślania. Coś mi umknęło – w półśnie zastanawiałem się nad tym, co mi umknęło. Wpadłem na to, byłem pewien, że w nocy przez kilka sekund wiedziałem, o co chodzi. Sen jednak zwyciężył i teraz za żadne skarby nie mogłem sobie przypomnieć, co to dokładnie było. Zostało tylko poczucie palącej potrzeby i narastająca obawa.

Dotyczyło to Bohusza, głównie Bohusza (tego, kto boi się najbardziej, jest najłatwiej skrzywdzić), ale także naszej trójki.

Twardy sen otumanił mnie, w innym razie nie zrobiłbym tego, co zrobiłem. Złapałem za telefon i zadzwoniłem do Oty.

– Cześć – odezwał się po kilku sygnałach. – Wieczorem rozmawiałem z Haną, w muzeum podobno bez szału.

– No, bez szału – przytaknąłem. – Ale dzwonię w innej sprawie...

– Słucham.

– Nie mógłbyś... – głos ugrzązł mi w gardle, czułem się jak idiota. – Nie mógłbyś zadzwonić do Bohusza?

– Co?

– Tak tylko zadzwonić, zapytać, czy wszystko dobrze i w ogóle.

Ota roześmiał się:

– Odbiło ci? Prawie cię zabił, a ty jeszcze się o niego martwisz?

– Wiem, to głupie. Ale nie wyglądał dobrze, przecież sam widziałeś.

Wybierał się na kolejne poszukiwania, tak tylko pomyślałem, czy wszystko z nim okej.

– Nie jest okej, popatrz w lustro na swój policzek.

– Proszę cię, zadzwoń do niego i daj mi znać – skończyłem.

– Jak chcesz, nie ma sprawy – powiedział i rozłączył się.

Umyłem zęby, wziąłem szybki prysznic i zjadłem kawałek rogalika z masłem. Przez cały czas nie spuszczałem wzroku z iPhone'a. Denerwowałem się, że milczy. Kiedy wreszcie ekran rozbłysnął i rozległ się dzwonek, szybko odebrałem.

– No? – wyrzuciłem z siebie.

– Nie odbiera – oznajmił Ota.

– Długo dzwoniłeś?

– Dość długo.

– Spróbuj jeszcze raz – nalegałem. Nagle wydało mi się to niezwykle ważne.

– Sam do niego zadzwoń, wczoraj go obudziłem i mnie zjechał – odmówił. – Drugi raz już go nie obudzę, nie chcę skończyć tak jak ty.

– Kiedy mnie usłyszysz, wścieknie się. Albo nie odbierze.

– Nie będę już do niego wydzwaniać – zawział się Ota. – O co ci chodzi?

– Czuję, że stało się z nim coś złego – przyznałem.

– A ja czuję, że już ci kompletnie odwala. Jak chcesz, to wpadnij do mnie. Tylko zapukaj porządnie, idę do garażu.

– Dobra, to na razie – rozłączyłem się.

II.

– **CO ZA GNÓJ PIERDOLONY** – przeklinałem Bohusza, ubierając się. Przeklinałem go także, schodząc ulicą w dół i zbliżając się do jego domu. Brama była zamknięta. Szarpnąłem za klamkę i przygotowałem się na ogłuszające ujadanie. Nic, cisza, psy nawet nie pisnęły.

Znów nacisnąłem klamkę i potrząsałem bramą. Liczyłem na to, że Bohusz zobaczy mnie przez kamerę, przybiegnie, zacznie krzyczeć, może powtórzy wczorajsze przedstawienie. Obawy nasiliły się na tyle, że wszystko wydawało mi się lepsze niż przytłaczająca cisza i puste podwórko. Odczekałem kilka minut, ciągle nic się nie działo.

Schyliłem się, próbując zajrzeć przez dziurkę od klucza. Zobaczyłem kawałek podwórka i drzwi wejściowe – były naprzeciw bramy, otwarte. Ktoś otworzył je na co najmniej pół metra.

– Bohusz! – krzyknąłem. – Wszystko w porządku? Nie wkurzaj się.

Żadnego dźwięku ani ruchu. Stałem przy bramie z dziesięć minut, a ponieważ nic się nie działo, wróciłem do domu.

Niespokojnie chodziłem po kuchni, kilka razy opłukałem pokrwawione palce. Kiedy tylko się zapomniałem, wślizgiwały mi się pomiędzy wyczekujące zęby. Pożerałem sam siebie – nic nowego, ale dopiero teraz uzmysłowiłem sobie to tak dogłębnie.

Wytrzymałem dwie godziny i wróciłem przed dom Bohusza. Zajrzałem przez dziurkę od klucza – drzwi wciąż były uchylone. Dzwoniłem, krzyczałem, próbowałem dostać się do środka – bezskutecznie.

Obawa zmieniała się w pewność. Coś się stało.

Poszedłem do Oty (po osiedlu kręciło się kilku policjantów oraz reporterów) i nerwowo wyjaśniłem mu, o co chodzi. W końcu uprosiłem go, żeby spróbował jeszcze raz zadzwonić do Bohusza.

Po kolejnych dwóch godzinach i dziesięciu nieodebranych połączeniach stało się dla niego jasne, że niczego sobie nie uroiłem. Patrzyliśmy na siebie, żaden nie chciał powiedzieć tego pierwszy. Czekanie było nie do wytrzymania i prowadziło donikąd. Wreszcie się odważyłem:

– Zadzwońmy na policję.

III.

STALIŚMY PRZED DOMEM BOHUSZA, trzęsąc się ze strachu i zimna. Policjanci weszli do środka pół godziny temu. Jeden z nich wybiegł po coś do auta, ale kiedy zapytaliśmy, co znaleźli, poirytowany spławił nas.

Staliśmy więc na ulicy i czekaliśmy.

– Myślisz, że naprawdę coś mu się stało? – zapytał Ota po raz dwunasty.

– Kiedy nakarmi się dziećmi, sięgnie także po dorosłych – wypłynęło mi z ust.

Spojrzał na mnie zdziwiony, przez ostatnie pół godziny udało mi się go definitywnie przekonać, że oszalałem. Mnie także wydawało się to prawdopodobne. Bo dlaczego sterczę tu w dwudziestostopniowym mrozie i wierzę, że Bohusza zabił (że nie żyje, byłem pewien już od rana) jakiś potwór, który karmi się porwanymi dziećmi?

– Dlaczego najpierw dzieci? – Ota kontynuował swój wywiad. Nie umiałem rozpoznać, czy naprawdę go to interesuje, czy testuje skalę

mojego szaleństwa.

– Nie mam pojęcia – wzruszyłem ramionami i rozejrzałem się dookoła. Nie byliśmy sami, obecność policjantów przyciągnęła kilku gapiów i reporterów czatujących na ofiarę.

Cokolwiek stało się Bohuszowi, będzie to wyjątkowy kątek. Nazwą go kontrowersyjnym biznesmenem, rozbebeszą mu życiorys, a wszystko, co znajdą, rzucają motłochowi spragnionemu sensacji. Nawet jeśli Bohusz był bydlakiem, który mi przywalił, na coś takiego nie zasłużył. Zniszczyło go tchórzostwo przy rozdzielni, cała reszta była tego nieuchronną konsekwencją. Zbyttno się od nas nie różnił, wszyscy w dzieciństwie zawiedliśmy.

Pół godziny później przed domem stanął duży radiowóz. Wyszło z niego kilku techników z walizkami i torbami, przeszli przez bramę i zniknęli.

Robiło się ciemno, coraz bardziej wygłodniały mróz wbijał w nas ostre zębiska. Trzymaliśmy się z całych sił, ale ostatecznie daliśmy za wygraną. Ota poszedł do rodziny, na mnie czekało puste mieszkanie z zakazaną sypialnią i pokojem (kaseta ciągle tkwiła w odtwarzaczu).

Ledwo wszedłem do domu, w kieszeni rozdzwonił mi się telefon. Dzwoniła Hana, właśnie wróciła z pracy, chciała wiedzieć, co się dzieje. Brzmiała na zdenerwowaną, słyszałem pokrzykiwania Mirki, która domagała się jej uwagi. Przedstawiłem w skrócie, czego się dowiedziałem, za wiele tego nie było.

Nerwowo obgryzałem paznokcie, niepewność mnie wykańczała.

Co z Bohuszem? Co mu się stało?

Przyszło mi do głowy, żeby włączyć radio, może dowiem się czegoś z wiadomości. Wystarczyło mi jednak jedno spojrzenie na kabel wyciągnięty z gniazdka i plan legł w gruzach – włączenie radia to nie był

dobry pomysł. Poszedłem do toalety, a kiedy wracałem, moje spojrzenie padło na iPhone leżący na stole. Wziąłem go, włączyłem przeglądarkę *Safari* i wpisałem adres internetowy portalu *Nowy czas*. Od drobnych liter szybko rozbolały mnie oczy i głowa, ale było mi wszystko jedno. Oczekiwałem w napięciu, co chwilę odświeżając stronę.

Nie rozczarowałem się, godzinę później pojawiła się wiadomość.

Wielki zwrot w sprawie zaginionych dzieci! – głosił tytuł.

Zdziwiłem się, nie wiedziałem o żadnym wielkim zwrocie. Szybko kliknąłem na nagłówek i zacząłem czytać.

Policjanci z Ružomberka znaleźli dziś martwego Bohusza Müllera. To może oznaczać zwrot w sprawie zaginionych dzieci, którą śledzi cała Słowacja. Müller był kontrowersyjnym biznesmenem z rzekomą przeszłością mafijną.

Według policyjnego źródła zmarł w swoim domu, najprawdopodobniej z powodu zatrzymania akcji serca w wyniku przedawkowania bliżej nieokreślonej substancji psychoaktywnej. Policja wykluczyła udział osób trzecich. Müller przed śmiercią prawdopodobnie otruł także swoje dwa psy obronne. Według naszego źródła próbował zostawić list pożegnalny, ale ze względu na swój stan udało mu się napisać tylko kilka niezrozumiałych słów.

Mieszkańcy Małych Tatr wspominają Müllera jako człowieka konfliktowego. Jednocześnie podkreślają, że po zniknięciu dzieci z nadzwyczajnym zaangażowaniem organizował ochotnicze akcje poszukiwawcze. Nie można wykluczyć, że w ten sposób starał się odwrócić od siebie podejrzenia.

Ze źródła zbliżonego do policyjnego udało się nam dowiedzieć, że Müller ze względu na swoją przeszłość staje się głównym podejrzanym. Policja intensywnie bada wersję zakładającą, iż denat był zamieszany

w porwania, nie udźwignął jednak wyrzutów sumienia i popełnił samobójstwo. Obecnie trwają prace śledczych, które potwierdzą lub zaprzeczą powyższym podejrzeniom.

– Kurwa! – krzyknąłem. Zrzucą to na niego, rozwiążą sprawę i wszyscy będą zadowoleni! Dzieciaków nigdy nie znajdą, a sprawca nie żyje. Opinia publiczna odetchnie z ulgą. Za miesiąc już nikt o tym nie wspomni (oprócz rodziców, oni będą wspominać do śmierci). Niewiarygodne, w sześćdziesiątym trzecim wszystko zatuszowali esbecy, dziś są inne metody, ale efekt ten sam.

Zauważyłem, że pod artykułem znajduje się galeria. Kliknąłem na nią, na ekranie pojawiły się zdjęcia. Jakżeby inaczej, niektóre pochodziły bezpośrednio z miejsca czynu. No, z pewnością trafiły do tego brukowca przez pomyłkę, bo przecież nikt nie sprzedałby ich dziennikarzom...

Ogarnęła mnie złość, niczego innego nie czułem, nie rozstroiło mnie nawet potwierdzenie śmierci Bohusza. Gorączkowo przeglądałem zdjęcia.

Były trzy. Pierwsze zrobione było z ulicy przed domem Bohusza. Na drugim uchwycono halę dla gości w mieszkaniu na parterze, w której siedziałem sześć dni temu (Wypierdalaj już stąd!).

Trzecie stanowiło najcenniejszą zdobycz medialnej hieny, pochodziło z miejsca zgonu Bohusza. Zaskoczyło mnie, że nie było widać zwłok. Ujęcie zawierało pokój przerobiony na siłownię. W kącie stał rower stacyjny, obok niego stojak z ciężarkami i wielkie lustro. Właśnie na jego błyszczącej powierzchni Bohusz nagryzmolił trzy słowa.

Na pierwszy rzut oka wyglądały jak pismo wariata. Ukośne, roztrzęsione litery ledwo można było rozczytać. Powiększyłem zdjęcie, żeby zobaczyć szczegóły.

OoZuvb

OoZuubx
OoZuupXo
!!!

Co to ma znaczyć? Naprawdę przed śmiercią zwariował? Patrzyłem na te bezsensowne bazgroły i porównywałem je.

Po chwili to do mnie dotarło. Bohusz nie zwariował, pismo było roztrzęsione i nienaturalnie pochylone, z pewnością pisząc to, umierał ze strachu (z przerażenia czy pod wpływem kokainy?), ale w słowach tych była jakaś logika. Starał się coś wyrazić, dwa razy pomylił się podczas pisania, dlatego zaczął od początku. Udało mu się to dopiero za trzecim razem, stąd trzy wykrzykniki – bardzo ważne.

OoZuupXo, nie widziałem w tym żadnego sensu.

Chcąc wyjaśnić zagadkę, zapisałem sobie zdjęcie w telefonie, im intensywniej o tym myślałem, tym mniejszą odczuwałem złość. Kiedy tylko rozplynęła się całkowicie, zalała mnie fala pustki.

Bohusz nie żyje, to coś go zabiło.

Kiedy nakarmi się dziećmi, sięgnie też po dorosłych.

Zakręciło mi się w głowie, łzy rozmazały mi obraz. Gapiłem się na niewyraźny zegar ścienny. Kiedyś, dawno temu, tykał, później nagle zatrzymał się i opuszczoną kuchnię wypełniła cisza.

IV.

POD WIECZÓR przyszła odwiedzić mnie Hana z córką. Wpuściłem je do pokoju i poczęstowałem herbatą, ale przez cały czas zerkąłem na odtwarzacz wideo, jakby w każdej chwili mógł wyskoczyć z niego potwór.

Mirka się nudziła, chyba zbyt za mną nie przepadała. Cały czas mierzyła mnie wzrokiem, miała zielone oczy, po mamie, herbaty nawet nie tknęła, ciągle łąpała Hanę za rękę i potrząsała nią na znak, żeby już szły. Hana jednak nie zwracała na to uwagi, była zamyślona, od kiedy przyszły, zamieniła z córką tylko kilka słów. Bałem się o nią, wyglądała, jakby w jej głowie działo się coś niedobrego. Przypomniałem sobie, z jaką determinacją przed kilkoma dniami namawiała mnie, żebym wsunął kasetę do odtwarzacza. Zrozumiała w końcu, z czym pogrywamy (czy raczej, co pogrywa z nami), ale była to okrutna lekcja. Do teraz jako tako dawała sobie radę, śmierć Bohusza ją dobiła.

Pustym wzrokiem patrzyła na filiżankę i bezwiednie kręciła łyżeczką, dopóki nie sięgnąłem po nią i jej nie zabrałem. (Ciche stukanie działało mi na nerwy.) Nie wiedziałem, co powiedzieć, siedziałem w milczeniu i gapiłem się na gęstniejący za oknem mrok. Mirka była coraz bardziej niespokojna, milczenie mamy przestraszyło ją.

– Nie wiesz, co znaczą te słowa na lustrze? – zapytałem.

Hana wzruszyła ramionami i pokręciła głową. Mirka zrobiła to samo.

– Na pewno? – byłem natarczywy, coś nakazywało mi ciągnąć ten temat.

Słowa nabazgrane na lustrze...

OoZuupXo

Bardzo ważne, bardzo ważne.

Mój mózg pracował na pełnych obrotach, ale nie na poziomie świadomości. Przez moment miałem pewność, wypłynęła jak woda głębinowa. *OoZuupXo* miało jakiś związek z Haną.

Bohusz przed śmiercią nie postradał zmysłów, słowa miały logikę. Dwa razy się pomylił i za każdym razem rozpoczął od nowa.

Nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy, sens był ukryty gdzieś w odmętach, był niewyraźny jak kamień w płytkiej wodzie, nie miałem do niego dostępu.

– Widziałam zdjęcie – powiedziała Hana. – Też się nad tym zastanawiałam. To nie wygląda jak słowa, raczej...

Wpatrywałem się w nią i zaklinałem wzrokiem.

– W pracy używamy podobnych – dodała obojętnie, myślami była gdzie indziej, przy kimś innym.

Nagle dotarło do mnie, że kiedy chodzili ze sobą w liceum, na pewno byli razem w łóżku. Z pewnością był jej pierwszym. Nie udało mi się powstrzymać przed wyobrażeniem sobie tej chwili, obraz wybuchł w mojej głowie jak rakietą świetlną.

– W pracy? – przełknąłem ślinę. – Przecież pracujesz w banku, jak...

– Hasła – przerwała mi. – Podobne zbitki liter, są w nich na przemian duże i małe, te nasze zawierają też sporo cyfr.

Stałem jak porażony.

Dropbox, kolego! – Bohusz pochwalił się, kiedy go odwiedziłem. Wszystko się nagrywa i raz dziennie zapisuje na serwerze.

– Miał kamery – krzyknąłem nagle.

Spojrzała na mnie, nie rozumiejąc, chyba wystraszyły ją moje emocje.

– Miał kamery! – powtórzyłem i zerwałem się z kanapy.

Mirce ze strachu szerzej otworzyły się oczy, na chwilę znieruchomiała.

– Nagrał to, wiedział, że ta zmora poluje na niego i że nie zdoła uciec, dlatego nam to nagrał! – wykrzyknąłem. – Na lustrze napisał hasło dostępu do *Dropboka*!

– Nagrania z kamer zapisywał na zewnętrznym serwerze? – zapytała Hana ożywionym głosem.

– Dokładnie tak, na Dropboksie, zapisywał tam nagrania z poprzedniego dnia, żeby kiedykolwiek móc rzucić na nie okiem i sprawdzić.

– Może to rzeczywiście jest hasło, ale to i tak za mało, żeby się zalogować – zamyśliła się.

– W agencji często korzystaliśmy z tej aplikacji. Żeby mieć dostęp do konta, potrzebne jest tylko hasło i adres e-mail – powiedziałem.

– Czasem do mnie pisał – Hana owinęła sobie kosmyk włosów wokół palca. Znajomy gest ucieszył mnie, oznaczał, że jest z powrotem z nami.

– Mamo, chodźmy już – jęknęła Mirka. Nie czuła się u mnie dobrze, wyczuwała napięcie, chciała iść do domu.

– Wytrzymaj jeszcze chwilkę – ofuknęła ją Hana. Wyjęła komórkę, weszła na swoją skrzynkę i przeszukała historię maili.

– Mam, pisał z adresu bohusz.muller@gmail.com – podyktowała mi.

Przeszedłem do kuchni, gdzie ładował się mój iPhone. Hana poszła za mną.

Włączyłem aplikację *Dropbox*, wylogowałem się ze swojego konta i zacząłem wystukiwać adres e-mail Bohusza oraz hasło dostępu.

Hana stała tuż za mną, zaglądała mi przez ramię, na szyi czułem jej przyśpieszony oddech.

Potwierdziłem hasło, przez chwilę nic się nie działo, ale później ekran błysnął i pojawiło się kilka katalogów.

– Działa – wyszeptałem.

– O, tu – wskazała palcem.

Trzeci od góry był katalog KAMERA. Kliknąłem na niego i pojawił się plik video 16022012.wmv.

Tym razem Hana nie poganiała mnie, żebym go włączył. Stała nieruchomo i dyszała mi do ucha. Ja też nie mogłem się zdecydować. Na nagraniu znajdują się ostatnie minuty Bohusza, kamery z pewnością wyłapały, co po niego przyszło...

Zacząłem się trząść, osłabłem, nie miałem siły otworzyć pliku.

– Popatrz, to kilka gigabajtów i zły format, na iPhone tego nie puszcze – wymamrotałem.

Spodziewałem się, że zacznie protestować, ale była cicho.

– Chodźmy do Oty, obejrzymy to na porządnym monitorze – zaproponowała po chwili.

Odetchnąłem – im więcej nas będzie to oglądać, tym lepiej.

– Dobrze – zgodziłem się.

– Zostawię małą u mamy – powiedziała i wyszła po córkę do pokoju.

Stałem niezdecydowany, rozważałem, czy jednak nie spróbować włączyć filmu. Ostatecznie jednak wyłączyłem *Dropbox* i włożyłem komórkę do kieszeni.

– Mirka! – krzyknęła Hana.

Wzdrygnęło mną, pobiegłem do dużego pokoju. Wpadłem do środka i rozejrzałem się – Mirka zniknęła, drzwi do sypialni były otwarte.

Zrobiło mi się ciemno przed oczami, przełknąłem ślinę. Nie wiem nawet, jak znalazłem się w sypialni. Hana stała przy drzwiach, Mirka kręciła się w kącie przy zdjęciu Alicy i kompasie.

Był tam, był tam!

Przyskoczyłem do niej, złapałem ją i wybiegłem z pokoju, jakby się w nim paliło.

Przestraszona dziewczynka rozpłakała się, Hana coś do mnie krzyczała, ale w uszach szumiało mi tak, że nie słyszałem ani słowa.

Zatrzasnąłem drzwi i oparłem się o nie plecami. Czułem się jak strażak-bohater, który zasłużył na medal.

Mirka ryczała, Hana starała się ją uspokoić. Co jakiś czas odwracała się w moją stronę i coś syczała.

Stopniowo zaczynałem rozpoznawać słowa.

– Oszalałeś?! – powtarzała.

Nie miałem siły niczego wyjaśniać. Odprowadziłem je na klatkę schodową i dopóki nie zeszły na dół, trzymałem włączone światło.

– Za dwadzieścia minut u Oty – zawołała do mnie Hana i wyszła z córką na mróz.

Po korytarzu jeszcze przez chwilę błdziło echo.

V.

STARY MONITOR OTY MIGOTAŁ. Kiedy ulubiony polityk załatwi mu pracę, powinien zainwestować w nowy sprzęt, żeby synkowie nie stracili wzroku. Naturalnie, jeśli do tego czasu coś ich nie porwie i nie pozbawi gałek ocznych. Nie była to jedyna cyniczna uwaga, jaka przyszła mi do głowy. Ekstremalne zmęczenie, szok i przerażenie z ostatnich dni przerodziło się w chłodny dystans. Kolejna reakcja obronna. Na razie nie wyglądało to zbyt dobrze, to była walka z góry skazana na porażkę. Patrząc na Hanę i Otę, widziałem to – śmierć Bohusza uszczknęła sobie z nas po porządnym kawałku.

Siedzieliśmy ściśnięci wokół komputera w kącie kuchni, z pokoju dobiegały odgłosy włączonego telewizora. Ota posadził w nim żonę i synów i zabronił im choćby wściubić nos do kuchni, a głośność ustawił taką, że bębenki musiały im tam dosłownie pękać. Chciał mieć pewność, że

nie usłyszą niczego, co mogłoby narobić im w głowach znacznie większe szkody.

Kiedy próbował kliknąć na plik 16022012.wmv, kursor wyraźnie drżał. W komputerze zawarczał twardy dysk, a wiatrak zaczął się kręcić, jakby maszyna zamierzała zaraz wystartować i odlecieć. Przez kilka sekund nic się nie działo, system Windows XP toczył ciężki bój z kilkugigabajtowym plikiem.

Ostatecznie jednak ekran pociemniał i pojawił się obraz – sześć okienek rozmieszczonych w dwóch kolumnach.

– W każdym mieszkaniu miał kamerę – powiedziałem. – Dwa górne okienka to mieszkania na górze, pod tym dwa środkowe i dwa dolne.

– Mieszkania? Wyglądają jak hale – zdziwił się Ota.

Przyznałem mu rację. Bohusz w każdym z mieszkań wyburzył większość ścian działowych. Cóż, najwyraźniej nie przepadał za ścianami, chciał wiedzieć, co dzieje się dookoła. Na górze po lewej stronie zobaczyliśmy olbrzymią sypialnię z półkami pełnymi figurek i pamiątek – zapewne trofea z podróży. Drugie górne mieszkanie przerobił na siłownię, czy raczej na prywatne centrum fitness. Przebiegłem wzrokiem po ławce, urządzeniach do ćwiczeń i rowerze stacjonarnym. Zatrzymałem się na wielkim lustrze. Zmroziło mnie – to właśnie tam umrze Bohusz.

– O, tu pokazuje się czas – powiedziała Hana i wskazała na prawy dolny róg. Cyfrowy zegar wskazywał datę 16.02.2012 i godzinę 00:01.

– To dwudziestoczworogodzinne nagranie, przewiń dalej – szturchnąłem Otę.

Skinął i przesunął wskaźnik.

Pojawiła się godzina 8:14.

Bohusz właśnie się obudził i rozpoczął swój ostatni dzień, krzątając się po sypialni. Na dole po lewej stronie zauważyliśmy jakiś ruch.

– Psy obronne, miał dwa dogi – powiedziałem. – Pewnie z powodu mrozu spały w mieszkaniu na dole.

Brytany czujnie nastawiały uszy, z pewnością usłyszały krzątanie Bohusza dwa piętra wyżej. Przypomniałem sobie, że kiedy Bohusz wpuścił mnie do swojego królestwa, widziałem kręte schody łączące wszystkie mieszkania w pionie. Podobne schody znajdowały się też w drugiej części budynku.

Drobny pikselowy pan domu nagle odwrócił głowę i dziarsko ruszył w kierunku stolika nocnego. Jego ruchy były przerywane, obrazy pojawiały się w sekundowych interwałach.

Bohusz wziął telefon i przyłożył do ucha. Przez chwilę słuchał, później w złości zaczął wypluwać słowa i nerwowo gestykulować.

– To ja dzwoniłem – odezwał się Ota i spojrzał na mnie. – Mieliliśmy się wszyscy spotkać. Przynajmniej widzisz, że naprawdę był wkurzony.

Skinąłem głową i zafascynowany obserwowałem skokowe ruchy Bohusza. Nie słyszałem ani słowa, nagranie było wprowadzone w kolorze, ale nieme. Potrafiłem sobie jednak wyobrazić, jakim słownictwem nieboszczyk mnie poczęstował.

– Przewiń to dalej – wymamrotałem. – Po tym, jak na pożegnanie dał mi w pysk, poszedł do lasu na poszukiwania. Wrócił na pewno dopiero wieczorem, interesuje nas noc, wtedy mróz jest najsilniejszy.

Ota przesunął wskaźnik na końcówkę filmu. Pokazała się godzina 22:10. Sprawdziłem wszystkie okienka. Na razie nie działo się nic podejrzanego. Bohusz siedział w prywatnym kinie przed ogromną płachtą ekranu i oglądał wiadomości. Nad sobą miał puste centrum fitness, przed sobą halę dla gości, w której kilka dni temu ugościł mnie, a po chwili wyrzucił.

W mieszkaniu na dole po drugiej stronie drzemały psy, nad którymi znajdowała się galeria obrazów, a nad nią sypialnia z pamiątkami z podróży. We wszystkich mieszkaniach było włączone światło, chociaż nikogo w nich nie było.

Wszędzie środki ostrożności – przyszło mi do głowy. A właściwie czysty strach, królestwo utkane ze strachu.

Ciągle nic się nie działo. Złapałem za myszkę i znów przewinąłem nagranie.

22:40

Bezruch, Bohusz drzemał na skórzanej kanapie, głowa opadła mu na piersi, psy spały w dwóch wielkich koszach.

Znów poruszyłem myszką.

23:15

Bez zmian.

23:40

Bohusz stał w galerii, psy wybiegły z legowiska i stanęły przy panu. Cała trójka patrzyła w górę, w stronę sypialni. Kamera jednak niczego w niej nie uchwyciła, pomieszczenie było puste.

– Puść to jeszcze raz! – wyszeptała Hana.

Posłuchałem jej i cofnąłem film.

Na ekranie błysnął czas 23:28. Bohusz drzemał na kanapie, psy spokojnie spały.

W całym domu nic się nie działo.

– Co jest? – krzyknął Ota i stuknął palcem w kwadrat z nagraniem z sypialni.

Obraz zrobił się rozedrgany i rozmazany.

– Jakiś problem z kamerą – powiedziałem. Nie brzmiało to przekonująco.

Nagranie znów nabrało ostrości, ale pojawiły się na nim czarne grube pasy.

– Cholera jasna, nic nie widać – rzucił Ota.

W końcu obraz zniknął zupełnie, pozostałe kamery pracowały bez zarzutu, tylko sypialnia zmieniła się w czarnobiały szum.

Bohusza przebiegł wyraźny dreszcz, zapewne coś usłyszał. Psy w mieszkaniu na dole podniosły łby. Gospodarz wstał i niepewnym krokiem ruszył w stronę korytarza pomiędzy mieszkaniami.

Ota zaczął szybciej oddychać, położyłem mu rękę na ramieniu.

Pojawił się obraz z sypialni.

Wszyscy się wzdrygnęliśmy, wbiłem palce w ramię kolegi.

W sypialni mignęła drobna postać w żółtej wiatrówce.

– Mały Milicky – powiedziałem, wypuszczając powietrze z płuc. Ładny blondynek ze świecącymi oczami, policjanci pokazali mi zdjęcie, dobrze go zapamiętałem.

Ota i Hana gapili się na monitor, nawet nie mrugnęli.

Bohusz szukał Janka w lesie, wykrzykiwał jego imię. Ale go nie znalazł, wręcz przeciwnie – teraz to Janko znalazł Bohusza.

Z tą koszmarną postacią coś było nie w porządku.

Cała była nie w porządku, patrzenie na nią było jak igranie z szaleństwem, rozmazanej pikselowej twarzy jednak dodatkowo jeszcze czegoś...

Obraz znów został zastąpiony przez czarno-białe śnieżenie.

Bohusz dowlekl się do schodów prowadzących do sypialni. Psy dołączyły do pana, cała trójka niepewnie patrzyła w górę.

Znów pojawił się obraz z sypialni, tym razem była pusta. To ujęcie widzieliśmy przed chwilą.

Nagle psy zaczęły ujadać, Bohusz pobiegł z powrotem do swojej sali kinowej. Albo chciał się tam ukryć, albo pobiegł po broń.

Tym razem szum pochłonął ekran z galerią i ujadającymi psami.

– To coś schodziło po schodach? – wykrztusiłem.

– Patrzcie! – krzyknęła Hana. Po prawym dolnym ekranie przebiegły czarne pasy. Hala gościnna i wejście do domu. To coś weszło nawet tutaj? Przypomniałem sobie uchylone drzwi wejściowe.

Bohusz w tym czasie wyjął z szafki pistolet, zrobił dwa kroki w stronę galerii i zamarł.

Co usłyszał, co tam się działo?

Szum nadciągał do niego z dwóch kierunków – z prawej strony i z dołu.

Wyraźnie zaczął się trząść, w końcu zastygł ze strachu.

Obraz z galerii na chwilę wyostrzył się, wydało mi się, że widziałem psy wijące się na podłodze.

Gospodarz niepewnie ruszył na schody (to była rozpaczliwa próba ucieczki), ale na dole coś zobaczył – odskoczył i upadł na podłogę. Pistolet wypadł mu z ręki, ledwo się pozbierał. Wspierając się na poręczy, piął się po schodach na górę, do siłowni. Nie był jednak wystarczająco szybki, pochłonął go szum.

Gapiliśmy się na górne okienko, wiedzieliśmy, że się w nim pojawi. Po chwili dotarł na górę, szedł na czworaka, panika zwyciężyła. Gdyby w pomieszczeniu było okno, wyskoczyłby. W siłowni była jednak tylko klimatyzacja, żadnych okien, żadnej drogi ratunku.

Skulił się przy ścianie z lustrem, nie miał dokąd uciec. Rozpaczliwie rozglądał się na wszystkie strony, wiedział, że jest w pułapce.

Twarz miał wykrzywioną z przerażenia, przyciskał się do lustra i co chwilę spoglądał w kierunku schodów.

Szum zbliżał się, na ekranie migały już czarne pasy.

Bohusz rzucił się na notatnik z pisakiem leżącym przy ławce do ćwiczeń. Zapewne zapisywał w nim wykonane serie.

Trząsł się, ledwo nad sobą panował. Patrzył wprost w kamerę. Zaciśnął zęby, jedno było pewne, tej przerażonej twarzy nie zapomnę nigdy.

Czarne pasy zrobiły się grubsze, dołączył do nich szum.

Bohusz przesunął się kawałek w prawo, chciał mieć pewność, że kamera wszystko uchwyci.

Obrócił się i zaczął pisać.

Trząsł się, ręka go nie słuchała, toczył swoją ostatnią walkę.

Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, ile samozaparcia go to kosztowało. Ze schodów zbliżał się przecież koszmar, który prześladował go od prawie trzydziestu lat.

Bohusz nie poddawał się, chociaż wiedział, że umrze, że tym razem nie ucieknie. Klęczał odwrócony plecami i bazgrał pisakiem na lustrze – w odbiciu widział więc, co ciągnie w jego stronę.

Stań z tym oko w oko.

Szum się nasilał, obraz stawał się coraz bardziej niewyraźny.

Zobaczyliśmy żółtą wiatrówkę.

Bohusz skulił się w kłębek.

Zakłócenia pochłonęły obraz.

Staliśmy w ciszy, nikt z nas nie oddychał.

Okienko pojaśniało, zobaczyliśmy króciutką scenkę.

Kłębek zwinięty na podłodze (rozwarłe, bezgłośnie krzyczące usta – kilka czarnych pikseli), niecały metr od niego dwójka dzieci, dwójka

papierowych dzieci.

Szum ostatecznie zwyciężył, obraz zniknął, nie zobaczyliśmy już nic więcej.

VI.

NIE WIEM, JAK DŁUGO SIEDZIELIŚMY W KUCHNI. Nawet nie drgnęliśmy, w milczeniu gapiąc się na monitor. Ota podniósł się, przesuwając przy tym myszkę, i nagranie powróciło na poranek – Bohusz właśnie się obudził, wstał z łóżka i ruszył do łazienki.

Za moimi plecami skrzypnęły zawiasy szafki kuchennej. Wydawało mi się, że gdzieś z oddali dobiega czołówka serialu.

Ota zamknął drzwiczki, przez chwilę stał przy szafkach po czym wrócił do nas.

– Masz – mruknął i wcisnął mi do ręki butelkę. W jego oddechu wyczułem alkohol.

Nic nie powiedziałem, tylko wziąłem porządny łyk. W ustach poczułem ostry smak wódki, w ciele rozlało mi się przyjemne ciepło. Podałem butelkę Hanie, nie odmówiła.

Ota wyłączył nagranie, byłem mu za to wdzięczny, każda sekunda ostatniego poranka Bohusza bolała jak ukłucie rozżarzoną igłą.

Spojrzałem na swoich towarzyszy – dwa ludzkie wraki zagubione w obcym świecie.

Do głowy przyszło mi, że obraz nie zanikał przez źle działającą kamerę. To wykrzywiała się rzeczywistość. Ani kamera, ani nasze myśli nie potrafiły poradzić sobie z tym, co się tam działo.

– Dlaczego najpierw dzieci? – zapytała Hana.

Głupie pytanie, które nie miało związku z tym, co właśnie zobaczyliśmy, ale rozumiałem, dlaczego pyta.

Obraz na tym filmie wykraczał poza granice zdrowego rozsądku.

Dlaczego najpierw dzieci?

– Kiedy dorosły zaczyna myśleć jak dziecko albo zachowywać się jak dziecko, uważamy go za wariata. Dzieci są otwarte, wierzą w to, czego nie ma, widzą też to, co nie istnieje – powiedziałem. To coś łatwo przenika do ich świata i karmi się absurdami.

Nic nie odpowiedziała, patrzyła na mnie, ale nie byłem pewny, czy mnie słyszy.

– Żywi się szaleństwem, najpierw w małych dawkach z dziecięcych umysłów – kontynuowałem. – Później, kiedy staje się silniejsze, jest w stanie wywołać większe szaleństwo, coraz większe absurdy także w świecie dorosłych.

Milczeliśmy. Chciałem sobie obgryźć kawałek paznokcia, ale wszystkie palce miałem już obgryzione prawie do kości.

– Dlaczego akurat mróz? – kręcił głową Ota, jakby chciał poskładać wszystko w logiczną całość. Wiedziałem, że to daremne, że to nie są żadne puzzle, w których każdy kawałek do czegoś pasuje, a kiedy człowiek się postara, wszystkie części stworzą sensowy obrazek. Nawet zwyczajne życie jest jak dwadzieścia różnych kompletów układanek wysypanych na jedną kupkę i jest przynajmniej prawdopodobne, że kawałków będzie albo za dużo, albo za mało. To było tysiąc razy gorsze. Szukanie sensu, świętego Graala rozumu było misją skazaną na porażkę. I to właśnie chciałem powiedzieć, ale Hana mnie uprzedziła.

– To nie ma znaczenia, rozumiesz? – syknęła. – Obojętne, czy to duch, demon, zmora, wirus z kosmosu... Cokolwiek to jest, niczego, absolutnie niczego to nie zmienia.

– Wszelkie wyjaśnienia są gównie ważne. Ale to dotyczy wszystkiego, co jest naprawdę istotne – uśmiechnąłem się złośliwie. – Jeśli chcesz snuć domysły, możemy to robić w zakochaną nieskończoność. Może temu czemuś trzydziestostopniowy mróz przypomina klimat albo świat, z którego pochodzi. Można wymyślić cokolwiek, istotne jest jednak to, że to coś na nas poluje – uzupełniłem.

– Może naprawdę przedawkował... – Ota próbował zaprzeczyć temu, co właśnie zobaczył. To zupełnie normalne, czytałem gdzieś, że robimy to wszyscy, codziennie.

– Umarł ze strachu – powiedziałem mu prosto w jasnoniebieskie oczy. Wiedziałem, że mam rację, od razu było to dla mnie jasne jak słońce – śmierć ze strachu zostawia podobne ślady jak śmierć w wyniku przedawkowania. Wielu narkomanów w rzeczywistości umiera z przerażenia, gdy ich umysły otworzą się na obce światy.

Zakręciło mi się w głowie. Chwilowa ostrość umysłu wywołana kolejnym atakiem szaleństwa zbierała swoje żniwo.

Hana ziewnęła, ogarnęło nas potworne zmęczenie. Musiałem nieźle się postarać, żeby z wyczerpania nie zasnąć tu, na środku kuchni. Z trudem wstałem, pożegnałem się szybko i poczłapałem do domu. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia, nie mieliśmy siły. Kiedy wychodziłem, przyszło mi do głowy, że w przypadku Oty i Hany jest tak samo. Nie wyjadą z Małych Tatr, bo nie są w stanie. Życie zaszczuło ich i wycieńczyło, nie mają dokąd wyjechać, nie dadzą rady się z tego wypłatać. Zostaną tu, na starych śmieciach, dopóki coś ich nie wykończy.

SZYB

I.

OBUDZIŁ MNIE DZWONEK TELEFONU leżącego obok materaca. W półśnie wyciągnąłem po niego rękę i przyłożyłem do ucha.

– Halo – wymamrotałem suchymi ustami.

– Pan Karsky? – odezwał się kobiecy głos.

Rozlepiłem powieki, powróciła mi świadomość i wspomnienia, wczorajszy dzień znów powalił mnie jak stukilowy młot.

– Tak, kto mówi?

– Doktor Novicka, Dom Spokojnej Starości *Nadzieja* – rzuciła prędko, jakby jak najszybciej chciała przejść do meritum. – Mam dla pana złą wiadomość.

Od razu wiedziałem, o co chodzi, telefon aż ochłodził się od jej głosu, przeszedł mnie dreszcz.

– Pański ojciec zmarł dzisiejszej nocy.

Zacisnąłem powieki, nagle znalazłem się w pustce.

– Przez ostatnie dni był bardzo niespokojny, przestał jeść, miał ataki paniki – wyjaśniała. Każde słowo słyszałem tak wyraźnie, jakby ktoś zamontował mi w iPhone jakąś najnowszą technologię, idealnie wygładzającą każdą głoskę.

– Odszedł nad ranem, serce nie wytrzymało, stało się to nagle, nie cierpiał.

Ostre, kanciaste słowa cięły mi ucho, policzki i mózg. Nadal tkwiłem zawieszony w próżni, nie wiedziałem, którą opcję wybrać uczucia we mnie zamarły.

Mam odczuwać smutek czy radość? – przemykało mi za powiekami.

Całe dzieciństwo czekałem na tę chwilę, na takie słowa, a nawet w głębi serca marzyłem o nich. Zwłaszcza w nocy, kiedy nie mogłem zasnąć i wydawało mi się, że z kąta dobiega do mnie słaby oddech Alicy (za każdy razem, kiedy włączałem światło, stało tam tylko puste, zimne łóżko).

– Dziękuję – wymamrotałem.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – powiedziała lekarka, wzięła oddech i mówiła dalej: – Wie pan, powinniśmy omówić kwestie związane z pogrzebem. Mógłby pan przyjść? Muszę wiedzieć...

Rozłączyłem się i odłożyłem telefon z powrotem na podłogę. Zaczęły mi się trząść ręce. W głowie miałem szum, a przed oczami przeskakiwały przebliski twarzy ojca. Na niektórych się śmiał, w innych bluzgał.

Rodzinna wycieczka do zamku Likawa, zjeżdżanie na sankach z Malinowej Grani, nagrywanie moich urodzin...

Przetarłem twarz i wstałem. Podeszedłem do szafek (biały ślad po naklejce z dzieciństwa), wziąłem szklankę i nalałem wodę. Kiedy unosiłem ją do ust, wyslizgnęła mi się z palców, spadła na podłogę i rozbiła się. Stałem bosy w zimnej kałuży, bałem się poruszyć, wszędzie były kawałki szkła. Pociągnąłem nosem, wytarłem oczy, zaskoczyło mnie, że na palcach poczułem łzy.

Zatrzęśły mi się ramiona, był to lekki ruch, ale zakończony wybuchem. Coś we mnie pękło – rozpłakałem się, zataczałem się od spazmów, a pod stopami pluskała mi woda. Część mojej świadomości pozostawała jednak opanowana i patrzyła na to z obrzydzeniem, takich cyrków nie odstawiałem nawet, kiedy zmarła matka.

– Dobrze ci tak, świniu jedna – przeklinałem ojca między jednym spazmem a drugim, ale te wyzwiska nie zmniejszyły żalu, który mnie ogarnął.

Atak trwał kilka minut, zakończył się tak samo nagle, jak nadszedł. Wytarłem łzy i smarki, wyprostowałem się i złapałem oddech.

Czy ojca zabiła zmora, dopadła go? – przyszło mi do głowy. Zabiła, ale w inny sposób niż Bohusza. Wykończyła go niezagojona rana, którą otworzyła moja wizyta. Wypłynęły z niej gnijące wspomnienia, dostały się do krwi, zmarł na zatrucie duszy.

Schyliłem się, żeby pozbierać mokre szkło. Chręściło mi w dłoniach, kłuło i cięło. Podeszedłem do kosza na śmieci i wy sypałem do niego wspomnienia o ojcu. Kiedy tylko to zrobiłem, poczułem się lepiej, łatwiej mi było złapać oddech.

Zabrałem się za wycieranie podłogi, kończyłem, kiedy znów zadzwonił telefon. To na pewno ktoś z domu starców, nie dadzą człowiekowi odsapnąć. Trzeba zająć się pogrzebem, do tej pory nawet o tym nie myślałem.

– Słucham – odezwałem się.

– Znalazłem coś – oznajmił męski głos.

– Proszę? – nie rozumiałem.

– Muzeum Liptowskie, coś dla was znalazłem – powiedział historyk.

– Aha – przytaknałem i zakryłem dłonią białą plamkę na szafce.

– Kiedy przyjdziecie? Dobrze by było jak najszybciej, najlepiej teraz, załatwmy to od razu.

– W porządku – zgodziłem się.

– Przyjdziecie? – powiedział zaskoczony. Chyba nie zdarzało mu się zbyt często, żeby ktoś traktował go poważnie.

– Tak – zapewniłem i rozłączyłem się.

Skończyłem wycierać podłogę, usiadłem przy zakurzonej stole kuchennym (setki rodzinnych kolacji – mama, tata, Alica i ja) i zapatrzyłem

się na puste krzesła. W pokoju było cicho, wskazówki ściennego zegara już dawno nie odliczały czasu, wyłączone radio obserwowało mnie owadziimi oczami głośników.

Trzeba zorganizować pogrzeb.

Zadzwonił historyk z muzeum, obiecałem mu, że przyjdę.

Dwa zadania, ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, które z nich jest ważniejsze.

Wstałem, ubrałem się i ruszyłem do muzeum. Znów uciekałem, z niektórymi sprawami nie potrafiłem stanąć oko w oko.

II.

OSIEDLE BYŁO JESZCZE BARDZIEJ OPUSTOSZAŁE NIŻ ZWYKLE, zauważyłem kilka wyjeżdżających rodzin. Kto mógł, ten uciekał. Kręcili się tu tylko przemarznięci policjanci, dziennikarze i dwie-trzy ekipy telewizyjne.

Słusznie zakładałem, że sensacja potrwa jeszcze góra dwa dni, a potem wszystko odejdzie w zapomnienie – Janko, małe Kliszówny i Bohusz rozplyną się jak dym, nikogo nie będą już interesować.

Sens egzystencji Bohusza, finał ponad trzydziestu lat życia, prób i porażek – krótka informacja w wieczornym wydaniu wiadomości w telewizji Markiza, w lepszym wypadku także na Jojce.

Dwie minuty na ekranie, a później nic, tylko cisza i niebyt.

Od podobnych absurdów kręciło mi się w głowie – nie wiedziałem, czy to przez tę zmore, czy przez tak zwane życie codzienne – ciągle unosiłem się nad swoją głową i obserwowałem każdy swój ruch. Doczołgałem się do muzeum, nie pamiętałem za bardzo, jak przebyłem tę drogę, z szumu wyłaniało się tylko kilka przebłysków.

– Przyszedł pan sam? – zapytał historyk. W jego głosie brzmiało rozczarowanie.

– Koleżanka dziś nie mogła – odburknąłem. Koleżanka – tak ojciec nazywał Hanę, kiedy chciał mi dopiec.

Gdzie jest twoja koleżanka? Może z Bohuszem.

Przemknęła przeze mnie chęć zadzwonienia do niej, chciałem usłyszeć jej głos i upewnić się, że wszystko z nią w porządku.

Może jest z Bohuszem.

– Chodźmy do archiwum – zarządził historyk ośmielony niedawnym sukcesem w wydawaniu poleceń.

Wprowadził mnie do olbrzymiej biblioteki. Długo tam nie zabawiliśmy, przeszliśmy wzdłuż kilkumetrowych regałów zawalonych książkami i po skrzypiących drewnianych schodach zeszliśmy do piwnicy.

Młodzieńcowi opadły ramiona, opuścił go cały entuzjazm.

– Julius Kürti, zbierał wiele interesujących rzeczy. Właściwie zbierał wszystko – wyjaśniał mi przez ramię.

– Kto?

Zatrzymał się i rzucił mi spojrzenie, jakby przyłapał mnie na czymś haniebnym. Pokręcił głową, naprawdę nie miałem pojęcia, kim był Julius Kürti.

Facet zrozumiał, że nie próbuję go skołować.

– Założyciel muzeum i jego wieloletni zarządca – wyjaśnił mi z uniesionymi brwiami. Miał mnie za totalnego głupka. Chciałbym zobaczyć, jak błyskotliwy byłby na moim miejscu – wczoraj umarł Bohusz, dziś ojciec; kto wie, co przyniosą najbliższe godziny.

– Kürti zbierał absolutnie wszystko – kontynuował swój wykład. – Wiele eksponatów pochodzi z jego czasów, czyli z pierwszych trzech dekad

XX wieku.

– Rozumiem – powiedziałem, ale było mi to całkowicie obojętne.

– Kiedy wspomniał pan, że interesuje was coś dziwnego i niezwykłego, co dotyczy zimy w 1929 roku, coś mi się przypomniało – poprawił sobie okulary. – Sam Kürti używał tego słowa: dziwne. Kiedy katalogował dziennik Hradskiego, na karcie inwentaryzacyjnej napisał, że treść jest dziwna.

– Jaki dziennik?

– Prowadził go Juraj Hradsky, żył na początku ubiegłego wieku. Specyficzna postać. Archeolog–amator, entuzjasta historii bez wykształcenia, tacy są najgorsi – dopowiedział i spojrzał na mnie. – Kiedy w 1912 roku powstało Stowarzyszenie Muzeum Liptowskiego, Hradsky starał się o członkostwo. Odmówiono mu, bo pracował jako księgowy w fabryce włókienniczej Mautnera, ale nie poddawał się...

Zamilkł, otworzył drzwi z napisem *Archiwum* i wszedł do środka. Szedłem za nim, wokół panował półmrok. Pomiedzy regałami pełnymi starych książek, gazet i druków ciągnęły się wąskie korytarzyki. Poczulem stęchliznę, książkom z pewnością nie było tu najlepiej, niektóre gniły i rozpadały się.

– Piękne archiwum – wymamrotałem.

– Lepszych pomieszczeń nie mamy – odwarknął. Chyba nie przepadał za mną, pewnie w myślach przypiął mi kartę inwentaryzacyjną z napisem *Dziwny*.

Doszliśmy do stolika pod oknem. Szyba była zamarznięta i zaśnieżona, przenikało przez nią tylko kilka matowych promieni.

– Tutaj jest dziennik – wskazał na czarny notatnik z wytartą okładką.

Sięgnąłem po niego, ale historyk mnie ubiegł.

– Oryginału oczywiście panu nie dam – ostudził mój entuzjazm. – Skserowałem wszystko, co dotyczyło zimny 1929 roku, nie powiem, chwilę mi to zajęło.

Obok dziennika leżał stos papierów. Wziął je, postukał nimi w stół, żeby je wyrównać, i podał mi. – Trochę się przy tym napracowałem – dodał.

Było jasne, że dla mnie tego nie zrobił.

– Dziękuję – uśmiechnąłem się. Wszystko wokół mnie wirowało, czułem się jak w delirium.

– Nikt tego jakoś specjalnie nie studiował, nie wiem, co tam właściwie jest – pochylił głowę. – Wątpię, czy wam to pomoże.

– Zobaczymy – odpowiedziałem spokojniejszym tonem.

Przeszedł obok mnie i ruszył w stronę wyjścia.

– Hradsky zakłócał poważną pracę, w Stowarzyszeniu Muzeum Liptowskiego go nie lubili – robił mi wykład. – Popsuł kilka badań, narobił trochę bałaganu. Kiedy usłyszał o jakimś znalezisku archeologicznym albo o starym grodzie, szedł i wszystko tam rozkopywał, nie patrzył na nic, nie przestrzegał procedur.

– Rozumiem.

– Na większość wypraw chodził sam, łaził po grodach, penetrował jaskinie, po prostu głupi amator, który narobił więcej szkody niż pożytku.

Dotarliśmy do drewnianych schodów, ich skrzypienie brzmiało podobnie jak wykład historyka.

– W końcu go to zgubiło. Zniknął, pewnie gdzieś się przekreślił, nikt za nim za bardzo nie tęsknił. Myślę, że stało się to właśnie z początkiem 1929 roku, pewnie zamarzył gdzieś w lesie.

– Jak znalazł się tu ten dziennik? – nie dawało mi to spokoju.

– Hradsky wszystko przekazał muzeum, wszystko, co po nim zostało. Sporo się tego nazbierało, zwłaszcza bezwartościowe artefakty. Kürti był jednak starym pocziwcem i nie miał serca tego wyrzucić, przedmioty kolekcjonerskie i rzeczy osobiste umieścił więc w depozycie.

– Dlatego nikt nie interesował się dziennikiem...

– Dokładnie tak – przytaknął. Kürti z pewnością pobieżnie go przejrzał, znalazł tam jakieś brednie, a jako że Hradsky miał opinię półwariata, nawet go to nie zaskoczyło. Uznał dziennik za dziwny i umieścił w archiwum. Z czasem o nim zapomniał, mamy tu ponad sto tysięcy przedmiotów, nikt nie zna wszystkich.

– Ma pan świetną pamięć – rzuciłem, ciesząc się, że za chwilę stąd wyjdę.

– Przypadek – machnął ręką. – Inwentaryzując, muszę czytać wszystkie karty.

Pożegnaliśmy się (obu nam ulżyło), nagle znalazłem się na kamiennych schodach przed muzeum.

Po co tu właściwie przyszedłem? Po co tu jestem? – wirowało mi w głowie. Pod pachą ścisnąłem stos papierów, które wydawały mi się zupełnie niepotrzebne.

Naprawdę chcę to czytać?

Wszystkie wyjaśnienia są gównem warte.

Przez chwilę stałem niezdecydowany, czułem się zagubiony i zdezorientowany. Myśli i odczucia wybuchały we mnie jak sztuczne ognie w sylwestrową noc, a nogi trzęsły się.

Panie Karsky, pański ojciec zmarł dziś w nocy.

Stałbym tam do wieczora, ale doskwierał mi mróz. Wydało mi się, że jest jeszcze bardziej siarczysty, zimno szybko pokonało kurtkę i kilka warstw ubrań, przeniknęło do skóry i głębiej – aż do wnętrzości.

III.

RUSZYŁEM DO DOMU. Kiedy doczłapałem na miejsce, panował mrok. Otworzyłem drzwi i rzuciłem się do kaloryfera, miałem wrażenie, że za sekundę odpadną mi palce u rąk, u nóg, uszy i koniuszek nosa. Kartki rzuciłem na stół, nie chciało mi się tego czytać, nie chciało mi się zupełnie nic. Z każdego kąta mieszkania tłoczyły się na mnie wspomnienia, które bezgłośnie znikwały w ciemności, nie spadając na żadną powierzchnię i nie zostawiając po sobie żadnych śladów.

Zaparzyłem sobie herbatę i wypilem, póki była gorąca, zastanawiając się, co dalej.

Przypomniałem sobie *Niekończącą się opowieść*, w której krainę fantazji pochłaniała nicość. Dokładnie tak się czułem, już wiele ze mnie nie zostało.

Patrzyłem na kserokopie dziennika Hradskiego, czytanie tego byłoby zbyteczne. Żaden sens mi nie pomoże, nic się nie zmieni: z sensem czy bez niego, chaos czy porządek – to bez różnicy, ta zmora i tak w końcu pochłonie każdego.

Usiadłem i zacząłem czytać pierwszą stronę – ostatecznie świat fantazji był jednak trochę lepszy niż pustka, która jak pasożyt zżerała mnie od środka.

Czytelność pozostawiała wiele do życzenia, Hradsky pisał drobnym i pochyłym pismem, które dodatkowo miejscami było rozmazane przez kserokopiarkę. Mimowolnie przypomniiał mi się młody historyk w okularach. Kserując, z pewnością porządnie mnie zwymyślał – z kartek wprost zionęła nagromadzona złość.

Jad kapał też ze słów Hradskiego. Wystarczyło, że przeczytałem kilka linijek, a już poczułem zgorzknienie, które zatęchło pomiędzy literami.

Autor skarżył się między innymi na niewydarzoną kawiarnię w nowo otwartym domu kultury czy źle organizowane bale i zabawy karnawałowe. Właściwie uskarżał się na prawie wszystko. Przebiegłem wzrokiem wpisy z początku stycznia – interesowała mnie jedynie wzmianka o niezwyklej zimie, która zaatakowała w połowie grudnia i nie ustąpiła nawet po Bożym Narodzeniu, ba, wręcz przeciwnie, było coraz gorzej.

To coś niezwyklego, gdyż z początkiem stycznia, pogoda bywa tu deszczowa – pisał Hradsky.

Pod koniec miesiąca temperatura spadła aż do minus 28 stopni – zaznaczył kilka akapitów dalej.

Przewróciłem kartkę i zatopiłem się w lekturze zapisków z lutego.

3.2.1929

Ludzie powracający rano z zabawy zauważyli, że termometr na brzegu Wagu wskazywał minus trzydzieści stopni Celsjusza. Zima była tak ciężka, że niektóre termometry nie były nawet w stanie wskazywać temperatury – nie miały odpowiedniej skali. Rtęć kryła się w nich i pojawiała tylko na chwilę w okolicy południa.

7.2.1929

Termometr pod mostem w Rybarpolu rano o godzinie dziewiątej wskazywał minus czterdzieści jeden stopni Celsjusza. Takiego mrozu nie pamiętają nawet najstarsi mieszkańcy. Ludzie wychodzą na ulice tylko na chwilę, miasto jest niczym wymarłe. Mieszkań nie sposób ogrzać, wszyscy gromadzą się jak najbliżej pieców, gdyż już nieco dalej nie da się wytrzymać z zimna. Są ogromne braki opału, nie można dostać węgla ani koksu, drewna jest bardzo mało. Pociągi ze względu na zamarznięte tory wysyłane są z połową albo jedną czwartą ładowności i jeżdżą powoli, żeby się nie wykoleić.

11.2.1929

Do katastrofalnej sytuacji dołączyła epidemia podobna do hiszpanki, która dosięgła większość ludności. Przebieg choroby bywa wprawdzie lekki, ale w Żylinie odnotowano także przypadki śmiertelne. Ogrzanie pomieszczeń szkolnych jest niemożliwe. Również ze względu na epidemię wszystkie szkoły są zamknięte aż do odwołania. Zima zbiera żniwo w różnej postaci. Gospodarz w Jelencach polecił pachołkowi rozpalić w oborze, żeby bydło i trzoda nie popadały. Młodzieniec rozpałił ogień w jakimś otwartym naczyniu i ułożył się na spoczynek. Tlenek węgla do rana zdążył go zadusić, a zwierzęta pozamarzały. W Rybarpolu zniknęło jakieś dziecko, zapewne zabłądziło gdzieś w pobliskim lesie i zmarzło.

Wyprostowałem się i rozciągnąłem zeszywniały kręgosłup. Pobołęwało mnie gardło, a oczy szczypały od mrużenia ich nad papierami. Ze wszystkich sił próbowałem skupić się nad splątanymi literami – jedynym murze obronnym przed białą pustką. Do tej pory nie odniosłem wrażenia, że Hradsky był wariatem. Po prostu zapisywał wszystko, co zobaczył albo usłyszał. Wzmianka o zaginionym dziecku zadudniła mi w głowie jak pierwsza oznaka budzącego się szaleństwa. Dobrze to znałem – wszystko sprawia wrażenie normalności, ale pędy obłądu już wiją się dyskretnie, szumiąc cichutko.

Następna notatka była jak uderzenie ciężkim młotem. Nagle wszystko stało się jasne, czarno na białym. Mur obronny przemienił się w więzienie z przeplatających się pajęczych słów, znalazłem się w atramentowej klatce, z której nie było ucieczki.

14.2.1929

W robotniczej kolonii za zakładami Mautnera zniknęło kolejne dziecko. To już drugie zaginięcie w ciągu kilku dni, dlatego mężczyźni zorganizowali

poszukiwania. Przeczesali najbliższy las i podnóża Czebrata. Nikogo nie znaleźli, ale podobno odkryli sporo śladów wo kół Gawroniego. Wzmianka o tym miejscu nie zaskoczyła mnie – od kiedy pracuję w fabryce, słyszę o nim od tutejszych robotników same cudaczne bajdy. Obawiam się jednak, żeby przez te opowieści ktoś za bardzo się tym nie zainteresował i nie znalazł tego, com wykopał zeszłego lata. Wszystko musi zostać ukryte, dopóki nie zorganizuję funduszy na porządne prace badawcze. Do tego czasu o znalezisku milczę, nikomu ani słowa.

Przetarłem oczy, wstałem i zapaliłem światło. Dopiero kiedy zaświeciła się żarówka, uświadomiłem sobie, że w kuchni zapanował półmrok. Nic dziwnego, że bołą mnie oczy, za oknami palce rozprostowała już gęstniejąca ciemność.

Gawronie – wypłynęło mi z ust. Nigdy nie słyszałem takiej nazwy. To będzie gdzieś na Czebracie, tylko gdzie?

Jeszcze raz przeczytałem notatkę.

Do tego czasu o znalezisku milczę – stało na papierze.

O jakim znalezisku? Co Hradsky tam wykopał?

Przypomniałem sobie, jak młody historyk opowiadał o nieprzyjaznych stosunkach Hradskiego z miejscowym środowiskiem muzealnym. Może znalazł coś w lesie na wzgórzu, planował zbadać to na własną rękę i nie chciał, żeby pozostali archeolodzy sprzątnęli mu zdobycz sprzed nosa.

Spojrzałem na kolejny wpis, serce znów mi podskoczyło. Hradsky nie powstrzymał się, narcyzm zwyciężył – pochwalił się przynajmniej dziennikowi. Nierówne pismo wskazywało na to, że rozpiął się tak pod wpływem impulsu, nie panował nad sobą.

Gawronie to tutejsza nazwa zalesionej łąki pomiędzy Przednim i Tylnym Czebratem, miejscowi zwykli mawiać: na Gawronim. Znajduje się tam

gęsta pokrywa świerkowa, teren jest frapująco równy i rozległy. Gawronie leży na wysokości dziewięciuset metrów nad poziomem morza, nieopodal szczytu. Cieszy się złą sławą. Kiedy miejscowi chodzą do lasu po drewno albo na grzyby, omijają je. Powodu nie poznałem. Najstarsi mieszkańcy wspominają, że między drzewami stały kiedyś resztki murów. Kilku robotników przyniosło mi skorupy, na które się tam natknęli. Wiedzą, że zajmuję się historią i nie mają mnie za głupca, jak te ważniaki z kółka muzealnego.

Skorupy zaciekały mnie, bo pochodzą z dwóch różnych okresów. Te nowsze są z wczesnej epoki nowożytnej. Na podstawie zdobień datuję je na siedemnasty wiek. Dlaczego poniewierają się tak głęboko w lesie? Przyszło mi do głowy pewne dziwne powiązanie. Czy nie mają one aby związku ze znanymi wydarzeniami z zimy 1678 roku, o których mówią miejscowe archiwa? Rybarpole było wówczas samodzielną osadą rybacką z niespełną setką mieszkańców. Na wieść, że zbliżają się grabieżcze wojska powstańcze Imrego Tököly, wielu wieśniaków postanowiło ukryć się w lasach. Nie wiadomo, co się tam wydarzyło, ale nigdy nie powrócili. Osada opustoszała na wiele dekad. Uciekinierzy zapewne przegrali z siarczystym mrozem, uciekli gdzieś na Orawę albo dopadli ich i zgładzili żołdacy – w tym samym czasie tylko kawałek stąd, w Kasztelu św. Zofii, bestialsko zmasakrowali dwie setki żołnierzy cesarskich i czterdziestu pachołków.

Obracając w palcach fragmenty starej ceramiki – według robotników na Gawronim zalegają setki takich resztek – nie mogłem wyzbyć się wrażenia, że mają one związek właśnie z tym wydarzeniem. Czy na łące stała fortyfikacja otoczona murem? Jeszcze ciekawsze były jednak te starsze łupy – od razu rozpoznałem, że pochodzą ze starożytności. Na podstawie zdobień oraz sposobu wykonania datowałem je na środkowy okres lateński, czyli drugi albo trzeci wiek przed Chrystusem. Znalezione mnie nie

zaskoczyło, w końcu dawne osady i obwarowania stały na prawie wszystkich okolicznych wzniesieniach. Na nieodległym Mnichu odkryto cały system prehistorycznych fortyfikacji i wałów, z pewnością było tam kilka osad. Za Tylnym Czebratem kopacze z towarzystwa muzealnego natrafili na pozostałości po grodzie obronnym z wczesnej epoki żelaza. Na północnej stronie Czebrata, nieopodal Zamku Likawa, odkryli zaś siedlisko kultury puchowskiej.

Równina pod szczytem Czebrata jest wprost stworzona do zasiedlenia. U podnóży wzgórza wiódł ważny szlak handlowy, przepływa tędy Wag, zbocze skierowane jest na północny wschód – optymalne umiejscowienie.

Przez to całe Gawronie nie mogłem spać. Co jeśli naprawdę tam coś było? Starożytna posiadłość lub osada, kto wie, co skrywa ta ziemia pod leśną trawą. Czy w końcu znajdę tam coś wielkiego? Pochodzenie słowa Czebrat nie jest jasne, ale według profesora Mikuleckiego w języku staroawarskim oznacza wieżę obronną lub umocnienia. Podobna nazwa pojawia się na Słowacji jeszcze w jednym zaledwie przypadku – w nazwie góry Czabrad pośrodku Pogórza Krupińskiego, gdzie po dziś dzień stoją ruiny prastarego grodu.

Nikomui nie powiedziałem o swoich podejrzeniach. Wielcy panowie uczeni sprzątnęliby mi wszystko sprzed nosa, znów chęliby się cudzymi osiągnięciami. Początkiem lipca, pod przysięgą zachowania milczenia, zapłaciłem dwóm młodzieńcom z Rybarpola i wybraliśmy się tam razem, żeby zbadać to miejsce. Wystarczyło kilka wykopów sondażowych – i natrafiliśmy na coś, o czym nawet nie śniłem. Nie wierzyłem własnym oczom, od razu zrozumiałem, dlaczego Gawronie cieszy się taką niesławą. Odkryliśmy....

Ciszę w kuchni przeciął dzwonek telefonu.

– Cholera jasna – bluznąłem i spojrzałem na rozświetlony ekran.

Dzwoniła Hana. Najchętniej odrzuciłbym to połączenie (Odkryliśmy...), już prawie wyprostowałem palec, ale zamiast tego wziąłem iPhone do ręki i odebrałem.

– Cześć, co nowego? – odezwała się cichym, przygaszonym głosem.

Wszystko w porządku, jedynie umarł mi ojciec – przyszło mi do głowy.

– Nic, nie musisz się martwić – zapewniłem ją.

Przez chwilę milczała, nawet na odległość poczułem, że jej ulżyło. Przerazała ją wizja kolejnych złych wiadomości, nie miałem sumienia dokładać jej kolejnych zmartwień, rozsypałyby się jak domek z kart.

– Co robisz? – zapytała. W jej głośnie zabrzmiała tęsknota za normalnością, która jak cienka warstwa farby pokryłaby wszystko, co zobaczyła w ostatnim czasie.

Spojrzałem na stos kartek z zapiskami wariata.

Odkryliśmy...

– Nic specjalnego, powoli zbieram się do kupy.

– Rano oglądałam wiadomości.

– Daj sobie z tym spokój, puszczają same...

– Nie o Bohuszu – przerwała. – Oglądałam prognozę pogody.

– Aha...

– Ma się ocieplić – szepnęła i pociągnęła nosem.

Tylko nie miej złudzeń, przede wszystkim, na Boga, nie miej żadnych złudzeń – miałem ochotę wykrzyczeć.

– Jutro dotrze tu ciepły front, temperatury zaczną rosnąć...

– To świetnie – wyrzuciłem z siebie i zamilkłem. Bronilem się ze wszystkich sił, jednak w klatce piersiowej czułem rozlewającą się ulgę.

– Ale dziś wieczorem i w nocy nadejdą najsilniejsze mrozy – dodała. – Zbliżający się ciepły front będzie poprzedzony prądem arktycznego powietrza czy czegoś w tym rodzaju.

– Wystarczy więc wytrzymać do jutra i...

– Boję się – głos jej zadrżał. – Możesz mi się pokazać?

– Co?

– Nie widzę cię, pokażesz mi się?

Przetarłem dłonią czoło. Nie byłem w stanie logicznie myśleć. Komórkę trzymałem przy uchu, zupełnie zapomniałem, że możemy się zobaczyć.

Odsunąłem rękę i spojrzałem na ekran.

Wyglądała koszmarnie – podkrążone oczy, blade ściśnięte usta, od czasu do czasu drgała jej powieka.

– Boże, jak ty wyglądasz – stwierdziła, kiedy mnie zobaczyła. – Spałeś w ogóle?

– Tak, spałem, wszystko ze mną dobrze, naprawdę.

– No, nie powiedziałabym – zwątpiła. – Naprawdę nie przydarzyło ci się nic nowego?

– Naprawdę – przytaknąłem i wytarłem załzawione oczy.

Kiedy indziej nie dałaby się tak łatwo oszukać, na pewno nalegałaby i wszystko by ze mnie wyciągnęła, ale tym razem zamrugła zmęczonymi oczami i zapatrzyła się w podłogę.

Nagle podniosła wzrok i wbiła go we mnie:

– Szperałam trochę w Internecie.

– Boże, nie wygłupiaj się, daj sobie z tym spokój!

Nie chcę już żadnych kolejnych informacji, nie dręcz mnie!

– Szukałam przypadków dziwnych śmierci związanych z mrozem – kontynuowała, jakby mnie nie usłyszała.

– Hana, proszę cię, ja... – dukałem.

– Słyszałeś o Przełęczy Diatłowa?

– Nie słyszałem i nie chcę słyszeć, teraz muszę...

– Luty 1959 roku w Rosji. Dziewięciu studentów z kółka wspinaczkowego wybrało się na wyprawę. Wszyscy byli wytrenowani na podobne trasy, świetni studenci politechniki w Jekaterynburgu. Chcieli wejść na jakiś szczyt na Uralu. Wszystko szczegółowo zapisywali i fotografowali.

Najlepszym rozwiązaniem byłoby rozłączyć się, ale nawet na to nie miałem siły. Siedziałem otępiały, patrzyłem na coraz bardziej przestraszoną Hanę i słuchałem słów, które bezlitośnie we mnie wbijała.

– W trakcie wspinaczki zboczyli z trasy i postanowili przenocować na zboczu masywu Chołatczachl, czyli *Martwej Góry*. Zrobili zdjęcia, jak rozbijają obozowisko, w dzienniku zapisali, że temperatura spadła poniżej trzydziestu stopni, zjedli kolację i... potem coś się stało...

Zadrżała jej powieka, musiała przytrzymać ją palcem. Zaraziła mnie strachem, siedziałem bez ruchu i słuchałem.

– Wyprawa ratownicza znalazła ich dwa tygodnie później, wszyscy byli martwi.

– Przestań – wycharczałem. – Nie możemy badać każdej historyjki, ludzie w górach umierają, zwłaszcza w zimie...

– Większość z nich była naga albo tylko w bieliźnie – przerwała mi.

– W panice uciekli z namiotu, nie zdążyli się nawet ubrać, zostawili jedzenie, sprzęt, buty i odzież. Coś musiało ich okrutnie przerazić, bo w namiocie wycięli dziury, przez które się wydostali. Coś zablokowało wejście albo przedostało się do środka. Potrafisz wyobrazić sobie ten strach? Dobrze wiedzieli, że na zewnątrz jest trzydziestostopniowy mróz, który szybko ich zabije, ale woleli to, niż walczyć z tym czymś.

– Mogli zaatakować ich ludzie albo jakieś zwierzę – próbowałem wypłynąć na powierzchnię poczytalności.

– W śniegu znaleziono tylko ślady studentów. Pobiegli do pobliskiego lasu. Tam ratownicy znaleźli dwóch martwych. Zamarzli, leżeli pod drzewem, cali poobcierani, bo próbowali się na nie wdrapać. Jeden miał pogryzione ręce. Prawdopodobnie do ostatniej chwili trzymał się pnia albo gałęzi i powoli zamarzając, gryzł mięśnie, żeby przywrócić im czucie, ale spadł do tego czegoś, co było pod drzewem.

– Zwykła kaczką dziennikarska, Internet jest tego pełny, nie wierz w każdą bzdurę o duchach, którą przeczytasz.

– To nie żadna kaczką – rzuciła. – Umiem rozpoznać ściemę, jak chcesz, to sobie to sprawdź. Ta przełącz do dziś nosi nazwę na cześć Diatłowa – przewodnika wyprawy, stoi tam pomnik, w Internecie można znaleźć dokumentację śledztwa, dziesiątki zdjęć, w Rosji to bardzo znana sprawa.

– W porządku – dopuściłem taką możliwość. – Co to ma wspólnego z nami?

– Kolejne trzy ciała były rozrzucone między lasem i namiotem. Jedno miało pękniętą czaszkę, ale wszyscy zmarli z wychłodzenia. Według śledczych, krążyli na powierzchni około jednego kilometra kwadratowego, jakby zabłądzili, chodzili w kółko, aż zamarzli. Przeważnie w pozycjach wskazujących na niewyobrażalny strach albo próbę obrony przed czymś. Dostrzegasz jakąś analogię?

Tysiące szaleńczo rozproszonych śladów...

Alica bezmyślnie błądząca po zaśnieżonej polanie aż do ostatecznej utraty sił.

– Przecież była noc, marzli, mogli pobłądzić.

– Pozostałych czterech znaleziono dopiero dwa miesiące później. Leżeli w zaśnieżonej szczelinie. Zapewne przeżyli trochę dłużej, bo mieli na sobie resztki ubrań po nieżyjących kolegach. Próbowali rozpalić ogień, ale chyba przez to przyciągnęli to coś...

Zamilkła, czoło jej błyszczało, to przerażające zdarzenie głęboko w niej utkwilo.

– Umarli na rozległe obrażenia wewnętrzne – złapała oddech i kontynuowała. – Połamane żebra, rozdarte organy, zmiażdżona czaszka, a przy tym nie mieli żadnych zewnętrznych śladów po uderzeniach.

Przełknąłem ślinę, z telefonu tłoczyły się kolejne słowa.

– Każdemu czegoś brakowało – oczu, języka albo większej części twarzy. Pozostałe tkanki miękkie były nienaruszone, więc to nie były ugryzienia zwierząt. W oficjalnej informacji zamieszczono opinię lekarską, że obrażenia wewnętrzne przypominają te spowodowane potrąceniem przez samochód i z pewnością nie jest to dzieło człowieka.

– Brakowało im fragmentów twarzy – wyjąkałem. Przed takim podobieństwem nie można było uciec, nie było dokąd.

– To nie wszystko – Hana zastukała paznokciami w stół. – Ta sprawa jest naprawdę niesamowita. Zwłoki miały posiwiałe włosy, stwierdzono na nich podniesiony poziom napromieniowania. W opuszczonym namiocie znaleziono kawałki ubrań i przedmioty nienależące do nikogo z wyprawy. Ostatnie zdjęcia z aparatów są dziwne, całkowicie irracjonalne.

Milczałem, miałem sucho w ustach, nie potrafiłem na szybko strawić tych informacji.

– W okolicy tej góry podobno w czasie ciężkich zim widać zieloną łunę, którą interesowali się już meteorolodzy i wojsko. Sprawdzalam to na Google Earth. Chołatczachl ma 1079 metrów.

Nie rozumiałem, do czego nawiązuje.

– Czebrat ma 1054 metry. Oba szczyty położone są mniej więcej w tej samej szerokości geograficznej.

Zakaszałem i kilka razy przełknąłem na sucho.

– Myślisz, że to ma jakiś związek? Że to coś wybiera sobie podobne położenie i pogodę?

– Nie wiem – pokręciła głową. – To wszystko jest dziwne i absurdalne, nie wierzę w to, ciągle w to nie wierzę, ale...

Rozumiałem ją. Też nie wierzyłem ani po obejrzeniu kasety ojca, ani nagrania z kamery Bohusza. Rozum nie chce uwierzyć, ale te rzeczy miały miejsce i właśnie to wywoływało śmiertelne zmęczenie. Gdzieś czytałem, że takie wewnętrzne rozdarcie może człowieka zabić.

– Znalazłam więcej takich przypadków. Plemiona eskimoskie wierzą, że w czasie siarczystych mrozów zielone światło zstępuje z nieba z przeraźliwym hukiem i zabiera im dzieci oraz postawnych mężczyzn. W czasie zim w latach 1943 i 1945 podobno samemu tylko plemieniu Aivilik porwało dziesiątki osób.

Zielona mgła, mroźna polana, huk metalowych walców, którego nie sposób wytrzymać.

Co miałem robić, co począć?

Patrzyliśmy na siebie, a między nami przelewał się strach.

Hana odwróciła wzrok, usłyszałem, że ktoś do niej podchodzi. Wyciągnęła rękę i przyciągnęła do siebie Mirkę.

– Jutro się ociepli – wyszeptała.

– Zostańcie w domu, nie wychodźcie, wystarczy przeczekać.

– Może do nas wpadniesz?

Zawahałem się, to była kusząca propozycja.

Odkryliśmy...

– Muszę się zdrzemnąć, jestem wykończony – wyjaśniłem. – Odezwe się później i przyjdę.

– Dobra – przytaknęła. – Będę czekać.

Mirka pomachała mi, obraz zniknął.

Naprawdę musiałem się zdrzemnąć, byłem nie tyle wykończony, co raczej wyciśnięty jak cytryna.

Pochyliłem się nad zapiskami Hradskiego i kontynuowałem lekturę.

Odkryliśmy starożytną świątynię, czy raczej - ofiarnisko, prawdopodobnie z okresu lateńskiego. To stąd pochodzą skorupy, które przynieśli mi robotnicy. Świątynia z pewnością należała do osad z północnego podnóża Czebrata. Od lasu oddzielał ją mur z bramą. Miejsce kultu składało się z cmentarzyska popielnicowego i kamiennej podłogi zwieńczonej z obu stron dziurami po olbrzymich drewnianych słupach.

Moi pomocnicy na szczęście nawet nie mieli pojęcia, na co natrafiliśmy. Ogromne odkrycie, takiego kłaska się nie spodziewałem! Toć podobnych świątyń w całej Czechosłowacji udało się odkryć zaledwie kilka. Jednak radość nie trwała długo, bowiem gdy zabraliśmy się za kolejne poszukiwania, trafiliśmy na... (nieczytelne).

Ci dwaj przesądni durnie uciekli, musiałem kontynuować sam. Na szczęście dotrzymali umowy i nie wypapłali całemu miastu, cośmy odkryli. Na kamiennej posadzce w kilku warstwach poukładane były różne dary ofiarne. Wszystko wskazywało na to, że starożytni duchowni najpierw połamali je na kawałki, później spalili na cmentarzysku popielnicowym, a to, co zostało, ułożyli na posadzce. Znalazłem zwierzęce kości, zwęglone płody rolne, mnóstwo ceramiki, fragmenty naszyjników, bransoletek i spinek. W popiele leżały także elementy broni, narzędzi oraz strzępy różnych tkanin.

To nie było jednak wszystko, przez coś takiego nikt by przecież nie zwiął. Te barany uciekły z innego powodu. Ja też się przejąłem, ponadto nie uśmiechało mi się kopanie samemu w środku lasu, ale przynajmniej sprzyjała mi pogoda, tegoroczny lipiec był ciepły i słoneczny.

Na końcu posadzki znalazłem wlot do jamy ofiarnej. Najpierw sądziłem, że chodzi o szyb na śmieci. Ale kiedy tylko ujrzałem jego zawartość, zrozumiałem, że się mylę. Leżały w nim resztki co najmniej dziesięciu ludzkich ciał. Wygrzebując szkielety przypomniałem sobie stare zapiski Lucana o celtyckich ofiarach z ludzi. Podobne obyczaje panowały w tamtym czasie także w innych grupach etnicznych. Do jam czy szybów wykopanych w ziemi wrzucano ofiary dla podziemnych bóstw chtonicznych. Zatem tutejsi mieszkańcy także próbowali zjednać sobie duchy osiedlone gdzieś w głębi Czebrata. Wykorzystywali do tego jamę ofiarną, która miała służyć jako wejście do ich świata. Z ekscytacji nie mogłem złapać oddechu, to było wyjątkowe odkrycie, choć bynajmniej nie unikatowe. Archeolodzy odkryli już kilka podobnych szybów. Kiedy jednak wykopałem wszystkie kości i zabrałem się do ich badania, natrafiłem na coś dziwnego. Większość ofiar cierpiała na jakieś deformacje – ich źródłem były choroby lub źle zagojone rany. Jeden ze szkieletów miał skrzywioną żuchwę (pewnie ciężkie zapalenie), inny źle zrośniętą kość udową. Podziemnym bogom darowano więc słabszych, bezbronnych lub chorych. Gdzieś czytałem o tym zwyczaju. Nie natknąłem się natomiast w literaturze na opis odrażającego sposobu, w jaki ci nieszczęśnicy byli zabijani. Mieli roztrzaskane czaszki oraz zmiażdżone żebra, stawy i długie kości. Jakby (niewątpliwie za życia) łamano ich celowo.

Czemuż takie okrutne tortury? Słyszałem o składaniu ofiar poprzez powieszenie, spalenie, utopienie lub poderżnięcie gardła. Forma obrzędu zawsze miała związek z charakterem bóstwa. O ile mi wiadomo, tak

bestialskiego sposobu jeszcze nikt nie odnotował. Co więcej – skulone sylwetki sugerują, że do wykopu zrzucone zostały w czasie sporych mrozów. Niektórzy umarli na skutek obrażeń, inni po prostu zmarzli. Ciągle zadawałem sobie pytanie, skąd tyle okrucieństwa? Nie dawało mi to spokoju.

Roztrzaskana czaszka, zmiażdżone żebra, połamane kości – przemknęło mi przez myśl. Gdzie już to słyszałem? Co mi to przypomina?

Wyprostowałem się i odchyliłem głowę, coś strzeliło mi w plecach.

Roztrzaskana czaszka, zmiażdżone żebra, połamane kości...

Martwa rodzina jeleni na środku białej łąki... Coś je połamało i zmiażdżyło. Ale było coś jeszcze...

Słyszałeś o Przełęczy Diatłowa? – zapytała mnie Hana.

Oczywiście, brednie o dziewięciu martwych rosyjskich studentach! Ich zwłoki miały podobne obrażenia.

Brakowało im oczu, języka, nosa i innych części twarzy – jak papierowym dzieciom.

Czy to przypadek, czy też między tymi sprawami istniał jakiś niedorzeczny związek?

Nie, nie – szeptałem wysuszonymi ustami. Ten absurd przez skórę wysał ze mnie wszystkie soki.

Przyłapałem się na tym, że coraz częściej oblizuję usta.

To nie miało sensu, nic nie miało sensu.

Czemuż tyle okrucieństwa? – zastanawiał się w dzienniku Hradsky. Ofiary za życia były łamane i wrzucane do jamy ofiarnej, która służyła za wejście do świata duchów. Robiono to w zimie, podczas siarczystych mrozów, poświęcano słabsze i niepotrzebne jednostki...

Marzyłem, żeby z tych skrawków informacji nie wyłonił się żaden sens, żeby pozostały jedynie nieujarzmionym chaosem. Ale sens się wyłaniał, zbliżał się do powierzchni, odsłaniał swą obrzydliwą twarz.

Sposób składania ofiary miał związek z charakterem bóstwa, dla którego dar był przeznaczony.

Oblizalem wargi.

Starożytni duchowni składali w ofierze słabsze jednostki, gdyż mieli nadzieję, że w ten sposób zjedną sobie duchy, które nie zabiorą im dzieci i silnych mężczyzn.

Plemiona eskimoskie wierzą, że w czasie siarczystych mrozów zielone światło zstępujące z nieba ze strasliwym dudnieniem zabiera im dzieci i postawnych mężczyzn. W czasie zim w 1943 i 1945 roku podobno porwało dziesiątki ludzi – mamrotała do telefonu Hana.

Ścisnąłem sobie dłońmi głowę.

Byle tylko nie znaleźć w tym żadnego sensu!

Nieszczęśnicy byli składani jako ofiary w tak okrutny sposób, gdyż duchy, które lud chciał sobie zjednać, zabijały w taki sam sposób.

Dałbym sobie rękę uciąć, że wydłubywano im oczy, ucinano nos, uszy albo język.

Papierowe dzieci.

Duchowni wszystko naśladowali, żeby w czasie ciężkich zim uspokoić duchy osiadłe w głębi góry i uniknąć w ten sposób poważniejszych strat.

W średniowieczu na Czebracie zniknęli mieszkańcy całej osady Rybarpole...

Jama ofiarna była bramą do obcego świata. Gawronie to rozległa leśna polana pomiędzy Przednim i Tylnym Czebratem.

Nad Małą Skałą i Szalasem – przyszło mi do głowy. Tam znajduje się epicentrum i brama, stamtąd wylania się to coś i tam zabiera papierowe dzieci.

IV.

POTARŁEM BRODĘ I ZERWAŁEM SIĘ – opuszki palców miałem lodowate.

Tu nie chodzi o żadne celtyckie bóstwo ani o zjawy ze starożytnej świątyni. Wręcz przeciwnie – ofiarnia i potworności, które się tam odbywały, były jedynie sposobem, w jaki dawniej rozliczano się z tym prastarym czymś kradnącym dzieci. Wierzano w podziemne duchy, podobnie jak dziś wierzymy w pedofilów porywających małych chłopców. Jakieś dziecko zniknęło? To smutne, pewnie porwał je zboczeniec. Na pewno tak było... W ten sposób wszystko jest już załatwione, można zapomnieć, za parę miesięcy czy lat nikt nawet o tym nie wspomni. Dziś też wrzucamy wspomnienia do jam ofiarnych, żeby udobruchać duchy, i pokrywamy je warstwami kolejnych sensacji.

Byłe nie doszukiwać się żadnego sensu, celowe zapomnienie jest znacznie wygodniejsze, łatwiej się z nim żyje. Oddałbym całe królestwo za zapomnienie, ale roztrzęsione słowa wyskakujące z rękopisu Hradskiego jak drapieżne ryby, wgryzały mi się w oczy.

Wykopanie i szczegółowe przebadanie wszystkich szkieletów zajęło mi trzy tygodnie. W połowie sierpnia pogoda się popsowała, prawie bez przerwy padało. Nie mogłem kontynuować badań. Tak było chyba nawet lepiej, w końcu przyznałem przed sobą, że natrafiłem na coś wielkiego i potrzebuję pomocy. Gawronie trzeba było dokładnie przeszukać i przekopać. Samemu

nie dam rady, potrzebuję więcej spolegliwych ludzi, pieniędzy i porządných narzędzi.

Wraz z nadejściem jesieni postanowiłem przerwać badania na dobre. Ofiarnisko zakryłem grubymi deskami, które przysypałem warstwą ziemi. Postanowiłem, że przez zimę znajdę mecenasów i wszystko porządnie obmyślę. Ostatecznie wykopałem sporo artefaktów, które wymagały dokładnego przestudiowania. Zimowe miesiące były do tego wprost stworzone. Wszystko poszłoby zgodnie z planem, gdyby nie te przekłete mrozy i zaginione dzieci. Kiedy dotarła do mnie wiadomość, że robotnicy podczas poszukiwań znaleźli sporo śladów w okolicy Gawroniego, wpadłem w panikę. Czy znaleźli moje odkrycie?!

Dwie noce nie zmrużyłem oka. Co, jeśli znów sprzątną mi moją zdobycz, i to tak wspaniałą? Niepokój nie pozwolił mi zasnąć ani jasno myśleć. W czasie, kiedy ja czekam, ktoś być może zagarnia sobie wszystko, co zgodnie z prawem należy do mnie. Zżerały mnie wątpliwości, wyniszczały jak termyty, nie byłem w stanie znieść więcej niepewności. Porządnie się ubrałem i pomimo siarczystego mrozu ruszyłem na Gawronie. Musiałem sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, czy ktoś nie okrada mojej świątyni.

Był wtorek, co za przekłety dzień. Gdybym wiedział, co mnie tam spotka, dałbym sobie spokój, nawet gdyby chodziło o dziesięć świątyń. Do dziś przeklinam siebie za ten błąd, było tam...

Zacisnąłem powieki, broda opadła mi na pierś, prawie zasnąłem. Wystarczyło kilka sekund w ciemności i zacząłem zapadać się w miękką ciemność wolną od sensu, czasu i przestrzeni.

Dzwoniący telefon przywrócił mnie do świata żywych. Z trudem otworzyłem oczy, złapałem iPhone i przyłożyłem go do ucha...

– Halo – odezwałem się, ale brzmiałem beznamiętnie jak automatyczna sekretarka.

– Panie Karsky, tu Novicka z domu opieki.

Powieki znów mi się zamknęły, zanurzyłem się w ciemności.

– Nie chcę być nachalna, ale musimy załatwić sprawę pogrzebu – dobiegał do mnie głos lekarki. – Potrzebuję pańskiej zgody, chodzi tu także o kwestie finansowe, pański ojciec...

Rozłączyłem się, wystarczył jeden ruch palcem, a było to takie kojące.

Otworzyłem oczy, wstałem i niepewnym krokiem podszedłem do okna. Na zewnątrz było już ciemno, prawie całą szybę pokrywał lód. Mroźne kwiaty wiły się także wokół termometru, ale kiedy przyłożyłem dłoń do zimnego szkła, udało mi się przeczytać skalę.

Poziom rtęci spadł na minus trzydzieści dwa stopnie. Wróciłem do stołu i spojrzałem na komórkę. Zegar na ekranie pokazywał parę minut przed piątą. Zamierzałem dokończyć lekturę zapisków Hradskiego, nie chciałem znów ich odkładać. Jeszcze jedna przerwa, a nie będę miał już siły do nich wrócić. Wszystko musi poczekać, nawet pogrzeb ojca, wszystko musi chociaż chwilę poczekać. W związku z tym wyciszyłem dźwięk – zero połączeń i SMS-ów – odłożyłem iPhone na szafkę kuchenną i zabrałem się za ostatnie strony skserowanych notatek.

Zerwałem się, ubrałem się porządnie i ruszyłem na Czebrat. Maszerowałem jak oszalały, pot lał się ze mnie, ale nie zwracałem na nic uwagi, nie czułem nawet zimna. Wspiąłem się na Szałas i wzdłuż Małej Skały wchodziłem coraz wyżej. Topiłem się w śniegu, na Gawronie dotarłem dopiero dobre dwie godziny później. Nie napotkałem żywej duszy. Nic dziwnego, przy ponad trzydziestostopniowym mrozie na górę wspinałby się tylko szaleniec.

Zawahałem się, jakby przemknęło przeze mnie jakieś przeczucie. Leśna łąka wyglądała inaczej niż podczas słonecznych, letnich dni. Korony gęsto porośniętych świerków przeplatały się, gałęzie otulone zamrożonym śniegiem tworzyły naturalne zadaszenie. Pod nim rozbiegały się ciemne uliczki. Nie uśmiechało mi się wchodzenie do mroźnego labiryntu, coś podpowiadało mi, żeby odwrócić się i uciec.

Ale odwaga zwyciężyła, byłem przekonany, że ktoś ostrzy sobie zęby na mój skarb. Wkroczyłem pomiędzy drzewa i przedarłem się na północny skraj polany. Nieraz miałem wrażenie, że w bocznych uliczkach, za świerkowym murem ktoś przemyka. Ale śnieg chrząścił delikatnie, nie chodziło po nim nic ciężkiego, musiała to być jakaś drobna zwierzyna. Długo w to wierzyłem, aż do czasu, gdy późniejsze wydarzenia przekonały mnie, że nie tylko zwierzęta mają lekkie kroki. Śnieg nie chrząści także pod nogami dzieci.

Kiedy dobrnąłem do odległej północnej części, w której znajduje się świątynia, moje obawy znalazły potwierdzenie. Deski, które poukładałem nad jamą ofiarną, leżały porozrzucane! Ryknąłem ze wściekłości i doskoczyłem do ciemnego wejścia do szybu! Owionął mnie wydobywający się zeń obrzydliwy smród. Zakręciło mi się w głowie, upadłem na kolana. Nic na tym świecie tak nie śmierdzi. Czegoś podobnego doświadczyłem tylko raz w życiu – kiedy stary Drusko zabrał mnie na eksplorację nowo odkrytej jaskini w Dolinie Demianowskiej. Odwaliliśmy wielki głaz i z głębokich korytarzy buchnął w nas podobny odór.

Tak śmierdzi sześćdziesiąt milionów lat – wyszczerzył się Drusko. Miał w gruncie rzeczy słuszność, wiek jaskini później oszacowano na sześćdziesiąt – osiemdziesiąt milionów lat.

Wpatrywałem się w jamę, mrugałem i potrząsałem głową. Zapewne z wysiłku mieniło mi się przed oczami, ale wydawało mi się, że szyb, głęboki

najwyżej na siedem-osiem metrów, rozrasta się na moich oczach do przepastnego tunelu prowadzącego ku wnętrzu ziemi. W prastarym smrodzie poczułem coś metalicznego, uderzyło mnie to w nozdrza tak, że aż odskoczyłem.

Organizm nie pozostawał obojętny, miałem zawroty głowy i wydawało mi się, że krańce Gawroniego wieńczy dziwna mgła. Kiedy zawiął wiatr, w koronach drzew dał się słyszeć krzyk sprzed dwóch tysięcy lat.

Wystarczyło kilka wdechów czystego powietrza i odżyłem. Do jamy już się nie zbliżałem, przyszło mi do głowy, że opary, które się z niej wydobywają, zawierają jakiś niebezpieczny gaz. Czytałem o podobnych przypadkach. Zapewne dlatego świątynia powstała właśnie w tym miejscu. Gaz wydobywający się z ziemi wywoływał dziwaczne wizje. Prymitywne umysły sądziły, że wstępują do innego świata. Postanowiłem przestać zajmować się głupotami i zabrałem się za śledztwo. Chciałem znaleźć jakikolwiek trop prowadzący do złodzieja.

Dopiero wtedy zauważyłem, że do jamy nie prowadzą żadne ślady. Śnieg dookoła był nietknięty, zamarzniętej warstwy nic nie naruszało. Czyżby ktoś dostał się tu jeszcze jesienią, zanim spadł śnieg? Któryś z moich pomocników musiał coś wypaplać! Przeraziłem się. Mam tylko nadzieję, że nie tym durniom z Liptowskiego Towarzystwa Muzealnego?!

Byłem wściekły, kląłem w głos, ale wtem mój wzrok padł na deski porozrzucane wokół obnażonego czarnego szybu. Przyjrzałem się lepiej i...

Przekleństwa ugrzęzły mi w gardle.

Przez cały czas patrzyłem, ale umysł bronił się przed zrozumieniem. Deski nie zostały przez nikogo usunięte. Coś wyłamało je od spodu – prosto z szybu.

Czyżby wybuch nagromadzonych oparów? – zastanawiałem się.

Nie wydawało mi się to prawdopodobne, nie było jednak czasu na rozmyślanie. Zerwał się wiatr i polana ponownie zatopiła się w dziwnej zielonkawej mgle. Znow poczułem metaliczny smród, tym razem o wiele bardziej przenikliwy, jakby jego źródło zbliżyło się.

Przed oczami tańczyły mi iskry, w uszach czułem piekielny huk. Polana trzęsła mi się pod nogami, jakby tupotał po niej jaki czort. Odwróciłem się i ledwo dowlokłem się do drzew. Nie wiedziałem, dokąd iść, wszystko w głowie mi się pomieszało. Zanim jednak wziąłem nogi za pas, jeszcze raz spojrzałem na szyb. Mróz, zdenerwowanie i trujące opary kompletnie pomieszały mi zmysły. Tylko w ten sposób mogę sobie wytłumaczyć to, co zobaczyłem w zielonej mgle. Z jamy wystawała dziecięca rączka, wygrzebywała się na zewnątrz, by jak najszybciej wydostać się na biały śnieg.

Notatka zakończona została wielkim kleksem, jakby autor po skończeniu zdania przycisnął pióro do kartki i trwał tak przez dłuższą chwilę. Nie poczułem żadnego strachu, nie poruszyłaby mnie nawet diagnoza przepowiadająca mi dwa tygodnie życia.

Apatycznie przewróciłem stronę i przyjrzałem się pozostałym zapiskom. Nie zostało już tego dużo – tylko jedna kartka.

Na górze po lewej stronie widniała data 21.2.1929. Hradsky powrócił więc do pisania dopiero siedem dni później. Co w tym czasie robił, dlaczego nie pisał?

Przyjrzałem się dokładniej i z zaskoczenia aż zamrugąłem. Wziąłem poprzednią stronę i przyłożyłem do ostatniej notatki.

Pismo było zupełnie inne. Ewidentnie autor był ten sam, ale przez te siedem dni musiał doświadczyć ogromnej zmiany. Pismo w pierwszych zapiskach było schludne i ładne, natomiast ostatnia strona przypominała

brudnopis małego dziecka. Litery rozłaziły się, zdania były napisane koślawo, po ozdobnych zawijasach nie został nawet ślad. Niektórych słów w ogóle nie dało się przeczytać. Zmienił się także język Hradskiego. Wygładzone, wieloczłonowe zdania zostały zastąpione krótkimi, urywanymi zapiskami, momentami całkowicie pozbawionymi sensu.

21.2.1929

Tracę zmysły! W inny sposób nie potrafię wyjaśnić, co się ze mną dzieje. Po powrocie z Gawroniego przez dłuższy czas kręciło mi się w głowie, dostałem gorączki. Z pewnością nawdychałem się tam jakiegoś porządnego świństwa. Miałem koszmary, widziałem w nich... (nieczytelne).

Maski karnawałowe w śniegu.

22.2.1929

Nie jest lepiej, męczy mnie gorączka i omamy. Boję się rzeczy z Gawroniego, które mam poukładane w kuchni na podłodze. W nocy poszedłem po wodę, zaspany i w gorączce, miałem przywidzenie, że z jednego z nich bije jakaś łuna, zielona poświata, jak w lesie. Zacząłem mieć nedorzeczne obawy – przedmioty były darami, trafiły do świata duchów, a ja zabrałem je do domu. Śmieję się z tego nonsensu, ale kuchnia budzi we mnie niepokój.

23.2.1929

Czuję się trochę lepiej. Choroba już chyba mnie opuszcza. Rano na progu sypialni znalazłem przedmiot. Chyba w niego kopnąłem, kiedy w nocy krzątałem się po kuchni. Dziwne, zupełnie sobie nie przypominam, żebym znalazł coś takiego. Wszystkie znaleziska dokładnie oznaczyłem, ale ciągle jestem osłabiony, nie mogę sobie przypomnieć, gdzie położyłem katalog. Długo obracałem ten przedmiot w palcach i zastanawiałem się, kiedy go

wykopałem. To metalowa spinka, najpewniej z wczesnego okresu lateńskiego. Z jednej strony zakończona jest spiralą.

Metalowa spinka! – zaświtało mi. Odezwał się mój wewnętrzny alarm, a po plecach przebiegł dreszcz. W głowie zaczął mi się tworzyć jakiś schemat, zacząłem dostrzegać związki, które do tej pory mi umykały.

Tylko nie szukaj żadnego sensu!

Postanowiłem się tym nie zajmować i przeczytać ostatnią notatkę Hradskiego. Jeśli nie zrobię tego teraz, to już nigdy, bo kiedy tylko oderwę wzrok od kartek, nie chcę już więcej widzieć tych przeklętych zapisków.

24.2.1929

Koszmar! Koszmar! Od kiedy wziąłem do rąk spinkę ze spiralą, narastało we mnie niedobre przeczucie. Wieczorem miałem wrażenie, że w mieszkaniu czuję smród gliny, popiołu i śniegu. Przywlokłem sobie coś do domu, nie powinienem był dotykać tego przedmiotu!

W nocy powróciły widziadła. Po stokroć gorsze niż dotychczas. Coś się zdarzyło, coś tu nie jest w porządku.

Najpierw obudziły mnie odgłosy. Tupanie dzieci na kuchennej posadzce. Kiedy tylko się zerwałem, wszystko ucichło. Zmogła mnie gorączka, chwilę później znów zapadłem w drzemkę. Jednak nie na długo, wydawało mi się, że w sypialni słyszę ciche dyszenie.

Zaraz przypomniałem sobie o dziecku, które zniknęło w Rybarpolu. Wszędzie pisali, że było astmatyczne.

Gorączka, powtarzałem sobie, to przez tę gorączkę. Oczy miałem ciągle zamknięte, za nic w świecie bym ich nie otworzył, kto wie, jaką marę bym ujrzał.

Zmora nie znikwała, wręcz przeciwnie. Poczułem podmuch na policzku, czułem go w regularnych odstępach.

Coś stało przy mnie i chuchało mi w twarz!

Krzyknąłem ze strachu, chciałem skoczyć na równe nogi, ale nie miałem posłuchu u przerażonego ciała. Powieki były niczym z ołowiu, coś ciągle na mnie chuchało. Nagle przestało, jak ręką odjął. W nozdrza buchnął mi metaliczny smród, dziecięce palce pogłaskały moją twarz, przechodząc od czoła, przez nos, aż do brody.

Z przerażenia zrobiło mi się ciemno przed oczami. Znalazłem się w... (nieczytelne). Nie do opisania.

Obudziłem się dopiero rano. Na wspomnienie nocnego koszmaru przeszedł mnie dreszcz. Zaczął boleć mnie brzuch, jelita skręciły się. Pobiegnąłem do toalety, ale po drodze stanąłem jak wryty. Na progu leżała metalowa spinak. Dokładnie tak jak wczoraj! Dobrze pamiętałem, że zamknąłem ją w szafce kuchennej.

To wszystko jej winą, ona przywołuje zjawy! Nie powinienem był jej dotykać, nie powinienem...

Długo rozmyślałem. Nie wytrzymam kolejnej nocy. Wezmę spinak oraz resztę artefaktów i zwrócę je Gawroniemu. Jestem chory i wycieńczony, ale chyba jakoś się tam wgramolę. Wszystko lepsze niż kolejna noc z nieczystymi siłami. Nabierają coraz większej mocy, muszę oddać tę przeklętą spinak, wyruszę tam, nawet jeśli mróz nie ustąpi, do wieczora będę w domu.

Więcej zapisków nie było, reszta strony świeciła przerażającą pustką. Hradsky już nigdy nie wrócił, ale tym przejmowałem się najmniej. Coś mnie paliło, coś w głowie koszmarnie mnie paliło.

Związki, które do tej pory mi umykały.

Metalowa spinka.

To wszystko jej wina, ona przywołuje zjawy!

Przywlokłem sobie coś do domu, nie powinienem był dotykać tego przedmiotu!

Związki...

Metalowa spinka ze spiralą, którą ojciec ukrył w warsztacie.

Poroże jeleni, które Bohusz sobie zabrał, żeby udowodnić wszystkim, że się nie boi.

Przedmioty ze świata duchów... Dotknęła ich niepoznana siła, naznaczyła i podrzuciła – jak przynętę.

Trafiły do świata duchów, a ja zabrałem je do domu – zapisał w dzienniku Hradsky.

Nie możemy ich dotykać! – buchnęło mi przed oczami.

Kiedy się umocni, sięgnie także po dorosłych.

Dotyk tworzy związek, kiedy dotkniemy przynęty albo weźmiemy ją do domu, przyciągamy to coś i...

Podskoczyłem, krzesło przewróciło się i uderzyło o podłogę.

Metalowa spinka... Zostawiłem ją u Oty w garażu!

– Idę do garażu – zabrzmiały mi w uszach jego słowa.

Ostatnia fala silnego mrozu. Jeśli zmora zaatakuje ponownie, to dziś w nocy.

Boże – wyszeptałem sinymi ustami.

Doskoczyłem do drzwi wyjściowych i już miałem je otworzyć, kiedy coś przyszło mi do głowy.

Zadzwonię go ostrzec, żeby za nic w świecie nie dotykał spinki! Nikt z rodziny nie może jej dotknąć, nawet dzieci!

Przede wszystkim dzieci!

Wróciłem do kuchni, złapałem telefon i spojrzałem na ekran.

6 nieodebranych połączeń.

Wyciszenie, cholerne wyciszenie!

Walenie serca czułem aż w skroniach, ledwo udało mi się kliknąć na ekran, żeby sprawdzić, kto próbował się do mnie dodzwonić.

(Podejrzewałem, wiedziałem).

Ota...

Podłoga pode mną zaczęła wirować, oparłem się o szafkę.

Dopiero teraz zauważyłem, że mam też kilka nowych SMS-ów. Przebiegłem wzrokiem po ostatnim: *Masz sześć nieodsłuchanych wiadomości. Aby je odsłuchać, zadzwoń pod numer 555.*

Pozostałe SMS-y także były od poczty głosowej.

Przyszły dosłownie przed chwilą.

Jak w transie stuknąłem palcem w podany numer.

Tu poczta głosowa Orange – oznajmił elektroniczny głos. Masz sześć nowych wiadomości.

Nie czekając na dalsze instrukcje, wcisnąłem *jeden*.

– Nowa wiadomość – zabrzmiało z głośnika. – Wiadomość została nagrana dziś o godzinie siedemnastej dwanaście.

Z napięcia przestałem oddychać, zacisnąłem zęby i czekałem na złe wieści.

– Cześć, jestem w domu, nie chcę się paniki – wbił się we mnie głos Oty. Zanim zaczął mówić dalej, na chwilę zamilkł. W tle słychać było dzingiel reklamy z telewizora.

– Czuję tu ten metaliczny smród, wydaje mi się, że...

Rozłączył się albo coś przerwało połączenie.

Jeśli chcesz odsłuchać kolejną wiadomość... – odezwała się automatyczna sekretarka.

Szybko nacisnąłem jedynekę, żeby odsłuchać kolejne nagranie. Odruchowo wytarłem sobie czoło i z zaskoczeniem spojrzałem na mokre koniuszki palców.

– Coś jest za drzwiami! Słyszę – nagranie przerwał ładunek elektrostatyczny. – Pomóż mi, przyjdź tu, odbierz telefon!

Wyraźnie słyszałem, jak narastający strach przydusza go. W tle popłakiwały dzieci, Julia próbowała je uspokoić.

Usłyszałem trzaśnięcie, brzęczenie szkła, tupot i krzyk dzieci. Połączenie zostało przerwane.

Telefon prawie wyślizgnął mi się z rąk. Z trudem udało mi się jeszcze raz wcisnąć jedynekę.

Z głośnika odezwał się szybki, ale płytki oddech.

Wdech-wydech, wdech-wydech...

Elektrostatyczny trzask nabierał na sile, przechodząc w jednostajny huk.

Połączenie zostało przerwane.

Wcisnąłem jedynekę.

– Zbiegliśmy do garażu, to coś jest na górze, chodzi po domu – szeptał Ota cienkim przerażonym głosem. Wnętrznosci mi się ścisnęły, udzieliła mi się jego panika. Huk znów nabrał na sile, przypominał brzęczenie całego roju rozwścieczonych szerszeni.

– Wybiegnij przez drzwi garażowe! – krzyknąłem jak oszalały. – Wybiegnijcie na dwór!

Obaj chłopcy płakali, Julia łkała z przerażenia, Ota przeraźliwie dyszał, serce waliło mu jak oszalałe. Jeszcze chwilę i straci przytomność jak Bohusz.

Nagle zamilkli, coś usłyszeli.

Skrzypnęły zawiasy.

Nienaoliwione drzwi z mieszkania do garażu! To coś uchyliło je i weszło na schody.

Z głośnika dochodziło głośnie trzeszczenie, odsunąłem iPhone od ucha.

Kiedy ponownie go przyłożyłem, płynęła ostatnia wiadomość.

Dyszenie, wstrzymywany płacz, szloch...

Ota z rodziną gdzieś się ukryli i czekali.

Usłyszałem pukanie, brzmiało jak pukanie w szkło.

Wszyscy naraz zaczęli wrzeszczeć, z czterech gardeł wydobył się przeraźliwy krzyk.

Pandemonium wbiło mi się w mózg jak ostry sztylet. W elektrostatycznym szumie zahuczało kilka słów, wydawało mi się, że składają się tylko z samogłosek i syczących spółgłosek, wymawiał je nienaturalnie gruby metaliczny głos.

Krzyk nasilał się, wyli jak ranne zwierzęta, jakby ktoś obdzierał ich ze skóry albo wbijał w nich rozżarzone pręty.

Do oczu napłynęły mi łzy, chciałem oderwać iPhone od ucha, ale przyssał się jak pasożyt i wyrzucał do niego swoją piekielną treść.

Trwało to długo, w nieskończoność.

Kiedy znów zacząłem jako tako rejestrować rzeczywistość, przemówiła do mnie poczta głosowa.

Jeśli chcesz ponownie odsłuchać wiadomości...

Nagle umilkła, urządzenie wyłączyło się – bateria wysiadła. To mnie uratowało, w innym razie puszczałbym te wiadomości w kółko, aż w końcu by mnie zabiły.

Chyba powinienem spróbować zadzwonić do Oty albo pobiec do jego domu. Zamiast tego przykucnąłem i trzymając kurczowo telefon, gapilem się na zgaszony ekran.

W końcu jednak wstałem. Mój umysł unosił się pół metra nad ciałem i niewzruszenie obserwował, jak podłączam iPhone do ładowarki, kładę go na stole, nieśpiesznie się ubieram i wychodzę. Poszedłem do domu Oty. Spóźniona i niepotrzebna akcja ratunkowa. Nie myślałem o niczym, kroczyłem jak robot. Nie chodziło o ratunek – ani dla mnie, ani dla nich – zbyt długo dotykałem lodu, jakbym stracił uszy, oczy i palce. Papierowe dzieci zabiorą mnie do siebie, zajęło im to kilkadziesiąt lat, ale teraz wydawało się już pewne, że wkrótce zasilę ich zastępy.

TWARZĄ W TWARZ

I.

PAMIĘTAM TYLKO FRAGMENTY. Papierowe dzieci są płaskie, wspomnienia nie mają się w nich gdzie zapisywać.

W domu Oty były włączone wszystkie lampy, na kryształkach śniegu połyskiwały prostokąty żółtego światła. Szklane okienko w drzwiach wejściowych było wybite, korytarz pokrywały odłamki szkła – wtedy weszło to coś.

Szedłem mechanicznie, bez zainteresowania i strachu, jakbym był na wycieczce szkolnej.

W domu huczał włączony telewizor. Akurat leciał jakiś teleturniej.

Ile metrów ma Wieża Eifela? – padło właśnie pytanie.

Na szafce stał garnek z zimną wodą, opakowanie makaronu, kawałek żółtego sera i tarka. Kiedy wszystko się zaczęło, Julia właśnie przygotowywała kolację.

– Jest tu kto? – krzyknąłem bez sensu.

Trzysta dwadzieścia cztery metry – odpowiedział uczestnik programu, wygrywając tym samym pięćset euro.

Na podłodze w kuchni leżały stratowane pomarańcze. Kiedy rodzice z dziećmi uciekali, ktoś przewrócił misę z owocami. Po domu roznosił się ostry zapach soku i skórki pomarańczowej.

Zajrzałem do dużego pokoju.

Gdzie odbyła się olimpiada letnia w 1992 roku? – zapytał prowadzący.

Przed telewizorem leżały dwa porzucone rysunki i kolorowe kredki woskowe. Stanko i Ivko tuż przed odwiedzinami beztrosko sobie rysowali.

Wróciłem do przedpokoju i czubkiem buta otworzyłem drzwi do garażu.

Skrzypnęły, odsłoniły ciemność i kawałek zębatych schodów. Właśnie tu niedawno stała zmora.

Schodziłem na schodach, krok po kroku zanurzałem się w ciemność.

Garaż oświetlała jarzeniówka. Jej ciche brzęczenie przypomniało mi huk wyładowań, które słyszałem przez telefon. Nie było w nim jednak słychać wściekłości ani rozwścieczonych szerszeni.

Za plecami usłyszałem chrobotanie, na schodach coś trzasnęło.

Nawet nie drgnąłem, tępo gapiłem się w ciemne przejście.

Po schodach sturlała się pomarańcza, zeskakując jak żółta piłeczka, zatrzymał ją dopiero kanister z benzyną.

Pomarańcza i benzyna.

Odwróciłem się plecami do schodów, było mi wszystko jedno, czy na górze ktoś stoi i czy się po mnie wybiera.

Zimne światło jarzeniówki oświetlało starego volkswagena zaparkowanego na środku garażu.

W półmroku za nim rysowały się przesuwne drzwi.

Nagle zaświtało mi, że za nimi także stał myśliwy. Ota go wyczuł, wiedział, że tam jest. Nie mieli dokąd uciec, znaleźli się w pułapce. Jedno papierowe dziecko zapędziło ich do garażu, drugie czatowało przed nim. Do Bohusza też dobrały się w ten sposób, zaszczuły go jak dzikie zwierzę – jakby mało było tego, że szczuły nas przez ostatnie trzydzieści lat, aż prawie wypłuliśmy swoje dusze, przyznaliśmy się do porażki i wróciliśmy do Małych Tatr.

Schyliłem głowę i uważnie przyjrzałem się staremu samochodowi. To w nim ukryła się rodzina, to była ich ostatnia szansa (nawet jeśli marna). Podszedłem do przedniego okna i zajrzałem do środka. Na tylnym siedzeniu coś leżało – w półmroku nie mogłem dostrzec zbyt wiele. W uszach zabrzmiało mi stukanie w szkło, które usłyszałem na nagraniu.

Nieprzytomni ze strachu kulili się w samochodzie. Coś zapukało w okno.

Następnie otworzyło drzwi i...

Złapałem za klamkę, usłyszałem głośnie szczęknięcie.

Nie musiałem patrzeć, nie musiałem tu w ogóle być.

Odchyliłem drzwi na szerokość wąskiej szczeliny.

Z samochodu buchnął smród nie do zniesienia – odchody, wnętrzności, krew... Ręka automatycznie powędrowała mi do ust.

Zobaczyłem dwa ciała.

Ota i Julia.

Koszmarnie połamani, jakby nie mieli kości, spleceni ze sobą jak monstrualny korbacz wielkanocny. Dwa ciała splecione przez tytaniczną siłę w jedną nierozdzieloną całość. Ludzka chałka posypana ostrymi odłamkami otwartych złamań – chrupiące pieczywo gotowe do zjedzenia. Dwugłowy wąż, dwoje rozdziawionych ust, wrzeszczących tak, że słysząc je na drugim świecie.

Kiedy się umocni, sięgnie też po dorosłych.

Śmierć Bohusza umocniła to coś, każda śmierć dodawała temu sił.

Gdzie są chłopcy, co się z nimi stało?

Rozejrzałem się dookoła, ale ich zwłok nigdzie nie zauważyłem. Zajrzałem pod volkswagena. Na betonowej posadzce przy przednich kołach leżała tylko pomarańcza i kanister. Przy ścianie poniewierała się siatka, którą przyniosłem. Obok niej połyskiwała metalowa spinka.

Dzieci zniknęły.

Ciszę przeciął dźwięk telefonu.

Odskokczyłem od samochodu jak poparzony. Skuliłem ramiona, stałem jak wryty.

Dzwonek powtórzył się.

Wydawał mi się ogłuszający, dudniło mi w uszach i czaszce. W garażu wcale nie było cicho, huczała w nim stara jarzeniówka. Kiedy znów odezwał się dźwięk telefonu, zatkałem sobie uszy.

Dopiero teraz zauważyłem, że pod tylnym siedzeniem auta (przy nogach ludzkiej chałki) miga ekran komórki.

To z niej tuż przed śmiercią dzwonił do mnie Ota.

Dźwięk przebiegł mi po kręgosłupie, cały zacząłem się trząść. Nachyliłem się trochę bliżej, niebieskawa luna przyciągała mnie.

Kto dzwoni do Oty? – kołatało mi w mózgu rozstrojonym przez wstrząs, po którym już nigdy się nie opamiętam.

Kto dzwoni?

Jakby to miało jakieś znaczenie, jakby cokolwiek miało jeszcze jakieś znaczenie.

Zbliżyłem się o kolejny krok, dziwiłem się sam sobie, ale mogłem tylko bezradnie przyglądać się własnemu niedorzecznemu zachowaniu.

Komórka migła, miałem wrażenie, że dzwonek zlał się w jeden przeciągły dźwięk.

Wreszcie zobaczyłem rozświecony ekran.

Kto dzwoni?

Na aparacie migąło nazwisko dzwoniącego, znikło i pojawiało się, jakby telefon pulsował własnym życiem.

Najpierw nie rozpoznałem nazwiska, przyjrzałem się lepiej. Chwilę zajęło mi ułożenie literek w głowie.

Kto dzwoni?

Jożo Karsky – przeczytałem na ekranie. Dziwne nazwisko... Wydawało mi się znajome.

Tylko skąd...?

Zakręciło mi się w głowie, garaż pociemniał, chociaż jarzeniówka nieprzerwanie brzęczała. Telefon także niezmordowanie dzwonił, wytrwale pojawiało się na nim imię i nazwisko dzwoniącego – moje własne.

Jożo Karsky.

Swoją komórkę zostawiłem w mieszkaniu rodziców, położyłem ją na stole kuchennym i podłączyłem do ładowarki.

Kto dzwoni?

Pozbierałem się z kolan, ale wstać mi się nie udało (za bardzo trzęsły mi się nogi). Na czworaka dotarłem do samochodu i jak lunatyk złapałem dźwięczące urządzenie.

Prawie wyslizgnęło mi się z ręki – całe było we krwi i odchodach.

Ciągle byłem obserwatorem samego siebie, zupełnie nie rozumiejąc, co się dzieje.

Dzwonię sam do siebie? Może jestem w kuchni, rozdwoiłem się albo wcale mnie tu nie ma?

Po brodzie ściekała mi ślina, nie mogłem złapać oddechu. Odebrałem, ręka mi się trzęsła, świecący ekran skakał przed twarzą.

Cisza, z głośnika nie wydobywało się nic, żadnego oddechu albo szumu, tylko głęboka cisza.

Kto dzwoni z mojej kuchni?

Telefon już wyslizgiwał mi się ze zdrętwiałych palców, kiedy coś w nim trzasnęło i z aparatu buchnęła muzyka – wesoły utwór na orkiestrę dętą.

Czynele trzaskały, zadudniły głębokie basy trąb.

W szumie rozpoznałem melodię – pochodziła ze starego radia w kuchni. Ktoś je tam właśnie włączył albo zaczęło grać samo – zupełnie nie przeszkadzało mu, że nie jest podłączone do prądu.

Zrozumiałem, że to zaproszenie – mam wrócić do domu, koniec z uciekaniem.

Stań z tym oko w oko!

Czułem się jak wydmuszka, nie byłem w stanie wykrzesać z siebie ani krzty sprzeciwu. Wypuściłem z rąk grający telefon, ostatni raz spojrzałem na plecionkę z ludzkich ciał i ruszyłem do drzwi. Szedłem uważnie i prosto – jak kukiełka. Wszedłem na górę, do królestwa pomarańczy i stłuczonego szkła. Byłem zupełnie gdzie indziej, patrzyłem na siebie z wysokości trzech metrów.

Na trawniku obok domu coś zwróciło moją uwagę. W jednym z żółtych prostokątów ze światła pod oknami było coś rozsypane. Podeszedłem bliżej i przykucnąłem.

Ze śniegu wystawały jakieś patyczki. Było ich dużo, bardzo dużo.

Każdy patyczek okalał czerwony paseczek.

Zaschnięta krew.

Dotarło do mnie, na co patrzę.

Dziecięce palce.

Stanko i Ivko.

Świeczki na torcie urodzinowym. Niektóre zrobiły się niebieskawe, reszta pozostała biała.

Dwadzieścia małych paluszków powbijanych w śnieg.

Ten koszmarny widok przyjąłem spokojnie, bez emocji. Po tym wszystkim, co zobaczyłem przez ostatnie pół godziny, to był już drobny szczegół, mały element układanki.

Wlokłem się krok za krokiem na górną część ulicy.

Wracaj do domu.

Przyszły po mnie, tak jak wiele lat temu – czekają w pokoju. (Albo raczej w kuchni).

Kiedy jako mały chłopiec zламаłem sobie rękę przy tutejszej studni, czułem straszliwy ból. Myślałem, że już nigdy w życiu nic nie będzie mnie tak boleć. Ledwo doszedłem do domu. Każdy ruch był męczarnią, wystarczyła jedna złamana kość i nie mogłem nawet oddychać.

Teraz miałem złamaną silną wolę. To było złamanie otwarte, o wiele gorsze niż to przed laty. Wprawdzie nic mi nie spuchło, ale droga do domu była dużo bardziej bolesna.

Jedną częścią umysłu rejestrowałem znajomą trasę, druga część pozostawała w scenerii, którą przed chwilą opuściłem – dwa trupy splecione w kłębek, moje imię migające na komórce Oty, wyrwane palce powbijane w śnieg...

Nagle znalazłem się w swoim mieszkaniu. Nikt na mnie nie czekał. W pustej kuchni ciągle trzeszczały czynele, do tanecznego taktu dołączyły puzony i piszczące klarnety.

Stań z tym oko w oko!

Zacząłem śmiać się z własnego szaleństwa. Jak w ogóle mogło mi przyjść do głowy, że z tym czymś można stanąć oko w oko, że istnieje jakikolwiek wybór! Wolna wola to iluzja, obca siła w żaden sposób mną nie zawładnęła ani mnie nie zaczarowała – zerwała jedynie pozłotko możliwości wyboru, bowiem nic takiego w życiu człowieka nie istnieje.

Widziałem siebie idącego przez pokój prosto do sypialni. Przeszedłem do kąta ze zdjęciem Alicy, padłem na kolana i bez najmniejszego zawahania zamknąłem kompas w dłoni tak mocno, że aż głośno zachrząścił.

II.

MUZYKA NAGLE UCICHŁA. Znów znalazłem się w swoim ciele, lunatyzm minął tak samo nagle, jak się pojawił.

Co do cholery jasnej... – wypadło mi z ust, kiedy uzmysłowiłem sobie, na co patrzę.

Ściskałem w dłoni kompas – przedmiot przyniesiony z innego świata, pułapkę, której za żadne skarby świata nie powinienem był dotykać!

Zamęt w głowie nagle zniknął, wszystko zrozumiałem aż do bólu.

Dopadli mnie, wpadłem w sidła! Zmora wykorzystała mój szok i przeniknęła do mojego wnętrza, opanowała umysł, zrobiłem dokładnie to, czego nie powinienem był robić.

Przypomniałem sobie rysunki ojca. Już wiedziałem, dlaczego kroczył w stronę strasznej postaci jak ogłupiały. Jego wolna wola także została zawłaszczona, ale jakoś udało mu się wymknąć.

Ból cię uratuje!

Strzałka kompasu zaczęła się kręcić i poskrzypiwać. Nadchodzą papierowe dzieci, czeka mnie przerażająca śmierć, jak Bohusza, Otę i Julię.

Ogarnęła mnie panika.

Co robić? Oblizałem usta i poczułem słony pot.

Ojcu udało się umknąć.

Przez chwilę wydawało mi się, że ściany zaczynają pulsować – jakby straciły swoją nieruchomą strukturę i ożywały, doświadczając organicznych konwulsji. Znalazłem się we wnętrzu czegoś żywego. Jak Jonasz w wielorybie albo nieszczęśnik za życia połknięty przez gigantycznego pytona.

Bliskość śmierci przeczyściła mi zmysły. Odezwał się we mnie instynkt samozachowawczy. W jednej chwili zapomniałem o istnieniu Oty, Bohusza,

Julii i ojca. Wszyscy naraz wyparowali z mojej głowy, jedynym człowiekiem, który mnie interesował, byłem ja, chęć przetrwania i moje skurwiałe życie.

Chwila jasności umysłu była jednak krótka, ze ścian zaczęło dobiegać brzęczenie, szybko przechodzące w huk. Przypominało mi to osy, które zagnieździły się w ścianie naszego mieszkania w Żylinie. Z murów najpierw dobiegały tylko słabe trzaski. Zanim zdążyliśmy z Livią zareagować, w ścianach zagnieździły się setki kęsających owadów, które bez wytchnienia gryzły ścianę. Kiedy w końcu wezwaliśmy dezynsektora – brzęczały i wibrowały już całe mury, został tylko cienki tynk, rozwścieczone osy za chwilę przegryzłyby się do mieszkania.

Teraz w ścianach też coś huczało i przegryzało się przez nie do wewnątrz, tyle że to było nieskończenie bardziej drapieżne i zabójcze niż osy. Wychodziło z każdej strony, droga ucieczki nie istniała.

Dostałem szaleńczego ataku paniki, bez zastanowienia doskoczyłem do okna i szarpnąłem za klamkę. Zamarznięta rama nawet nie drgnęła, rzuciłem się na szybę. Zatrzeszczała, ale nie pękła. Trawiło mnie przerażenie, wyskoczyłbym nawet z dziesiątego piętra, wszystko było lepsze od utknięcia w imadle ożywionych murów.

Woleli wyskoczyć nadzy na trzydziestostopniowy mróz niż walczyć z tym koszmarem – mówiła Hana o dziewięciu rosyjskich studentach.

Rzucałem się na szybę jak opętany. Pękała, kruszyła się, ale opuszczone żaluzje tłumiły moje uderzenia.

Huk stawał się nie do zniesienia, kuliłem się, jakby głowę od środka rozpierał mi jakiś odważnik, miałem wrażenie, że czuję krew wyciekającą z uszu. W panice bezsensownie powtarzałem ten sam ruch, mimo że nie przynosił żadnego efektu. Dopiero po chwili doznałem olśnienia – szyba

wprawdzie w końcu pięknie, ale jeśli wybiegnę z mieszkania drzwiami, będzie szybciej. Co więcej, nie zabiję się przy upadku z drugiego piętra.

Ściskając sobie głowę, w sprinterskim tempie pobiegłem do pokoju, już prawie byłem na korytarzu, dzieliły mnie od niego tylko drzwi wypełnione matowym szkłem.

Przeraźliwy huk nagle ustał, brzęczenie w ścianach umilkło, cegły zaniemówiły. Odważnik zniknął, a ja – nie będąc w stanie unieść tej ogromnej lekkości – zachwiałem się i upadłem na parkiet.

Przygniotła mnie absolutna cisza – nienaturalna, nieprzyjazna. Coś we mnie wyczuło nowe zagrożenie, tym razem realne i bezpośrednie. Trzewia skręciły się, strach wypełnił mnie jak wtłoczony zimny olej.

Światło na korytarzu błysnęło i zgasło.

Roztrzęsiony złapałem oddech.

Żarówka znów się zapaliła, za matowym szkłem zobaczyłem rozmazaną drobną postać.

Powoli, powolutku kołysała się w moją stronę.

Z płuc wydobył mi się jęk, na udach poczułem strużkę gorącego moczu.

Do szyby w drzwiach przycisnęła się biała dziecięca rączka, zobaczyłem niewyraźne rysy twarzy z czarnymi dziurami zamiast oczu.

Rączka lekko pchnęła drzwi, które zaczęły się uchylać – nie za szybko, centymetr po centymetrze, odsłaniając stojącego za nimi gościa.

Rozpoznałem drobne ciało, wąskie ramiona i cienką szyję.

Alica.

Oczy mi się rozszerzyły, chciałem wyłapać jak najwięcej szczegółów, ale nie byłem w stanie. Kiedy koncentrowałem się na którymś z nich, natychmiast się rozmazywał, jakby mój wzrok topił się w miękkim bezkształtnym miodzie.

– Alica – wydusiłem z siebie, instynktowny strach nakryło uderzenie smutku, twarz ściągnął mi skurcz. Prawie wyciągnąłem do niej rękę, ale wystarczyło, że weszła do pokoju, a rozwrzeszczałem się z przerażenia.

Brakowało jej nie tylko oczu, zmora zabrała jej znaczenie więcej – skórę. W krótkich przeblyskach zobaczyłem, że nie ma jej na twarzy i rękach. Mienił się na niej splot żył i odkrytych mięśni. Więcej nie dostrzegłem, Alica okryta była grubą kurtką, którą miała na sobie w dniu zniknięcia.

Ruszyła w moją stronę, nie chodziła jak człowiek, raczej jakimiś krótkimi zrywami, przypominało to ujęcia z ośmiomilimetrowej kamery ojca.

Ojciec...

Wyślizgnął się z pętli.

Zacharczałem i cofnąłem się jak najdalej. Rzuciłem się na szklane drzwi balkonowe. Zatrzeszczały pod moim ciężarem.

Alica weszła do pokoju, parkiet pod nią cicho zaskrzypiał.

Napierałem na szkło ze wszystkich sił, waliłem w nie łokciami, było mi obojętne, że cały się pokiereszuję.

Siostra stała już niecałe dwa metry ode mnie, poczułem ostry metaliczny smród, zbierało mi się na wymioty.

Uderzyłem w szybę i usłyszałem, jak się rozbija. Na przedramię spadł mi ostry odłamek, który rozciął skórę i mięsień, wrzasnąłem z nagłego bólu.

W tym momencie Alica oddaliła się, stała już na progu pokoju.

Ojciec wyślizgnął się z pętli. Szedł do zmory, ale przewrócił się na zamarzniętych schodach i rozciął sobie nogę.

Ból cię uratuje!

Nagle zrozumiałem. Złapałem odłamek i wbiłem go sobie w przedramię. Usłyszałem własny krzyk, wszystko mi się rozmazało.

Uciec z pętli, przeciąć odnawiającą się pętlę.

Kiedy oprzytomniałem, nigdzie nie udało mi się dostrzec Alicy. Cały czas jednak czułem, że gdzieś tu jest i czyha.

Podniosłem pociętą dłoń z odłamkiem, zebrałem w sobie resztki sił i wbiłem go sobie jak najgłębiej w poranione przedramię.

Wszystko się rozpułyło, ciężar bólu był zbyt wielki, tym razem nic nie poczułem, pokój pogążył się w ciemności.

Twarz owiał mi powiew powietrza, zacząłem spadać, uderzyłem o podłogę i zapadłem w mrok.

III.

ZAMRUGAŁEM POWIEKAMI, w głowie usłyszałem echo. Ból wbił we mnie swoje tasaki dopiero sekundę później.

Mroźna polana, zielona mgła, huk zielonych walców – miałem to w sobie, w ożywionych wspomnieniach, jakbym znalazł się tam przed chwilą.

Ponownie zamrugałem, ale obraz nie zniknął – teraz też patrzyłem na jakąś polanę, tylko że ta nie była ani biała, ani zamarznięta.

Wzrok mi się wyostrzył, rozpoznałem wzór parkietu, wciągnąłem zapach wysuszonego drewna.

Leżę na podłodze w pokoju, coś się stało...

Huk metalowych walców.

Coś chciało mnie pochłonać, ledwo uciekłem.

W lewym ramieniu poczułem szarpnięcie i pulsujący ból, nawet jeszcze ostrzejszy niż ten, który szalał mi w czaszce.

Przypomniałem sobie horror w garażu Oty i Alicę (splot żył i mięśni zamiast twarzy). Obrazy przewijały mi się przed oczami, ale prędko blakły i rozpływały się. Szybko zapominałem, wspomnienia znikwały jak para wodna, umysł pozbywał się ich, był to mechanizm obronny, jedyny sposób, żeby się uratować.

Zapadłem w półsen, wydawało mi się, że podłoga pode mną pływa i wygina się. Już prawie udało mi się zasnąć, wpaść w ciemność, ale ból ciągle mnie z niej wyrywał. Ból i pragnienie. Byłem odwodniony, jakbym co najmniej przez dwa tygodnie nie wypił ani kropli wody.

Kiedy do krwi dostanie się zbyt wiele adrenaliny, wywołuje to ostre i nagłe pragnienie, przebłyskiwało mi w głowie. Czytałem o tym kiedyś w gazecie. Pisali tam także o innych skutkach obecności tego hormonu wydzielonego w wyniku doświadczenia nagłego niebezpieczeństwa, szoku lub przerażenia. Wraz z adrenaliną aktywizuje się najstarsza część mózgu i przejmuje kontrolę nad zachowaniem. Przejawia się to na przykład szaleńczą ucieczką – człowiek wówczas bez opamiętania biegnie ponad swoje siły, aż w końcu pęka mu serce. Albo przerażony nieszczęśnik blokuje się i powtarza tę samą czynność aż do zupełnej utraty sił. Dokładnie tak zabija ta zmora w lesie. Kiedy papierowe dzieci dowłoką do niej ofiarę, zmora przeraża ją na śmierć, zaszczuwa strachem, pozwala błędzić po mroźnej polanie, doprowadzając do śmiertelnego wyczerpania. Dopiero wtedy rozkoszuje się zdobyczą, szpeci ją i przemienia w kolejnego myśliwego.

Poczułem szarpnięcie w przedramieniu. Ból wystrzelił aż do ciemienia, zatrzęsłem się. Otworzyłem szeroko oczy i uważnie obejrzałem pokój. Wydawało mi się, że było tam coś, co na mnie polowało, i może jeszcze ciągle gdzieś tu czyha. W uszach stale dudnił mi metalowy huk, a przed oczami wybuchały przebłyski mroźnej polany. Przez chwilę nie byłem

pewien, czy to coś jednak mnie nie dopadło. Ale pokój był pusty, oprócz rozbitej głowy i pokaleczonego przedramienia nic mnie nie bolało. Byłem zdrętwiały z zimna, zupełnie nie czułem nóg, przez rozbite drzwi balkonowe ciągnął ostry mróz. Poruszyłem się i jęknąłem. Tak czułem się kiedyś, gdy wypilem dwie setki absyntu. Do pewnego momentu pamiętałem wszystko, a później zupełnie nic, odsypiałem to dwa dni. Bolał mnie każdy ruch, ciało ogłaszało bunt, nie chciało mu się oddychać, trawić ani w ogóle żyć.

Teraz było jeszcze gorzej, totalna agonia. Jakoś się jednak pozbierałem, oparłem się o kanapę i po dobrym kwadransie walki wreszcie stanąłem na nogi. Przytrzymując się ściany, ruszyłem do łazienki. Po omacku przeszedłem przez przedpokój i kuchnię, ciągle byłem zamroczony, nie czułem strachu. Wszystko wyglądało w porządku – komórka podpięta do ładowarki leżała na stole dokładnie tam, gdzie ją położyłem. Z milczącego radia zwisał kabel, nie działo się nic podejrzanego.

Dotarłem przed lustro w łazience i nacisnąłem włącznik. Światło oślepiło mnie, lepsze to, niż żebym zobaczył, jak wyglądam, chyba zemdlałbym jeszcze raz. Tak przynajmniej prawda odkrywała się przede mną stopniowo. Najpierw spostrzegłem obsikane i zakrwawione spodnie. Krew miałem wszędzie, rany na przedramieniu były głębokie i długie. Podniosłem wzrok i obejrzałem potłuczoną głowę. Cała prawa strona twarzy, którą uderzyłem o podłogę, mieniła się kolorami. W nosie podczas każdego wydechu gwizdała mi zaschnięta krew, policzki miałem spuchnięte, jakbym ukrywał w nich piłeczkę pingpongową. Kiedy dwa tygodnie temu spojrzałem w lustro, wydawało mi się, że wyglądam źle. Co miałem powiedzieć teraz? Tak wygląda człowiek, który w słodkim domu rodzinnym zostanie zbyt długo albo nie daj Boże wróci do niego.

Puściłem zimną wodę i włożyłem poranioną rękę pod strumień. Syknąłem z bólu, ale przyjemne zimno go wypłukiwało, miałem wrażenie, że odpływa razem z czerwonymi strużkami. Nie wytrzymałem długo, popękanymi wargami przyssałem się do kranu i pełnymi łykami zacząłem pochłaniać wodę. Wypiłem co najmniej dwa litry, każdy łyk przywracał mi jakąś część świadomości. Na koniec zrzuciłem z siebie wilgotne spodnie, sweter oraz koszulkę i wziąłem prysznic.

Przedramię owinałem ręcznikiem, nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Siedziałem w wannie i kiwając się do przodu i do tyłu, polewałem plecy gorącą wodą. Doprowadzałem się do porządku ponad godzinę. Nie powracałem do niedawnych przeżyć – jakby wyłączyła mi się funkcja rozpamiętywania. We mgle utopiłem także poprzednie dni. Nie zapominałem o tym, co się stało, wspomnienia się we mnie zagnieździły, ale żadne nie zostawało na dłużej niż ułamek sekundy. Kiedy któreś przywoływałem, natychmiast ginęło, nie dając szansy na wywołanie jakiegokolwiek reakcji.

Pomimo to narastało we mnie niezrozumiałe uczucie triumfu. Zwyciężyłem nad tym czymś, udało mi się uciec.

Wyślizgnąłem się z pętli. Ból wyrwał mnie z niewoli, umknąłem.

Jeśli jeszcze zaatakuje, to dzisiejszej nocy, kiedy mróz będzie najsilniejszy. Jutro się ociepli i ta mroczna siła zniknie... wystarczy wytrzymać do rana.

Przypominałem sobie o Hanie, przecież to z nią o tym rozmawiałem. Zaprağnałem ją usłyszeć, chyba też zobaczyć, podzielić się poczuciem zwycięstwa.

Pierwszy raz, od kiedy odzyskałem przytomność, poczułem jakąś obawę.

Czy z Haną wszystko w porządku? Czy zmora nie zaatakowała także jej?!

Przebrałem się i usiadłem przy kuchennym stole. Patrzyłem na komórkę podpiętą do ładowarki. Mierzyłem ją wzrokiem jak rywala. Coś z nią było nie w porządku, wieczorem zrobiła mi jakiś numer, ale nijak nie mogłem sobie przypomnieć, o co dokładnie chodziło.

Kiedy ekran błysnął na znak, że bateria została naładowana, uznałem to za omen. Złapałem aparat do zdrowej ręki i jednym kliknięciem wybrałem numer Hany. Nie mogłem inaczej, odczuwałem potrzebę, wręcz przymus, żeby do niej zadzwonić. Najchętniej od razu bym do niej poszedł, ale pomyślałem, że z pokiereszowaną twarzą i pociętą ręką to nie byłby najlepszy pomysł. Porządnie bym ją wystraszył, i to przed córką i matką - histeryczką. Lepiej przygotować ją stopniowo.

Przycisnąłem telefon do ucha (nie chciałem, żeby zobaczyła mnie na ekranie) i czekałem.

Odebrała zaraz po pierwszym dzwonku.

– Cześć, wszystko u was w porządku? – zapytałem.

– Na razie tak, boję się – szeptała. – A co z tobą? Masz dziwny głos, nic ci się nie stało?

Zawahałem się.

– Co się dzieje? – dopytywała przestraszona.

– Nic poważnego, naprawdę. Tylko... – usłyszałem, jak przyśpieszył jej oddech, nie mogłem przerazić jej jeszcze bardziej. Potrzebowała czegoś dokładnie przeciwnego. – Przewróciłem się w kuchni. Jak idiota, myjąc naczynia. Jestem trochę poobcierany i pokaleczony...

– Jezus Maria!

– Nie bój się, to były zwykłe zawroty głowy, trochę mnie to wszystko przytłoczyło. Ale już wszystko w porządku, czuję się całkiem dobrze,

przysięgam.

– Naprawdę?

– Poważnie, nie jest najgorzej. Wytrzymamy do jutra i wszystko będzie w porządku.

– Do ósmej rano – powiedziała.

– Proszę?

– Musimy wytrzymać do ósmej. Rano zacznie do nas docierać ciepły front, cały dzień oglądam prognozy pogody.

– Aha, rozumiem. Widzisz, jeszcze jedenaście godzin, damy radę – pocieszałem ją.

– Nie przyszedłbyś do nas?

– Chciałbym, ale... Nie wyglądam najlepiej.

– No to pokaż się, ocenię – jej ton nieco zelżał.

– Jesteś pewna?

– Szybko.

Odkleiłem iPhone od ucha, wyciągnąłem rękę i ustawiłem kamerę tak, żeby dobrze mnie widziała.

– Boże święty – westchnęła.

– To nic takiego, parę siniaków – uspokajałem ją. Na ekranie widziałem jej wymęczoną twarz. Siedziała w pokoju, jak zawsze, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. – Nie przyjdę do was w takim...

– Nie, nie jest tak źle – zapewniała mnie. – Tylko na pierwszy rzut oka.

Cały czas unikała spojrzenia, jakby sprawdzała coś na ścianie po przeciwnej stronie.

– Dzwoniłam do Oty, ale nie odbiera – rzuciła.

Przełknąłem ślinię, chyba tego nie zauważyła. – Rozmawiałem z nim przed chwilą, wszystko w porządku – uśmiechnąłem się.

Wyraźnie jej ulżyło.

– Mówił, że pójdzie do garażu, coś tam majstruje, może dlatego nie odebrał – kontynuowałem swoje miłosierne kłamstwo.

Do ósmej rano jeszcze jedenaście godzin. Do tego czasu nie mogę jej wystraszyć, ma dość wrażeń, nie wiadomo, jak by zareagowała. Ostatnia rzecz, której teraz potrzebuję, to to, żeby w największy mróz wybiegła na dwór i wparowała do domu Oty albo zrobiła coś równie głupiego.

– Tak, pewnie dlatego – przytaknęła. Przestała wbijać wzrok w ścianę i spojrzała na mnie. Tak długo jeszcze nie patrzyliśmy sobie w oczy. Żałowałem, że to na odległość i na małym ekranie. Podobna chwila mogła się już nie powtórzyć.

Jak na zawołanie za Haną uchyliły się drzwi, zobaczyłem drobną sylwetkę Mirki – stała nerwowo, z pewnością chciała pobawić się z mamą, ale bała się jej przerywać.

Uśmiechnąłem się i syknąłem z bólu w zuchwie.

– Na pewno wszystko okej? – niedowierzała Hana.

– Tak, to tylko obtarcie...

– Wiesz co? – przerwała mi. – Nie wygłupiaj się i przyjdź, rzucę na to okiem.

Spojrzałem na dziewczynkę czekającą przy drzwiach. W głowie odezwał mi się głupi wyrzut, że kradnę jej mamę.

– A Mirka się nie wystraszy? – zapytałem.

– Nie, na pewno nie – uśmiechnęła się. – Śpi z moją mamą w sypialni. Pilnuję ich od dwóch godzin, nie wyściubi nawet nosa, przecież widzisz, jak pilnuję drzwi – brodą wskazała na ścianę przed sobą.

Zamarłem, komórka nagle zatrzeszczała mi w ściśniętych palcach. Umierałem ze strachu.

Szczelina w drzwiach za Haną nieco się rozwarła, dziewczynka w półmroku zaczęła otwierać usta.

Zacharczałem ściśniętym gardłem.

– Co jest, co się dzieje? – nie rozumiała.

Drzwi otwały się jeszcze szerzej, rozdziawione usta wydały mi się nienaturalnie wielkie. Czarna brama przeraźliwego tunelu prowadzącego do drugiego świata.

Nie ma w nich zębów! – zrozumiałem. To jedna z Kliszówien!

Usta otwierały się coraz szerzej, zajmowały już co najmniej jedną trzecią dziecięcej twarzy, brakowało w nich nie tylko zębów, ale także języka. Obraz zaczął się trząść.

– Co... co... – wyjąkała Hana. Mój wyraz twarzy przeraził ją.

Zmora za nią ruszyła z miejsca.

– Hana... – wycharczałem cicho. – Za...

– Co?

Dziecięca postać z rozdziawionymi ustami stała tuż za nią. Jak to możliwe, że tego nie czuje?!

Skoczyłem na równe nogi, wybiegłem na korytarz, narzuciłem na siebie kurtkę i włożyłem trapery.

– Jożo, co się... – odezwało się z telefonu, ale zdanie urwało się w połowie.

Szarpnięciem otworzyłem drzwi i wybiegłem na klatkę. Strach zostawiłem gdzieś za sobą, wkrótce i tak mnie dogoni.

Z telefonu wydobył się koszmarny krzyk.

Biegłem jak na złamanie karku. Właściwie naprawdę chodziło o złamanie karku, i to nie jednego.

Wybiegłem z budynku i pognałem na koniec ulicy. Prowadził mnie jęk, krzyk i dziecięcy spazm. Co chwilę topił się w metalicznym huku.

Miałem przed sobą jeszcze dobre trzysta metrów, kilka razy poślizgnąłem się i upadłem, ale nie poddawałem się. Poraniona ręka piekła, każdy ruch okupiony był bólem.

Huk w telefonie nagle ustał. Albo nas rozłączyło, albo było już po wszystkim.

Przeraźliwa cisza była gorsza niż krzyk.

Dyszałem, mroźne powietrze cięło mnie jak żyletki, zapalenie płuc miałem gwarantowane. Okolica topiła się w mroku, jedynie pod latarniami rozlewały się wysepki światła.

Z mgły wyłonił się ostatni budynek zabudowy – mój cel.

Dowlokłem się do niego, w mieszkaniu na dole było włączone światło. Dopiero teraz dogonił mnie strach.

Nie podobało mu się, że uciekłem, przywalił mnie z całą siłą, żeby się odegrać.

Co znajdę w mieszkaniu, co tam, do cholery, znajdę? Jaki koszmar na mnie jeszcze czeka?

Stałem i przez chwilę się zawahałem.

Już nie, nie chcę widzieć więcej, szalało mi w głowie. Oddychałem tylko dlatego, że jeszcze ostatecznie nie wykończyło mnie to, co wydarzyło się w ostatnich godzinach. Każda kolejna kropla strachu mogła być tą ostatnią.

Na przekór wszystkiemu – ruszyłem. Coś ciągnęło mnie do środka, nawet strach nie był w stanie tego powstrzymać, to było silniejsze niż wszystkie koszmary tego świata.

Przed oczami migały mi obrazy potwornej, oskórowanej Alicy. Mroźne powietrze otrzeźwiło mnie, przypominałem ją sobie coraz wyraźniej.

Uciekliśmy, zostawiliśmy ją na pastwę losu i zmora obdarła ją ze skóry.

Nie mogę powtórzyć tego błędu, nie mogę, cokolwiek miałyby się zdarzyć!

Zakradłem się do uchylonych drzwi mieszkania na parterze.

– Hana! – krzyknąłem, wiedząc, że nikt mi nie odpowie.

Uchyliłem nogą drzwi i wślizgnąłem się do środka.

Znów przekraczam niewłaściwy próg – przyszło mi do głowy. Nie słyszałem jednak żadnego huku, nie czułem zapachu metalu, intuicja podpowiadała mi, że w mieszkaniu nic się nie czai. Właściwie szeptała, że w mieszkaniu nie znajdę niczego żywego, ale tę świadomość próbowałem wyprzeć.

Wszedłem do dużego pokoju, skąd Hana do mnie dzwoniła. Na suficie świeciła lampa, telewizor był włączony, ale bez głosu – Hana pewnie wyciszyła dźwięk, odbierając telefon. Zobaczyłem ją za kanapą. Leżała na dywanie, twarzą do ziemi. Bezzębna dziewczynka zapewne zaskoczyła ją od tyłu, nie zdążyła zareagować. Już chciałem ruszyć w stronę ciała, ale moją uwagę zwróciły otwarte drzwi. Sypialnia – tam była Mirka z babcią. Hana ich pilnowała, ciągle zerkala, czy drzwi są zamknięte.

Poszedłem tam, cisza w sypialni przyciągała mnie. Ostrożnie zajrzałem do środka. Pokój spowijał półmrok, ale z łatwością rozpoznałem zwłoki starszej kobiety na łóżku.

Matka Hany.

Staruszka była skulona w kłębek, sztywnymi rękami osłaniała przed czymś głowę. Byłem pewien, że gdybym zobaczył większą część twarzy, ujrzałbym na niej szaleńczy grymas i zastygły krzyk.

– Mirka – wyszeptałem w pustkę.

Schyliłem się i spojrzałem pod łóżko. Nic.

Dziewczynka zniknęła, szczerze mówiąc – nie zaskoczyło mnie to. Zabrały ją papierowe dzieci.

Z dużego pokoju dobiegło do mnie westchnienie. Najpierw podskoczyłem ze strachu, ale zaraz potem pobiegłem do Hany.

Ocknęła się, oddychała płytko i coraz szybciej.

Jak to możliwe, że przeżyła? – przebiegło mi przez myśl. Zmora z pewnością nie polowała na nią, interesowało ją dziecko, ale i tak...

Nie miałem czasu na głębsze rozważania, doskoczyłem do niej i zacząłem cucić.

IV.

DZIESIĘĆ MINUT PÓŹNIEJ już jako tako kontaktowała.

– Co się stało? – wymamrotała.

Minione godziny pozbawiły mnie jakiejkolwiek wrażliwości. Od kiedy odzyskałem przytomność po ataku Alicy, byłem jak maszyna.

– To coś przyszło po Mirkę i ją zabrało – powiedziałem.

Zaczęła gwałtownie kręcić głową, w jej oczach widziałem, jak prawda do niej przenika, zanurza się i rozpuszcza niczym kostka cukru w gorącej kawie.

Tyle że ta prawda nie była słodka, była to kostka śmiertelnej trucizny, miała podobne działanie.

– Mirka! – jęknęła, podniosła ręce i bezładnie je opuściła.

Objąłem ją, na nic innego nie było mnie stać.

Zapłakała żałośnie, szlochała z głębi duszy.

To było nie do wytrzymania, wystarczyła sekunda, żebym do niej dołączył.

Nagle zamilkła i spojrzała na mnie pytająco:

– Gdzie jest mama?

Odwrociłem się, nie miałem siły, żeby na to odpowiedzieć.

Zrozumiała, głowa opadła jej jak szmacianej lalce. Nie płakała, kiwała się po cichu, czasem tylko pociągała nosem lub głośno przełykała ślinę.

Uzmysłowiłem sobie, że powoli traci kontakt z rzeczywistością. Ścisnąłem ją w ramionach, wydawała mi się coraz lżejsza, jakby opuszczała ciało.

Ulatuje z niej dusza, przyszło mi do głowy. Jeśli czegoś nie zrobię, uleci na dobre, wygaśnie, umrze mi na piersi.

Jej ciche wewnętrzne szlochanie było jeszcze gorsze niż głośny jęk. Nie mogłem tego znieść, musiałem coś zrobić, musiałem!

– Pójdziemy po nią – usłyszałem swój głos.

Zajęło jej chwilę, zanim zrozumiała. Podniosła głowę i spojrzała skołowanym wzrokiem.

Przestraszyłem się, najchętniej wyciąłbym sobie język, jak mogłem palnąć taką bzdurę?

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, nagle znalazłem się gdzie indziej.

Mroźna polana, tysiące rozproszonych śladów, huk metalowych walców. Spojrzenie Alicy, dziewczęce oczy przepełnione przerażeniem i wiarą – wiarą we mnie.

Spojrzenie siostry tuż przed tym, kiedy odwróciłem się do niej plecami i zacząłem od niej uciekać.

Do teraz się nie zatrzymałem, całe plecy miałem w bliznach od tego spojrzenia – nie byłem w stanie go z siebie strząsnąć przez prawie trzy dekady.

Mirka, jej zielone tęczówki, którymi na mnie patrzyła, kiedy przyszły w odwiedziny.

Nagle mi zaświtało.

– Kiedy byliście u mnie – jęknąłem – zabłąkała się do sypialni i na pewno dotknęła kompasu.

Hana milczała, obserwowała mnie bez ruchu, też była gdzie indziej.

– Dlatego tak się zachowałem, właśnie tego się bałem. Dotknęła kompasu, wytworzyła połączenie, przyszli po nią – podsumowałem. I dlatego nie zabiły Hany; ona nie dotknęła żadnego przedmiotu przyniesionego z drugiej strony, nie stawiała im także na drodze, gdy chciały porwać jej córkę, jak jej matka – uzupełniłem w myślach.

Przerwałem rozważania, chciały odciągnąć mnie od tego, co było przede mną, ale nie dałem się zmylić.

Stanąc z tym oko w oko.

Spojrzenie Alicy wbite w plecy, jedyny sposób, żeby wszystko naprawić i strząsnąć je z siebie na zawsze.

– Pójdziemy po nią – powtórzyłem.

– Dokąd? – zapytała, źrenice miała zwężone, przypominały główki od szpilek.

– Do centrum, do jądra, do króla na środku pajęczyny – głos miałem pusty i dudniący, sam się go wystraszyłem. – Musimy tam iść, znaleźć Mirkę i zabrać z powrotem, póki zmora nie zaszczuje jej na polanie jak Alicę.

– Kiedy? – ciągle nie była w pełni władz umysłowych; nawet jej się nie dziwiłem. Ze mną wcale nie było lepiej.

– Natychmiast! – rzuciłem. – O ósmej dotrze ciepły front, zacznie się ocieplać, przejście się zamknie. Nie mamy nawet dziesięciu godzin.

– Przejście?

Przed oczami miałem Gawronie i jamę ofiarną – drogę do innego świata. Tam jest przejście, wykop stanowi bramę.

Nie było jednak czasu na wyjaśnienia. Gwałtownie potrząsnąłem Haną, żeby się ocknęła. Dla pewności dałem jej dwa policzki.

– Zrób herbatę do termosu, żebyśmy nie zamarzli!

Ku mojemu zaskoczeniu – posłuchała, pozbierała się i w odrętwieniu ruszyła do kuchni.

Gawronie – rozległa zalesiona łąka pomiędzy Przednim i Tylnym Czebratem. Podejrzewałem, gdzie to jest, ale dla pewności włączyłem iPhone i wyszukałem to miejsce w *Google Maps*. Włączyłem funkcję *Nawigacja*. Telefon poprowadzi nas jak GPS, wyliczył też długość trasy. Droga miała trwać godzinę z minutami. Dla pewności brałem pod uwagę od półtorej do dwóch godzin marszu – jest siarczysty mróz, będziemy brodzić w śniegu.

Wyczerpaną Hanę zostawiłem krzątającą się po kuchni i poszedłem do sypialni (na zwłoki nie patrzyłem), otworzyłem szafę i wyciągnąłem kilka swetrów.

Naciągnęliśmy je na siebie, było mi obojętne, że są damskie. Pożyczyłem sobie też szalik, czapkę i rękawiczki.

Hana przygotowała herbatę. Dla pewności sprawdziłem, czy do termosu nie nalała tylko gorącej wody, ale poczułem zapach dzikiej róży. Stopniowo dochodziła do siebie – dobry znak.

Na półce przy drzwiach znalazła trzy latarki. Jedna nie świeciła, z drugiej sączyło się mdłe, żółte światło, za to trzecia była halogenowa i rzucała ostry, biały snop. Zważyłem ją w dłoni, dobrze leżała, dałoby się nią nawet kogoś uderzyć, to dodawało mi irracjonalnego poczucia bezpieczeństwa.

Nie było czasu na wahania i dyskusje. Po prostu wyszliśmy z mieszkania i ruszyliśmy do ciemnego lasu. Prosto do centrum, do pająka siedzącego pośrodku pajęczyny, w objęcia czarnego króla.

CZARNY KRÓL

I.

Z KAŻDYM KROKIEM docierało do mnie, na co się porwaliśmy.

Kurwa! – przeklinałem w myślach. Kurwa! Kurwa!

Dzięki temu miałem siłę, żeby stawiać nogę za nogą, wpatrywać się w niewyraźny krążek światła na śniegu i kroczyć w stronę świerków rosnących gęsto na straży wejścia do lasu. Za plecami słyszałem kroki Hany, chrzęściły na śniegu, ale nie zwracałem na nie uwagi, byłem zagłębiony swoim wnętrzu.

W swoim wnętrzu, w przeszłości, w pustce.

– Musimy iść starą ścieżką, nie ma innej możliwości – rzuciłem przez ramię.

Milczała, wyczułem jednak, że moje zdanie się w nią wbiło. Utkwiło w jej duszy jak rdzawy odłamek.

Musieliśmy przejść obok orzecha na środku łąki, obejść rozdzielnię, przebrnąć przez Mały i Duży Szałas i obok Małej Skały zanurzyć się w leśną głębinę.

Znajoma trasa, chyba aż za bardzo – ostatnio szliśmy nią jako dzieci, znaliśmy ją jednak najlepiej ze wszystkich dróg, które kiedykolwiek przebyliśmy.

Dziś sobie ją powtórzymy, zgubimy się, znikniemy – szalało mi w głowie. Wiedziałem, że znikniemy, wyparujemy, czułem to w żołądku, jelitach i kościach.

– Nie bój się, znajdziemy ją – dodawałem otuchy Hanie, starając się, by nie trząsł mi się głos.

Dwie smugi światła przecinały czarną ciemność i od czasu do czasu zawiewający śnieg. Księżyc jeszcze nie wyszedł albo zasłaniały go ciężkie

chmury. Przebrodziliśmy się przez łąkę między domami. Od orzecha, wokół którego zmora owinęła truchło jelenia, celowo odwróciliśmy wzrok. Oboje pomyśleliśmy o tym samym – starego budynku i tak nie unikniemy, musimy przejść tuż obok niego. Szukanie innej drogi i przedzieranie się przez zarośla było w nocy bezsensowne. Co więcej, nie mieliśmy na to czasu. Do ocieplenia zostało wprowadzić niecałe dziesięć godzin, ale kto wie, ile zajmie nam dotarcie na Gawronie.

Odwróciłem się i poświeciłem na podwójny łańcuszek śladów, który zostawialiśmy za sobą. To wszystko, co po nas zostanie – dwie wstążki wydeptane w śniegu. Wkrótce zawieje je wiatr albo się roztopią. Zresztą – właśnie takie jest życie.

Zanurzyliśmy się pomiędzy drzewa, leśny tunel prowadził nas wprost do rozdzielni, spodziewałem się, że znów rozdziawi usta i po prostu nas połknie. Suche gałązki wystające z ciemności cięły mi ręce i twarz jak gnaty kościotrupa. Porównanie nie było aż tak niedorzeczne – Czebrat wsysał dusze i ciała, a wszystko, co na nim rośło, wykiełkowało ze zniszczenia.

Milczeliśmy, nie mieliśmy nastroju na rozmowę, wręcz przeciwnie – jak najmocniej zaciskaliśmy usta, mając wrażenie, że jeśli je otworzymy, wniknie w nas obca siła rozprzestrzeniająca się pomiędzy drzewami.

Z każdym krokiem oddalaliśmy się od tego, co znane. Najpierw chrzęszczenie śniegu pod nogami, potem smaganie mroźnego powietrza na naszych twarzach, a w końcu wilgoć potu na potylicy. Wszystko, co było znajome, znikало, topiliśmy się w czystej niewiadomej, nie istniało żadne ziemskie słowo na nazwanie tego, ku czemu zmierzaliśmy. Las nagle stracił smak i zapach, dźwięki zlały się w jałowy szum. Uczucia zbiły się w bezkształtną watę. Oczywiście z wyjątkiem strachu, on istniał także w obcym świecie, właśnie on tworzył kanał, bramę łączącą oba wymiary.

Ledwo zdałem sobie sprawę z przerażania, które kłębiło się we mnie jak rodzące się nowe życie, gdy zobaczyłem mury rozdzielni. Okna i drzwi wyglądały tak samo jak przed laty. Patrzyły na nas z ukosa, snopy światła odkrywały plamy na odpadającym tynku. Rozdzielnia także się starzała, jej twarz orały już nie tylko pęknięcia, ale i wysepki złuszczonej skóry.

Skóra ściągnięta z twarzy. Alica.

Na ramieniu wylądowała mi czyjaś ręka, wzdrygnąłem się.

– Dajesz radę? – wyszeptała Hana.

Nie odpowiedziałem, ruszyłem ścieżką tam, dokąd papierowe dzieci zaciągnęły moją siostrę.

Obdarły ją ze skóry. Obdarły ją ze skóry.

Hana ruszyła za mną, zapewne nie miała pojęcia, skąd we mnie tyle siły, żeby kroczyć w objęcia wielkiego, złego pająka. Ja też nie miałem pojęcia, po prostu coś pchało mnie przed siebie.

Obdarły ją ze skóry.

Ciemność jeszcze bardziej zgęstniała, oprócz białego kręgu światła nie widziałem kompletnie nic, przez chwilę miałem wrażenie, że poza nim nic nie istnieje, że znaleźliśmy się w jakiejś kosmicznej pustce, pośrodku czarnej nieskończoności. Będziemy tak szli już zawsze, latarki za chwilę się nam rozładują, światło zniknie, a my utopimy się w smolisto-czarnym atramencie. Przypomniałem sobie film dokumentalny o ośmiornicach wydzielających toksyczny czarny barwnik. Może ciemność pochłaniająca wszystko co nam znane, wszystko co ziemskie, stanowiła mechanizm obronny jakiejś zbłąkanej ośmiornicy, która dziesiątki milionów lat temu zagnieździła się w Czebracie.

Snopy światła nagle stały się dłuższe, dotarliśmy na szczyt zbocza i znaleźliśmy się na Małym Szałasie. Bałem się, że zobaczę tumany zielonej

mgły albo że zamiast na małą łąkę wejdziemy na tę bezkresną polanę usianą tysiącem śladów.

Nic takiego się nie wydarzyło. Światło z latarek ukazywało ziemski Mały Szałas, wciąż tkwiliśmy w zwyczajnym świecie, jeszcze nie przeszliśmy na drugą stronę.

Jeszcze nas nie wciągnęła – poprawiłem się i odetchnąłem.

– Patrz! – jęknęła Hana.

Światło z jej latarki padło na coś. Stało to pośrodku łąki i czekało na nas.

– Co, do jasne... – wymamrotałem i też poświeciłem.

Pośrodku zaśnieżonej równiny z ciemności wyłaniał się mały bałwan. Ulepiony przez dzieci, miał nie więcej niż pół metra. Na górnej kuli, czyli głowie, coś błysnęło...

– Nie idź... – próbowałem zatrzymać Hanę. Za późno. Ruszyła w objęcia śnieżnego mężczyzny.

– Chryste – wydukała. Poświeciłem na nią. W świetle błysnęły jej wytrzeszczone oczy i obłoczki pary.

Domyślałem się, o co chodzi, wiedziałem, że czarny król bawi się tym, co zabiera porwanym dzieciom.

Podszedłem do śnieżnej postaci. Nie miała twarzy – żadnych węgielków ani szpiczastej marchewki zamiast nosa. Za to z białego czoła wyzierało wciśnięte oko dziecka.

Zielone! – przebiegło mi przez myśl. Takie ma Mirka!

Bałwan-cyklop z jedną gałką oczną pobłyskującą w wiązce światła. Złośliwość tej istoty nie mogła mnie już zaskoczyć. (Tak przynajmniej myślałem.)

Latarka Hany zaczęła się trząść, jeszcze chwila i akcja ratunkowa skończy się na dobre. Gapiłem się na to koszmarnie zjawisko, pomimo strachu coś wydało mi się dziwne. Podeszedłem bliżej i schyliłem się.

Hana drżała, bałwan się skrzył, zielone oko groźnie pobłyskiwało. Poświeciłem na niego, syknąłem ze złości i wsadziłem palec w głowę małej figurki. Wbiłem go najgłębiej, jak się dało, i wydrażone oko spadło na śnieg.

– Co robisz?! – wrzasnęła.

– Patrz – skierowałem światło na ziemię.

To nie była gałka oczna, tylko szklana imitacja źrenicy z jakiejś lalki.

– Co? – zająknęła się.

– Sztuczne oko z zabawki dla dzieci.

Odetchnęła, po jej policzku spłynęła zamarzająca łza.

Nie było czasu, żeby się opamiętać. Złapałem Hanę za ramię i odciągnąłem od tej anomalii – niewinnego powitania na naszej wędrówce.

II.

ŚNIEGU NIE PRZYBYWAŁO, ale z każdym krokiem nogi stawały się coraz cięższe. Przed nami był Wielki Szałas, a nad nim z pewnością kolejna niespodzianka. Co to będzie tym razem? Czarny król lubi zabawę, dawkuje strach i szaleństwo, niewątpliwie coś tam czeka. Zbliżyliśmy się, coraz mocniej zaciskałem zęby, nie przejmując się bólem w zranionej żuchwie. Im bliżej byliśmy, tym wolniej szedłem, ciało stawiało opór.

Obdarły ją ze skóry – powtarzałem sobie jak mantrę.

Ze skóry, ze skóry, ze skóry.

Tylko to mnie napędzało, przed oczami utrzymywałem obraz roześmianej Mirki.

To się nie może powtórzyć, już nie!

Weszliśmy na łąkę i ze strachem przeczesaliśmy ją światłem latarek. Wiatr unosił śnieg delikatnie nad ziemią, nerwy nam puszczały, z ciemności zaraz wyłoni się coś strasznego.

Coś strasznego...

Rozpaczliwie przejrzałem każdy fragment przestrzeni, wrzała we mnie wściekłość.

Pusta równina, śnieg, nic więcej.

– Widzisz coś? – wyszeptalem.

Nie odpowiedziała, usłyszałem tylko przytłumiony szloch. Nawet na nią nie spojrzałem, wiedziałem, co czuje, też prawie się rozplakałem. Tego potężnego napięcia nie dało się już wytrzymać.

Spodziewaliśmy się jakiegoś koszmaru i właśnie dlatego nie nadszedł.

Czarny król lubi się bawić.

Kolejne zaskoczenie zaatakuje nas gdzieś indziej, kiedy będziemy się tego najmniej spodziewać.

W milczeniu napiliśmy się gorącej herbaty i ruszyliśmy pod górę – od Małej Skały dzieliło nas stumetrowe podejście. Śnieg chrząścił nam pod nogami, topiliśmy się w nim po kolana. Świszczący północny wiatr uderzał mi prosto w twarz, w której traciłem czucie. Jednooki bałwan wyrwał mnie na chwilę z apatii, ale znów wszystko zlało mi się w jedną całość, zostawało tylko chrząszczenie śniegu, gwizdanie wiatru, ciemność i skrzypienie drzew. Zanurzałem się w błogą mgłę, nagle przestało być mi zimno, czułem się coraz lepszy.

W głowie zaczęła błyskać mi dioda alarmowa, coś było nie w porządku, ta mgła jednak zawładnęła mną, świat bez ostrych krawędzi i niebezpieczeństwa smakował przyjemnie słodko.

Hana uderzyła mnie między łopatki, upadłem na kolana.

Chciałem na nią krzyknąć, zaświeciłem jej w twarz i...

Zamilkłem. W oczach miała śmiertelne przerażenie, palec wskazujący przyciskała do ust na znak, żebym nawet nie pisnął.

Potrząsnąłem głową, szum rozstał się, zaczęły docierać do mnie okoliczne dźwięki.

Zacharczałem, wszystkie słowa wyparowały.

W nocnym zamarzniętym lesie rozlegało się szczebiotanie ptaków, brzęczenie owadów i szum gęstych traw. Letnie odgłosy, tak brzmi las w lipcu i w sierpniu. Poświeciłem na огоłocone gałęzie najbliższych drzew liściastych. Wiatr przybrał na sile, bezlistne gałęzie zakołysały się, dotarł do nas intensywny szum.

Brzęczenie owadów brzmiało coraz głośniejsze, przeistaczało się w huk metalowych pszczoł.

Przycisnąłem dłonie do uszu. W ogóle nie pomogło, jakby huk nie pochodził z zewnątrz, ale z wewnątrz – prosto z naszych głów. Całe moje ciało się trzęsło, czułem się jak gigantyczny gwizdek, na którym ktoś właśnie gwizdał.

Hanie wypadła z rąk latarka i zatopiła się w śniegu. Schyliła się, prawie wymiotowała. Też miałem odruch wymiotny, jeśli koszmarny huk jeszcze się nasili, runę na śnieg albo rozpadnę się na kawałki. Zwinąłem się w kłębek, czaszka była bliska wybuchu.

Wszystko ucichło. Znaleźliśmy się w ciszy, doskonałej ciszy. Hana coś do mnie krzyczała, widziałem, jak się wydziera, ale nie docierał do mnie żaden dźwięk.

Próżnia kosmiczna, w kosmosie nikt nie usłyszy twojego krzyku.

Szybko odetchnąłem – ciągle nic, nie słyszałem nawet bicia swojego serca.

Pozbierałem się i dopełrzałem do Hany. Śnieg milczał, jakby chrzczenie go już zmęczyło.

Pośród drzew ujrzałem żółte światło. Na Małej Skale płonął mały ogień. Przysiągłbym, że przed chwilą go tam nie było, ale biorąc pod uwagę wszystko, co się działo, był to nieistotny szczegół. Dotarł do mnie mamiący zapach pieczonego mięsa. Byłem wygłodniały, odruchowo przełknąłem ślinę.

Hana wyłowiła ze śniegu latarkę, która przy upadku zepsuła się i przestała świecić. Przez chwilę nią potrząsała, w końcu straciła cierpliwość i rzuciła ją w zarośla.

Nie miałem siły na jakąkolwiek reakcję, ogień i zapach skwierczącego tłuszczu usilnie mnie przyciągał. Nie wiem nawet, jak przeszliśmy ostatni kawałek. Nagle zbliżyliśmy się do szczytu jednej z kamiennych iglic – dokładnie tam, gdzie dziewięć dni temu staliśmy z Bohuszem, Otą i innymi mężczyznami. Dokładnie tam, gdzie usłyszeliśmy dziecięcy śpiew.

Na łące nie było żadnego dziecka, ale płonął ogień, przyjemnie rozświetlający okoliczny las. Zapach mięsa był nie do zniesienia, nie mogłem sobie z tym poradzić, śliniłem się jak pies. Przyszła mi na myśl matka – często powtarzała, że kiedy zostanę sam, nie będę potrafił ugotować nawet zwykłego obiadu. Miała rację, przez ostatnie dni jadłem tylko pieczywo i dania z proszku.

Nie czekając na Hanę, wdrapałem się na górę. Wiedziałem, że nie czeka tam na mnie żadna uczta, wręcz przeciwnie – to kolejna zasadzka. Ale rozum już od dłuższej chwili przegrywał na punkty, w każdej chwili groził mu ostateczny nokaut.

Obok dogasającego ogniska w roztopionym śniegu leżał wzorowo rozłożony zestaw obiadowy. Stolik, talerzyki, sztućce... Tyle że to wszystko były plastikowe zabawki dla dzieci. Na żółtym talerzu czekało

nawet przygotowane jedzenie – garść letniej trawy, zielony łopian i kilka szyszek.

Odwrociłem się i poświeciłem głębiej w las. Śnieg na stromym zboczu wydawał mi się jakiś dziwny. Podeszedłem trochę bliżej i poświeciłem po zboczu. Pokrywały go dziwne kopczyki, ciągle nie wiedziałem, na co patrzę.

Pod nogami coś mi trzasnęło. Opakowanie po foremkach do piasku – czerwony kot, niebieski klaun, biała dziewczynka, pomarańczowe auto.

Hana coś mówiła, wciąż nie słyszałem słów, tylko słaby szum. I tak było dla mnie jasne, że pyta, co znalazłem.

Nie reagowałem, nie było sensu niczego wyjaśniać, jakkolwiek sens i znaczenie rozpadały się tu na kawałki.

Podeszedłem do stoku i znów na niego poświeciłem. Rozległą powierzchnię pokrywały tysiące odcisków z jednej foremki – białej dziewczynki machającej ręką. Drobną sylwetkę wyzierała ze śniegu wszędzie, gdzie sięgał wzrok. Machające zastępy ginęły we mgle tam, gdzie nie docierało światło latarki.

Zza moich pleców odezwał się śmiech, czar prysł, usłyszałem to wręcz idealnie. Hana patrząc na groteskowe odciski, zaczęła histerycznie chichotać, definitywnie zwariowała. Nie wiem, co było dla mnie źródłem większego strachu – nedorzeczne omamy czy jej cienki śmiech rozlegający się w ciemności pomiędzy drzewami. Nie wiedziałem, co robić, przez chwilę stałem bezradnie, mając nadzieję, że atak minie. Po chwili podeszedłem i energicznie nią potrząsałem. Nagle umilkła, była jak pusta skorupka, bez ducha. Wygasła, oczy miała jak dwa talerze, patrzyła nieprzytomnie, nie reagowała na żadne potrząsania. Gdyby nie ja, dawno gdzieś by utknęła, nigdy w życiu nie znalazłaby córki. W przelotnym przeblasku jasności umysłu znów zaskoczyła mnie własna determinacja.

Jeszcze parę dni temu rozsypałbym się, nie wytrzymałbym natłoku szaleństwa. Dziś w nocy było mi wszystko jedno – kolejna pusta skorupka. I właśnie to dodawało mi determinacji. Złapałem Hanę za rękę, poświeciłem na drogę i ruszyłem po śladach na śniegu.

III.

STRACIŁEM POCZUCIE CZASU, nie mam pojęcia, jak długo pokonywaliśmy ostatni odcinek. Przez chwilę żywiłem nawet nadzieję, że moc czarnego króla wyczerpie się i że pomimo strachu w końcu dotrzemy do celu. Coraz częściej odwracałem się i świeciłem w ciemność za naszymi plecami. Miałem nieodparte wrażenie, że coś mnie obserwuje. Z początku podejrzewałem Hanę, ale szybko zorientowałem się, że idzie wprawdzie za mną, ale kroki stawia bez życia jak bydlę prowadzone do rzeźni, z oczami wpatrzonymi w pustkę. Mrowienie na potylicy przybierało na sile, odwracałem się gwałtownie i świeciłem za siebie. Za każdym razem biała smuga daremnie wbijała się w ciemność. Nadzwyczaj jasno przypominałem sobie artykuł, który czytałem w „Plus siedem dni”. Syberyjscy myśliwi opisywali w nim spotkania z leśnymi duchami czy istotami nazywanymi *menkvi*. Wszystkie opowieści miały wspólny element – pierwszą oznaką obecności *menkvi* jest podobno mrowienie na potylicy. Inne objawy to rozliczne omamy i słyszenie dziwnych dźwięków. Jeśli myśliwy nie ucieknie, zmora zjawia się tuż przed nim. Wówczas nawet nielekliwy człowiek może umrzeć ze strachu. Jeśli przypadkiem przeżyje, na zawsze traci rozum.

Kiedyś myślałem, że to przerażające. Przeżycia ostatnich godzin rzuciły mi jednak nowe światło na tę sytuację. To, z czym walczyliśmy, to nie żaden duch, demon ani zmora. Był to absolutny rozpad porządku naszego

świata, poczytalności, wszystkiego ludzkiego – w myśleniu, postrzeganiu, we wszystkim. Nie istniało na to żadne słowo, żadna nazwa. Wszystko, na co istnieje jakieś słowo, jest ludzkie, zbyt ludzkie. To przychodziło ze strefy bezsłownej, gdzie ludzki umysł, doświadczenie ani język nigdy nie dotarły. Koszmar, który przeżyliśmy do tej pory, to był tylko sposób, w jaki nasze umysły radziły sobie z tą obcością. Dziecięcy śpiew, przerażające wizje, papierowe dzieci – śmieszne rekwizyty na potrzeby kosmaru. Z pewnością tworzyliśmy je sami, bo nie było w nas nic, co mogłoby lepiej wyrazić istotę czarnego króla. Wciąż były to nasze własne nalepki, którymi umysł i percepcja starały się polatać resztki poczytalności. Temu czemuś chodziło o strach. Tak. W przeciwnym razie nigdy nie udałooby się mu do nas przeniknąć; oddziaływało na nas, ale materiał, z którego tkano swój horror, oferowaliśmy sami.

Zatrzymałem się, wyciągnąłem rękę z rękawiczki i zmarzniętymi palcami sprawdziłem w iPhone naszym położenie. Staliśmy niedaleko Gawroniego, od łąki dzielił nas jedynie rzadki las. Poświeciłem na drzewa, szukając najodpowiedniejszej trasy.

– Patrz! – szepnęła Hana.

Dźwięk jej głosu przestraszył mnie. Nic ludzkiego nie przynależało do tego miejsca. Kątem oka zauważyłem chmurę zielonkawej mgły. Przechodziliśmy na drugą stronę, zapach ludzkiego ciała przyciągał nieproszoną uwagę – każdy dźwięk, zapach czy dotyk zakłócał spokój tego czegoś.

– Poświeć tam! – nalegała.

Posłuchałem. I tak to nie potrwa długo, wpadniemy w pajęczynę, nie ma sensu się ukrywać.

Na pniach wokół nas rysowały się zarysy postaci. Kilka z nich zobaczyłem także na zamarzniętym śniegu. Wyglądały jak cienie albo

sylwetki, które policjanci obrysowują wokół zwłok.

Odwróciłem się – były wszędzie.

Coś mi przypominały, coś znajomego...

Sylwetki zaginionych – pomyślałem. Podobne cienie powstały w Nagasaki i Hiroszynie. Setki ludzi po wybuchu po prostu zniknęły. Jedyne, co po nich zostało, to przerażające kontury na ścianach, murach i klatkach schodowych.

Ilu właściwie ludzi zamarzło tu przez wieki? – przebiegło mi przez myśl. Cała średniowieczna osada, dziesiątki, może setki dzieci. Czy po każdym zaginionym, wciągniętym na drugą stronę, pozostaje taki obrys? Kto wie, ilu ich jest, nie tylko tu, ale i w innych lasach, na pustyniach, może także w miastach. Zwykłym wzrokiem nie można ich zobaczyć, żeby je zauważyć, trzeba stanąć na granicy obcego świata.

Przeszliśmy przez stromy las, teren wyrównał się – staliśmy na Gawronim, dysząc, patrzyliśmy na otwierający się przed nami świerkowy labirynt. Droga do szybu prowadziła tędy – wąskimi ścieżkami pomiędzy pniami, pod koronami drzew iglastych.

Gwałtownie odwróciłem się i poświeciłem w ciemność. Nie było żadnej zakradającej się zmory. Hana zauważyła to, ale w oczach nie miała pytań, nie miała w nich zupełnie nic. Zawiał wiatr, drzewa zaczęły się kołysać, przez chwilę wydało mi się, że słyszę charczenie martwych dzieci.

Wdarliśmy się do labiryntu, migający punkt na ekranie telefonu wskazywał, w którą stronę iść. Staraliśmy się stawiać kroki po cichu, ale śnieg jak na złość znów zaczął głośno chrzęścić. I to nie tylko pod naszymi nogami, wyraźnie słyszeliśmy, że od czasu do czasu po bocznych ścieżkach ktoś przebiega. W smudze światła, która oświecała wąskie przejścia, unosiły się obłoczki wydychanej pary, poza tym wszystko pozostawało

w bezruchu. Wszystko było martwe i zastygłe, jakby zatrzymał się tu nawet czas.

Mrowienie na potylicy nie ustawało. Kiedy poświeciłem za siebie, zobaczyłem bladą plamę – przerażającą twarz dziecka. Przyśpieszyłem, to wszystko, na co było mnie stać. Biec w głębokim śniegu się nie dało, zresztą próba ucieczki i tak nie miałaby sensu. Koszmar ostatnich dni i zupełne wyczerpanie sprawiły, że serce nawet mi nie przyśpieszyło. Jedyne, co mnie interesowało, to dotarcie do szybu. Nie zastanawiałem się nad tym, co zrobimy, kiedy tam dojdziemy. Mój umysł spowijała zielona mgła.

Drzewa nagle się rozstały, przeszliśmy przez labirynt i pokonaliśmy ostatni odcinek trasy. Spodziewałem się, że będzie najtrudniejszy, ale w porównaniu ze strachem, którego najedliśmy się u podnóża góry, to była pestka. Przed nami rozciągała się niewielka równina. Na jej skraju swoje podwoje rozwierał szyb – czarna dziura o zaskakująco okrągłym kształcie. Wionął z niej smród prastarej stęchlizny i czegoś pozaziemskiego.

Hana zaczęła szybciej oddychać – trudno powiedzieć, czy ze strachu, zmęczenia czy nadziei, że uda się nam uratować Mirkę. Przeszła obok mnie i jak lunatyk ruszyła w stronę dziury.

Zrobiło mi się cieplej na sercu. Jeszcze nie wygraliśmy, ale dotarliśmy aż tutaj. Mój egzamin poprawkowy za Alicę zdałem chociaż częściowo. Stałem z tym oko w oko, bez uciekania. Hana sama nigdy by tu nie dotarła. Nawet nie przyszłoby jej to do głowy, nie miała pojęcia o szybie. Potrzebowała kogoś, kto poprowadzi ją przez fale szaleństwa prosto do centrum. Kogoś takiego jak ja.

Dokładnie tak, jak nakazała mi Alica.

Zważyłem w dłoni latarkę, podszedłem do brodzącej w śniegu Hany i uderzyłem ją z całej siły w głowę. Nawet nie pisnęła, upadła na śnieg.

Jak w rzeźni.

Nie czekając na nic, kopnąłem ją ciężkim butem w kręgosłup. Termos, który miała w torbie, rozpadł się na tysiąc kawałków. Poczułem zapach herbaty z dzikiej róży. Nie usłyszałem jednak pękających kości, kopnąłem więc jeszcze raz. Tym razem było lepiej – kilka kręgów ustąpiło.

Ocknęła się i zaczęła krzyczeć, nie wiedziała, co się dzieje.

Od kiedy odzyskałem świadomość po ataku Alicy, byłem jak maszyna. W mojej głowie królowała zielona mgła i metaliczny huk.

Nie było ucieczki, nie było uwolnienia się z pętli, Alica dopadła mnie i przemieniła. Nie byłem w stanie sprzeciwić się jej rozkazom, gnały mnie do przodu. Stałem się myśliwym, podstarzałym papierowym dzieckiem; przed czarnymi królem – swoim dzieciństwem – nie można przecież uciec.

Skakałem po połamanym, krzyczącym ciebie. Mgła unosiła się, wszystko stawało się coraz jaśniejsze.

Zmora polowała na nas przez dziesiątki lat, chciała mieć z nas jak najwięcej radości.

Ofiary za życia łamano i rzucano do jamy ofiarnej służącej jako wejście do świata duchów – napisał w dzienniku Hradsky.

Tak to się robi, tak jest najlepiej!

Tyle że Hanę, największy przysmak – ostatnią z naszej czwórki, najtrudniej byłoby zaciągnąć czarnemu królowi do szybu, dlatego wysłał po nią mnie. Hana była moim celem, z łatwością dała się tu zwabić. W ogóle mnie nie przejrzała, zawsze mówiłem, że rodzicielstwo otumania. Rodzic, jeśli chodzi o dziecko, uwierzy w każdą brednię.

Nadepnąłem jej na szyję, żeby trochę się uciszyła, nie znoszę kobiecego wrzasku. Ciągłe charczała, ale wołałem to niż nieznośny krzyk. Zaczęła nawet grabić rękami śnieg, próbując się odczołgać. Dałem jej iskierkę nadziei. Nabrałem do ręki zimny biały puch i schłodziłem wyschnięte

gardło. Po chwili jednak znów podszedłem i dwoma skokami zmiażdżyłem jej palce w rękawiczkach.

Im bardziej połamane, tym smaczniejsze. Chyba znów krzyczała, ale nie zwracałem już uwagi na takie drobiazgi.

Złapałem ją za kołnierz, dociągnąłem do szybu i zrzuciłem w ciemność.

Hołd i dar dla czarnego króla.

Z ciemności pomiędzy drzewami powoli wynurzały się dziesiątki bladych plam. Twarze bez oczu, uszu, ust czy nosów już mnie nie przerażały. Zobaczyłem Alicę, wreszcie znów będziemy razem. Moje miejsce było między nimi, dzieciństwo dogoni każdego, zwłaszcza jeśli w najmłodszych latach poparzy go mróz.

IV.

NIE PRZYPOMINAM SOBIE DOKŁADNIE, co stało się później. Może ja też wskoczyłem do szybu i przeszedłem na drugą stronę? Wspomnienia były mgliste i matowe. Znajdowałem się na polanie usianej dziecięcymi śladami, ujrzałem płaczącą Mirkę i zaszczułem ją na śmierć. Dając mi tę możliwość, czarny król odwdzieczył się za wykonaną przysługę. Widziałem go, czegoś takiego nie można zapomnieć. Czekał na mnie w prastarej wieży pośrodku polany. Nie zaskoczyło mnie to. Czebrat w jakimś prastarym języku znaczy *wieża*. Rozmawialiśmy, przekazał mi następne zadanie.

Nad ranem, wracając po swoich śladach, zszedłem do Małych Tatr. Do lasu prowadziły dwa łańcuchy śladów, z lasu tylko jeden. Nie szkodzi, śnieg i tak już topniał, naprawdę robiło się cieplej. Bramy zostaną zamknięte, wszystko będzie po staremu.

Właśnie w tej kwestii mogłem być użyteczny, czarny król poznał się na mnie. Nie żywi się ludzkim strachem – coś takiego pasuje co najwyżej do

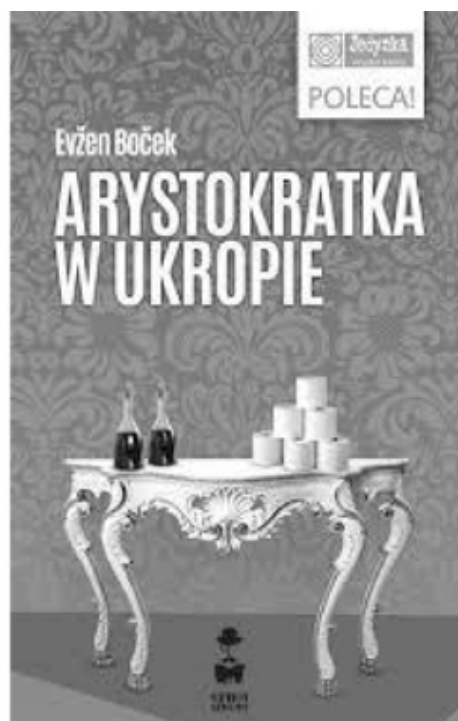
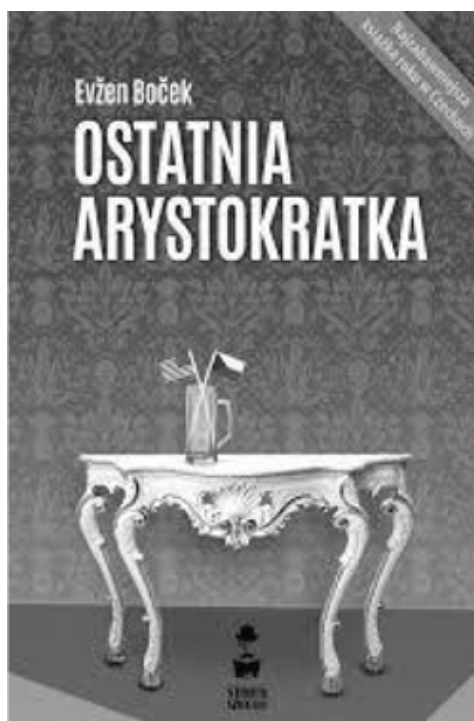
taniej opowiadki o duchach. Strach to znacznie dziwniejszy stan. Jeśli chcecie do kogoś przeniknąć, dostać się do jego umysłu i duszy, musicie zwrócić jego uwagę, jak najbardziej. W żaden inny sposób nie uda się wam to skuteczniej niż wtedy, gdy tę osobę porządnie wystraszyście. Strach zbliża jeszcze bardziej niż miłość, otwiera bramy duszy. Przerażony człowiek skupia na was sto procent swojej uwagi, obnaża się przed wami do dna, nawet o tym nie wiedząc. Wszystko to, czego boimy się najbardziej, wręcz zapraszamy do swojego życia.

Dokładnie tego potrzebuje czarny król. Gdy tylko przekroczy próg, zagnieżdża się, stopniowo zaczyna panować nad umysłem i percepcją ofiary, wykrzywia jej świat, przeciąga do siebie – na drugą stronę.

Obszar łowiska w okolicy Czebrata jest ograniczony. Ale strach można szerzyć także w inny sposób. Nie ogranicza go żadna odległość, przenosi się jak nasionko na wietrze – na przykład przez słowa. Zawsze byłem dobry w pisaniu, przez lata pracowałem w agencji reklamowej, potrafię rozpowszechniać i sprzedawać odpowiednie słowa.

Każdy strach ma swoją częstotliwość, można go ustawić jak stację radiową. Jeśli baliście się na myśl o papierowych dzieciach, już o was wiedzą, gdziekolwiek byście nie byli. Wysłaliście sygnał, dzięki któremu do was dotrą. Nie stanie się to dzisiaj ani jutro. Ale poczekajcie do następnej arktycznej zimy. Wtedy nasłuchujcie cichego szumu. Kiedy go usłyszycie, będą już blisko, szum wkrótce przemieni się w metalowy huk. Potem się spotkamy, papierowe dzieci przyprowadzą was prosto do mnie – na mroźną polanę usianą tysiącami śladów.

Wiem, jakie mam zadanie. Wszystko zrozumiałem, schodząc z góry. Doszedłem do domu, w którym się wychowywałem. Drzwi mieszkania rodziców otworzyły się tak lekko, jakby wkroczenie na teren, z którego przez całe dzieciństwo pragnąłem uciec, nie było niczym trudnym.



Przewrotny humor i galeria nietuzinkowych osobowości gwarantują dobrą zabawę. Obok historii opowiedzianej w taki sposób nie można przejść obojętnie. Mamy do czynienia z jedną z najzabawniejszych książek XXI wieku!

Rodzina Kostków powraca z Ameryki do Czech, by przejąć dawną siedzibę rodu – zamek Kostka. W zamku zastają dotychczasowych pracowników: kasztelana, ogrodnika oraz kucharkę. Jak nowi właściciele poradzą sobie w nowej rzeczywistości? Jak odnajdą się w rolach dotychczas nieodgrywanych?



Ta powieść chwyta za gardło i trzyma do ostatniej strony!

Zmęczony metropolią Wiktor wyjeżdża z Pragi, by zostać kasztelanem morawskiego zamku. Pragnie odnaleźć wewnętrzną równowagę i zażegnać kryzys małżeński. Jednak wizja spokojnego życia wśród zabytkowych mebli i dzieł sztuki szybko odchodzi w zapomnienie. Na zamku czeka demony przeszłości.



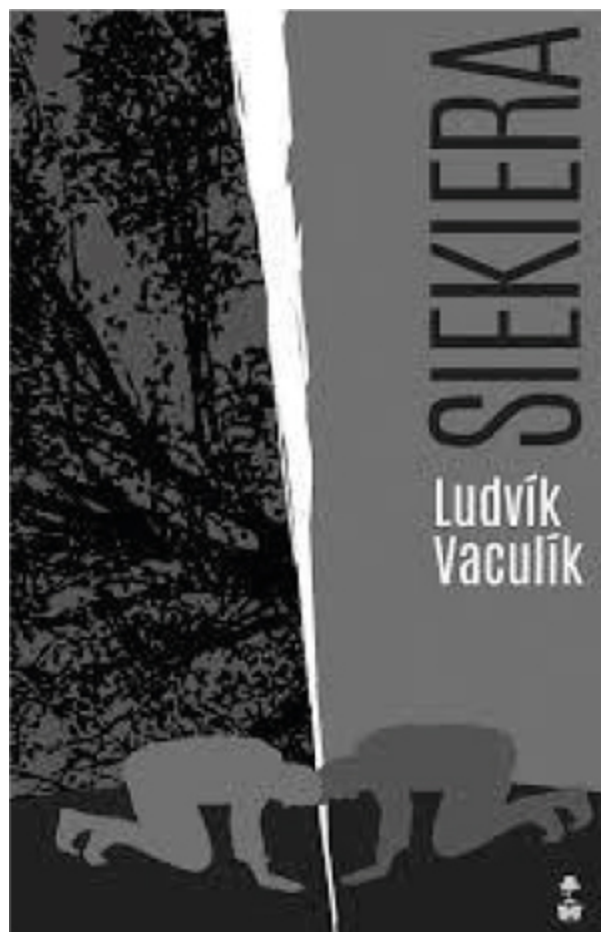
MISTYCZNY PORNO-GASTRO THRILLER Z XIX-WIECZNEJ PRAGI

Nadchodzi nowy rok. Kiedy praski Orloj wybija północ, odkryta zostaje bestialska zbrodnia. Śledztwo w tej sprawie prowadzi ekscentryczny komisarz Durman. Czy jego nietypowe metody doprowadzą do ujęcia sprawcy? Jak powstrzymać mordercę, który zawsze o krok wyprzedza policję? I czym jest tajemnicze Ordo Novi Ordinis?



Pewien praski bankier z braku innego pomysłu kupuje synowi na Boże Narodzenie świnkę morską. Jak dalece to niewinne wydarzenie zmieni życie rodziny? Jakie sekrety skrywa bank narodowy? I czy przed kryzysem finansowym można schować się w beczce?

W żadnym innym utworze literatura czeska nie zbliżyła się do twórczości Franza Kafki tak bardzo, jak w Świnkach morskich. (Milan Exner)



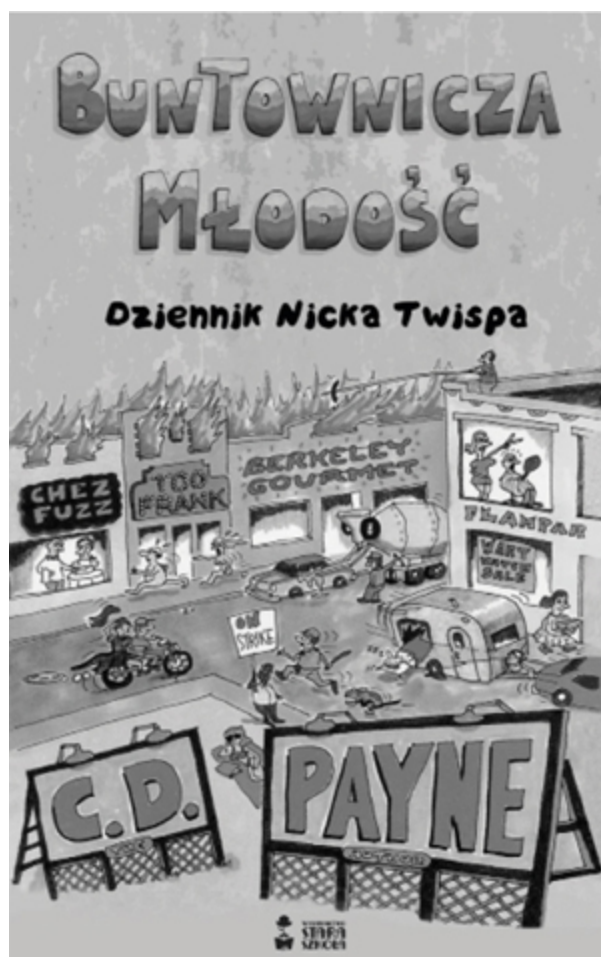
Powracający w rodzinne morawskie góry praski dziennikarz dokonuje bilansu swojego życia.

Siekiera jest dowodem na to, że sytuacja człowieka w społeczeństwie i w rodzinie nie zmieniła się w przeciągu ostatniego półwiecza tak bardzo, jak zwykliśmy sądzić. Ta powieść wciąż jest niezwykle aktualna.



Zabawna powieść o kobietach i mężczyznach. Tę książkę kupił co setny Czech!

Ekożona stawia wiele aktualnych pytań: Czego oczekujemy od swoich partnerów? Jakie jest znaczenie porodu naturalnego? Co tak naprawdę oznacza życie w zgodzie z naturą i z samym sobą? Czy naturalny jest na przykład ogród? Albo małżeństwo?

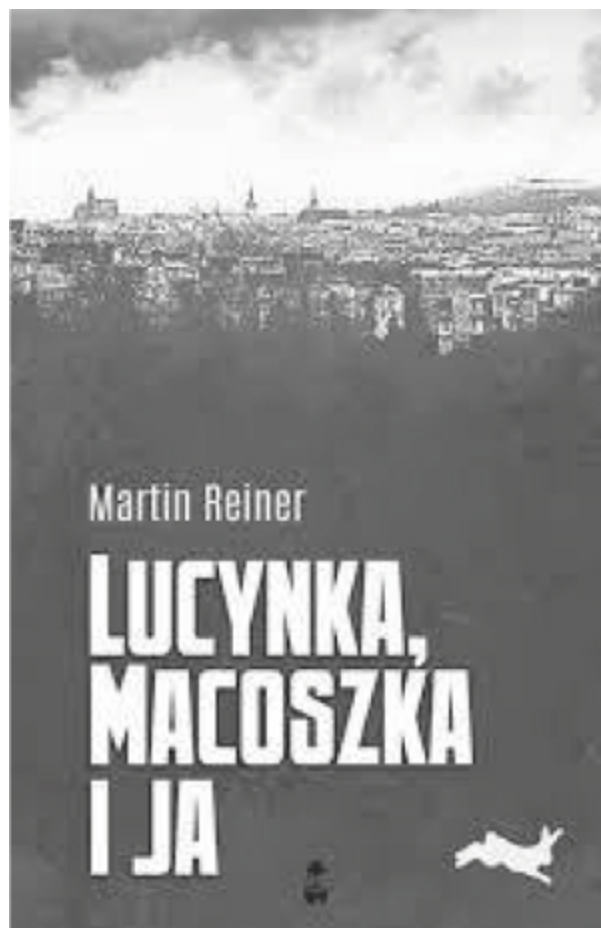


Pamiętacie, jak to jest: mieć czternaście lat i być zagubionym, wrażliwym, lekkomyślnym, romantycznym i niezwykle napalonym nastolatkiem? Przypomni Wam to Nick Twisp – młody buntownik, którego zna cała Ameryka!

Miłość, bunt, inicjacje seksualne, młodzieńcze przyjaźnie, problemy w szkole, problemy w domu – i szalone wakacje. A to wszystko doprawione czarnym humorem i przezabawnymi dialogami.



Uczniowie Cobaina to pełna dzikich przygód i humoru historia grupy nastolatków uwielbiających Johna Lennona i Kurta Cobaina. Razem przeżywają imprezy, zakładają zespoły rockowe i próbują osiągnąć sukces. To również – a może przede wszystkim – poszukiwanie źródeł wyalienowania i bezradności w dzisiejszym świecie. Co czeka bohaterów, gdy karuzela młodości nieubłagane się zatrzyma?



Lucynka, Macoszka i ja to opowieść o sile przeszłości, o miłości do dziecka i tęsknocie za samym sobą. Ta książka – choć w dużej mierze oparta na prawdziwych wydarzeniach – zabiera czytelników do innego świata. Znacznie piękniejszego.

Czytelnik ma tu do czynienia z prozą niemal doskonałą. (Pavel Janoušek, „Tvar”)



Chcesz wygrać z Barceloną, a potem zostać mistrzem świata w piłce nożnej? Musisz być biednym rolnikiem i mieć jedenastu synów. Załóż drużynę piłkarską, a potem będzie już z górki. Rozgrywki ligowe, mistrzostwo kraju...

Książka mądra, z uśmiechem. Podróże, relacje z meczów, niekłamane emocje.

Świetna dla dzieci. Wciągająca dla dorosłych.

Tytuł oryginału: *Strach*

Copyright © Jozef Karika, 2014

Copyright © for Polish edition by Stara Szkoła Sp. z o.o., 2017

All rights reserved

Redakcja: Mirosław Śmigielski

Korekta: Ewa Żak

Projekt okładki: Projekt okładki: Jakub Šolín

Wydawca:

Stara Szkoła Sp. z o.o.

Rudno 16, 56-100 Wołów

biuro@stara-szkola.com

www.stara-szkola.com

ISBN 978-83-948856-3-2

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

www.woblink.com